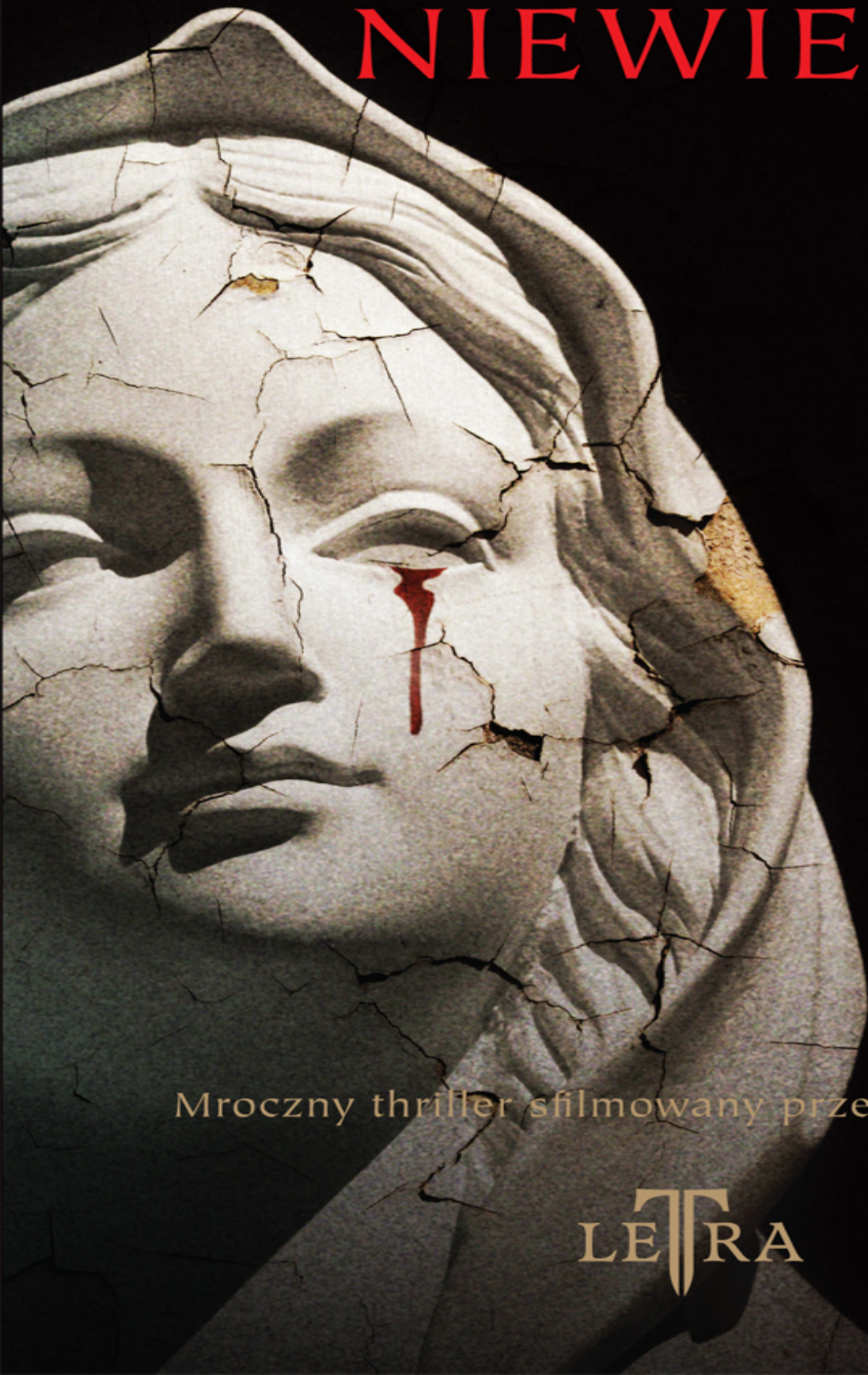


FLORENCIA ETCHEVES

MODLITWA NIEWIERNEJ



Mroczny thriller sfilmowany przez NETFLIX

LETRA

FLORENCIA ETCHEVES

MODLITWA NIEWIERNEJ

Przekład Katarzyna Lebedzińska

LETRA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Tytuł oryginału: *La Virgen en Tus Ojos*
Text copyright © Florencia Etcheves, 2012
© Grupo Editorial Planeta, S.A.I.C., Buenos Aires, Argentina, 2012
© Editorial Planeta, S.A., 2014
Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.,
Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani powielana graficznie, elektronicznie czy mechanicznie, w tym za pomocą kopiowania, nagrywania, ani przechowywana w informatycznej bazie danych bez pisemnej zgody wydawcy. Prosimy o przestrzeganie praw twórców do ich własności intelektualnej i niedostępianie treści książki w sieci.

Tłumaczenie: Katarzyna Lebedzińska
Redakcja: Aleksander Kmak
Korekta: Agata Żabowska
Projekt okładki: 3oko Krzysztof Kielbasiński

ISBN 978-83-213-5218-3

CIP Biblioteka Narodowa
Etcheves, Florencia
Modlitwa niewiernej / Florencia Etcheves ;
przekład Katarzyna Lebedzińska. Wydanie I. -
Warszawa : LeTra, 2022

Wydanie I, 2022. Symbol 5282/R

Wydawnictwo ARKADY Sp. z o.o.
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa
tel. 22 444 86 50/51
info@arkady.eu, www.arkady.eu
www.facebook.com/Wydawnictwo.Arkady
www.facebook.com/Wydawnictwo.LeTra
księgarnia firmowa tel. 22 444 86 61, e-mail: księgarnia@arkady.eu

Wyłączny dystrybutor: DOBRA 28 Sp. z o.o.
ul. Dobra 28, 00-344 Warszawa
tel. 22 444 86 94

e-mail: biuro@dobra28.pl, www.dobra28.pl
księgarnia wysyłkowa: www.arkady.info
tel. 22 444 86 97

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Moim Juancho, Manueli i mamie.

Ku pamięci mojego taty

Aby zło zatriumfowało, wystarczy,
by dobry człowiek pozostał bierny.

EDMUND BURKE

Alicja: Ile czasu to *na zawsze*?

Biały królik: Czasami to zaledwie sekunda.

LEWIS CARROLL
Alicja w Krainie Czarów

I

Olón, Costa del Sol, Ekwador.

Uwielbiam posąg tej Świętej. Święta jest obłudnicą i właśnie dlatego tak bardzo jesteśmy do siebie podobne.

Rzeźba stoi w piwnicach sanktuarium wybudowanego na wzgórzu wznoszącym się nad samym morzem. Ta niewielka, niepozorna figura oszukała wszystkich. Świat uwierzył, że ten kamień zapłakał kiedyś krwią. A ja wiem, że powtarzane w nieskończoność kłamstwo może stać się prawdą, bo w tej grze wygra ten, kto wypowie kłamstwo więcej razy, kto będzie żarliwiej rozpaczał. Tak jak Święta i tak jak ja.

Zapach kadzidła kumulujący się pod schodami sanktuarium jest obezwładniający. Nigdy nie byłam w stanie pojąć, dlaczego nikt nie otoczył tego świętego miejsca troską. Każdy, tak samo jak robię to teraz ja, może wejść, wyjść lub wynieść ten cenny posąg: najśłynniejszą Świętą z Olón. Pewnego razu naszła mnie myśl, żeby ją zabrać, ale zrezygnowałam z tego pomysłu; nie z powodu moich przekonań, ale żeby właśnie przekonać innych. Mam zamiar odgrywać rolę pobożnej kobiety, która każdego dnia modli się do Świętej. I od ponad dwudziestu lat wychodzi mi to doskonale.

Posąg Świętej w piwnicy jest zawsze identyczny, codziennie taki sam: przykrywa go jasnoniebieski, upstrzony kryształkami materiał, a dziewica nosi piaskową szatę, przetkaną złotymi nitkami. Porcelana, z której odlano jej twarz, nie pociemniała mimo upływu lat. A jej twarz przecinają łzy. Łzy z krwi. Dowód boskości. Dowód cudu.

2

Upał był wszechobecny i obezwładniający. Lekki wiatr okazałby się prawdziwym zbawieniem, ale tamtej nocy nie podniósł się nawet mały wicherek. Zapach jaśminu z pobliskich ogrodów mieszał się z nieprzyjemną wonią dobiegającą z worków na śmieci ustawionych w rzędzie przy kontenerach. Było wcześnie nad ranem, ale wciąż nie przyjechała śmieciarka. Dzielnica wydawała się spokojna. Wielu mogło tylko pomarzyć o zamieszkaniu w tych dwupiętrowych, dostojnych rezydencjach. Latarnie działały bez zarzutu i pomimo bardzo gęstych drzew oświetlały cały chodnik. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało idealnie, jednak niedługo miało się okazać, że to tylko pozory. Nagłe, przytłaczające wycie policyjnych syren sprawiło, że kilku mieszkańców dzielnicy aż podskoczyło na krzesłach. Niektórzy wymienili zaniepokojone spojrzenia, inni zbliżyli się do okien, próbując zobaczyć przez prześwity w żaluzjach lub koronki w firankach, co dzieje się na zewnątrz. Jedynie nieliczni zebrali się na odwagę i otworzyli drzwi.

Praktycznie nic nie było w stanie wyrwać Francisca Juána ze snu. Ani hałas, ani nieruchome twarze zmarłych, które wielokrotnie wracały do niego w koszmarach, przypominając o niespłaconym długi. Zmarli potrafią bardzo przekonująco upominać się o swoje, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi długi. Ale akurat tamtej nocy Juána obudził dzwoniący telefon. Położył się spać wcześnie, jeszcze przed wieczornymi wiadomościami emitowanymi o ósmej. Mimo że jego ostatni posiłek – sałatka z młodej kukurydzy *choclo* i pomidorów – zjedzony w południe mógł wydawać się dość odległy, zasnął, nie czując głodu. Z trudem otworzył oczy, chociaż przeczuwał, że chodziło o coś ważnego. Jego podwładnym nie było wolno kontaktować się z nim z byle powodu. Pomimo zmęczenia podjął nieludzki

wysiłek i odebrał połączenie. Nacisnął na zieloną ikonkę w telefonie i zaraz potem usłyszał głos.

– Szefie, mamy morderstwo. Młoda dziewczyna. Zwłoki znalazła u nich w domu jej koleżanka. To ludzie z pieniędzmi.

Natychmiast usiadł ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. Mimo że przez lata słyszał słowo „morderstwo”, za każdym razem wprowadzało go w osłupienie.

– Czy sprawa jest bardzo skomplikowana, Ordóñez?

– Dość ciężka. Broń biała, sporo krwi. Kilka osób z rodziny podeptało ślady na miejscu zbrodni.

– Wyślij mi adres smsem. Jadę tam.

Zaraz po zakończeniu rozmowy Juárez wstał, założył ciemne spodnie i białą koszulę. Potem poszedł do kuchni po zbożowy batonik. Kiedy przeżuwał, przekonując samego siebie o energetycznych właściwościach przekąski, myślał o tym, co go czeka: wyobrażał sobie błagania rozhisteryzowanych bliskich, którzy będą szukali odpowiedzi tam, gdzie dokonano zbrodni; o policjantach z wydziału, oszołomionych statusem ofiary. Był też bardziej niż pewny tego, że za chwilę pojawią się tam dziennikarze, którzy będą chcieli wpłynąć na przebieg śledztwa. Nigdy nie miał problemów z prasą, ale relacja z nią nie była łatwa. „Myślą, że morderstwo wyjaśnia się w dwie godziny. Wymagają wręcz filmowego rozwoju wydarzeń. Jeśli nie będziemy postępować stanowczo i bez pośpiechu, jak niby, do cholery, mamy zgarnąć morderców? To jedyny możliwy sposób, innego nie ma”, pomyślał. Wyrzucił plastikowe opakowanie do śmietnika, sięgnął szybko po kluczyki do samochodu i małą butelkę mleka sojowego o smaku pomarańczowym i wyszedł z domu, kierując się prosto na miejsce zbrodni.

Mimowolnie zamknął oczy, kiedy uderzyła go dobiegająca z zewnątrz fala gorąca. Uzmysłowił sobie, jak dotkliwe były wysokie temperatury. Miał też świadomość, że w takich warunkach trup będzie rozkładał się jeszcze szybciej. Ale nie wiedział, że niedługo ten zupełnie niezależny od ludzkiej woli czynnik stanie się najważniejszym elementem układanki.

Przyjechał na adres, który jego asystent, Ordóñez, wysłał mu wiadomością tekstową, tak jak go o to poprosił. Poczul ulgę, kiedy dotarło do niego, że od miejsca zbrodni dzieliło go zaledwie kilka przecznic. „Temu idiocie Ordóñezowi musiało się pokićkać w głowie”, pomyślał, prowadząc samochód. Od czasu przypadku Garcíi Belardiego, „krajowej zbrodni”, jak często o niej mówiono, Ordóñez dzielił zbrodnie na dwa typy: „trup z pieniędzmi” i „trup bez pieniędzy”. Taki prozaiczny podział. I oczywiście bał się trupów z pieniędzmi.

„Szefie, wiem, o czym do szefa mówię. Trup z pieniędzmi to szambo. Jeśli nie złapiesz mordercy, bliscy ofiary już się postarają o to, żebyś stracił pracę. Dla nich jesteś niewolnikiem. Ja wolę trupa bez pieniędzy – dla tych ludzi jesteśmy bohaterami”.

I Ordóñez wcale się nie mylił.

3

Zamknięto ulicę Zebruno. Latarnie obwiązano żółtymi plastikowymi taśmami wyznaczającymi teraz granicę między normalnością a mrozącą krew w żyłach sceną. Po jednej stronie stało kilku policjantów, ekspertów i kilkoro bliskich ofiary. Z drugiej strony – kilku sąsiadów i długie rzędy poddenerwowanych kierowców, którzy zawracali na łuku, żeby wyjechać ze ślepej uliczki, do której wcześniej nieświadomie wjechali.

Francisco Juárez szedł pewnym krokiem. Musiał schylić się, żeby przejść pod taśmami; rwanie w biodrze pozbawiło go na chwilę oddechu. „Muszę wrócić na siłownię – pomyślał – najwidoczniej bycie wegetarianinem już nie wystarcza”. Kątem oka spoglądał na bliskich ofiary, którzy stali zaledwie kilka metrów od niego i próbowali się wspierać. Nie miał ochoty z nimi rozmawiać. Nie dlatego, że im nie współczuł. Chodziło o coś zupełnie innego. Nie było na to teraz czasu. Po pierwsze, chciał zobaczyć miejsce, w którym zamordowano dziewczynę. Być może wśród tej płaczącej piątki znajdował się morderca. Albo i nie.

– Szefie, to bardzo młoda dziewczyna. Morderstwo białą bronią. Ciało jest na górze, już ogląda je ekspert medycyny sądowej. Wszędzie krew. Szambo, trup z kasą – wyrecytował Ordóñez na powitanie.

Był podenerwowany i rozczochrany. Od częstego przyglądania włosów dłonią, najprawdopodobniej gestu mającego rozjaśnić myśli albo ukryć brak doświadczenia, fryzura zaczęła przypominać jeżozwierza. Do zadań chłopaka należało przeprowadzenie rozmów z biegłymi, policjantami z komisariatu z dzielnicy i z osobami, które miały kontakt z zamordowaną dziewczyną. I prawdę mówiąc, dość sprawnie mu to wszystko szło. Dość dobrze. Mimo wszystko wiedział, że Juárez mu nie pogratuluje, bo nie miał tego w zwyczaju. Może dobrze by im się gawędziło o zbrodni przy

likierze karmelowym. A gdyby tak zaprosił go do siebie? To byłoby coś więcej niż wymuszone gratulacje. To mogłaby być jego szansa na to, żeby wreszcie nauczyć się czegoś od najlepszych. Bo Francisco Juárez był najlepszy.

– Za chwilę pójde na górę, Ordóñez. Zostaw mnie samego. Muszę sprawdzić parter. Zadbaj o to, żeby krewni, którzy stoją na dworze, sobie stąd nie poszli. Nikt ma się stąd nie ruszać. Porozmawiaj z nimi, pociesz ich albo zrób, co chcesz, ale wyciągnij z nich potrzebne informacje, Ordóñez. Najlepiej bardzo dużo informacji. Jak zaczną gadać z prawnikami, jesteśmy straceni.

Dom, w którym zamordowano dziewczynę, dzielił ścianę z drugim dokładnie takim samym budynkiem. Dziewczyny mieszkały w bliźniaku. „Sąsiedzi musieli coś słyszeć; ściany są z papieru”, pomyślał Juárez podczas zakładania lateksowych rękawiczek, kiedy próbował skupić się na tym, żeby nie słyszeć rozmów na parterze. Rozmawiali tam lekarz, biegły medycyny sądowej, pomocnik i fotograf. Nigdy nie był w stanie pojąć, w jaki sposób ktoś był w stanie analizować miejsce zbrodni i jednocześnie rozmawiać o piłce nożnej, planować wakacje lub przechwalać się wyczynami seksualnymi, które, jak wszyscy doskonale wiedzieli, były tylko fantazjami erotycznymi.

Parter nie był zbyt obszerny: prostokąt sześć na cztery, salon połączony z kuchnią. Drewniany blat z żelaznymi elementami i dwoma wysokimi krzesłami po jednej stronie otwierał wykreowaną w ten sposób przestrzeń na jadalnię. Miarowym krokiem podszedł do niewielkiej kuchni, gdy nagle jakieś ciche stukanie przykuło niespodziewanie jego uwagę. Na białej plastikowej suszarce stały ręcznie malowane w drobne niebieskie kwiaty talerze. Starannie złożona, kolorowa ścierka w kratkę, niedawno kupiona butelka płynu do mycia i dość zużyta żółta gąbka – to wszystko, co znajdowało się na czarnym marmurowym blacie. Rzeczy były uporządkowane.

Kapanie. To właśnie spadające z sufitu krople zwróciły jego uwagę. Z jednej strony blatu, prawie na brzegu umywalki, zauważył małą mokrą

plamę. Założył gumowe rękawiczki i przesunął wskazującym palcem po mokrej plamie. Nie miał żadnych wątpliwości. Spojrzał instynktownie w górę, na miejsce, z którego regularnie spadały kolejne krople. Przez drewniane listwy na suficie przeciekała krew. Przez węższą niż jeden centymetr szczelinę uciekało życie dwudziestoczteroletniej dziewczyny.

– Juánez, chodź na górę! – wezwanie biegłego medycyny sądowej wytrąciło Juáneza z jego przemyśleń. Nadeszła wyczekiwana chwila: spotkanie z ofiarą zbrodni.

Kilka lat temu, kiedy wykładał na kryminalistyce, opowiadał studentom o reakcjach fizjologicznych, których można doświadczyć, stojąc przed ciałem pozbawionym życia: skręcony żołądek, gęsia skórka i pewnego rodzaju poufałość z ofiarą, zupełnie jakby chodziło o pierwszą randkę, jakieś trudne do zdefiniowania zobowiązanie. Wszyscy się zaśmiali. Myśleli, że to kolejny, przykry żart. Wszyscy, tylko nie dziewczyna, blondynka z pierwszego rzędu. Ona się nie zaśmiała. Patrzyła wnikliwie. Po zajęciach podeszła do niego nieśmiało. Wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Moja mama popełniła samobójstwo, a ja znalazłam jej ciało – oczy zasły jej łzami. – Doskonale rozumiem, o czym pan mówi i co pan czuje. Dlatego właśnie tutaj jestem, bo przyrzekłam sobie jedną, ważną rzecz.

Zanim odeszła, chwyciła zdecydowanie Juáneza za rękę i położyła na jego dłoni małą, różową, złożoną na cztery karteczkę. Kiedy po kilku godzinach dotarł do domu, zebrał się na odwagę i otworzył liścik. Dziewczyna zapisała dbałym i dziecięcym pismem tylko jedno zdanie, jedną linijkę tekstu. Uśmiechnął się. Od tamtej chwili wiedział, że za każdym razem, kiedy stanie twarzą w twarz z tym, co zabrała śmierć, tamto zdanie będzie jego mantrą, modlitwą, ofiarą.

4

Spiralne schody w domu były kanciaste i wąskie. Wchodził po nich bardzo ostrożnie. Obawiał się, że pomalowana na jasnoniebiesko metalowa struktura runie pod jego ciężarem. W myślach odnotował: „Jeśli morderca wszedł po tych schodach, ofiara musiała usłyszeć skrzypiące zardzewiałe stopnie. Nie było innego wyjścia”.

Scena, którą zastał na końcu schodów, była jednocześnie poruszająca i banalna. Krew, stęchłe powietrze i półnaga dziewczyna leżąca twarzą zwróconą do ziemi. W tysiącach filmów pojawiają się dokładnie takie same miejsca zbrodni.

– Doktorze Aguada, jak pan myśli, czy wszyscy reżyserzy filmów kryminalnych są tak samo mało oryginalni? – spytał Juánez zniechęcony.

Zaskoczony śledczy Aguada odpowiedział na jego pytanie nieudawanym zaskoczeniem, chociaż nie było to pierwsze z dość zaskakujących pytań Juáneza. Kiedy poznali się jakieś piętnaście lat temu i dwieście morderstw wstecz, był przekonany, że był on najzwyczajniej oderwanym od rzeczywistości wariatem. Lata później wcale nie zmienił zdania na ten temat.

– Uf, Juánez, nie zaczynajmy, proszę. Można oszaleć od tego skwaru. Jeszcze dobrze nie przyjechałem, a już musiałem znosić lamentowanie matki dziewczyny. Niby dzisiaj miał zacząć się mój urlop, ale jak widzisz, siedzę tu po uszy w gównie – powiedział, machając dłońmi w rękawiczkach ubrudzonych krwią.

– Jej też nie jest najłatwiej – zripostował Juánez, skinieniem głowy wskazując ciało leżącej nieruchomo pomiędzy nimi dziewczyny.

Biegły nie miał prawa więcej narzekać; nie był to też temat do żartów ani okazją do radosnego świętowania. Juánez umiał zepsuć mu humor. Zawsze mu się to udawało. Sto procent efektywności. Zuchwałe spojrzenie, ironiczne odzywki, to przeświadczenie, że inni go potrzebują, irytowały lekarza biegłego. Poprosił szybko o papiery z jego notatkami i wyrecytował na głos pierwsze spostrzeżenia:

– Kobieta, dwudziestoczteroletnia. Według zeznania złożonego przez jej matkę nazywała się Gloriana Márquez. Została zaatakowana nożem, co doprowadziło do licznych obrażeń na szyi. Jedna z ran ciętych doprowadziła do krwotoku, którego konsekwencją był wstrząs hipowolemiczny. Nie broniła się. Kiedy ją zaatakowano, prawdopodobnie spała. Ma kilka drobnych obrażeń przy dziurkach nosowych. Być może próbowano ją udusić. Nie wygląda to na napaść na tle seksualnym. Ale na stole podczas autopsji będę miał szerszy obraz sytuacji.

– Czy nóż gdzieś tutaj jest?

– Nie.

– Kiedy ją zabito?

– Zobacz... Ciało jest zimne i sztywne. Mogę przesunąć je jak głaz. Szacuję, że mogło minąć od osiemnastu do dwudziestu czterech godzin od chwili, kiedy ją zamordowano. Na pewno nie mniej.

Juánez rzucił okiem na zegarek na swoim nadgarstku i policzył w pamięci.

– Mamy pierwszą nad ranem w piątek – liczył na głos. – Jeżeli odejmiemy osiemnaście godzin, to znaczy, że została zabita o siódmej nad ranem wczoraj, czyli w czwartek. Zgadza się?

– Tak, w czwartek. Ale powiedziałem, że między osiemnastoma a dwudziestoma czterema godzinami. Mogła zostać zabita wczoraj o tej samej godzinie.

Juánez zapisał kilka spostrzeżeń w swoim czarnym notesie, nie patrząc na Aguadę. Miał całe mnóstwo takich samych notesów, pełnych zapisków i diagramów. Były swojego rodzaju archiwum strachu. Przechowywał je

w samochodzie, w kuchni u siebie w domu, w gabinecie, a nawet w apteczce w łazience. Na szafce nocnej zawsze czekał na niego nowy, nieskazitelny notes, całkowicie otwarty na nowe przemyślenia.

Śledczy Aguada na próżno wyczekiwał jakiegokolwiek słowa ze strony Juáneza. Policjant notował kolejne spostrzeżenia i nie odrywał wzroku od kartek. Aguada zakaszlnął, żeby zwrócić jego uwagę. Niestety nieskutecznie, dlatego resztki poczucia godności kazały starszemu funkcjonariuszowi podjąć kolejny krok.

– Wyjdę na ulicę i poczekam na karawan – powiedział – tutaj nie mam już nic do roboty. Wszystko w twoich rękach, Juáneze. Na pewno znajdziesz coś, co spieszy mi jutro autopsję.

Kiedy śledczy Aguada pakował swoje rzeczy do starej skórzanej walizki, Juáneze zaczął mu się przyglądać. Właściwie nie śledczemu, ale bardziej jego srebrnym narzędziom, które chował do kufra. Zauważył, że w jego walizce czegoś brakowało.

– Aguada, zmierzyłeś temperaturę ciała?

– Oglądasz dużo amerykańskich seriali – powiedział śledczy z czytelną ironią w głosie i nieurazony dodał z zadowoleniem – nie mam odpowiedniego termometru. Stary, mamy dziury w budżecie.

Pożegnał się z kpiącym uśmiechem i zaczął schodzić po skrzypiących, diabelsko wąskich schodach. Kiedy dotarł do połowy, postanowił wyjaśnić jeden szczegół.

– Juáneze – krzyknął, patrząc w górę – dlaczego zapytałeś mnie, czy myślę, że reżyserzy filmowi są mało oryginalni?

Z góry dotarła do niego odpowiedź, której nie miał ochoty usłyszeć.

– Bo ta scena zbrodni jest ustawiona, staruszkule. Ustawili ci scenkę, a ty dałeś się nabrać. Może i oglądam dużo amerykańskich seriali, jak lubisz mi powtarzać, ale widziałem też wielu morderców. A ty, Aguada, nic nie widzisz.

Trzaśnięcie drzwiami. Taka była odpowiedź śledczego.

5

„Ten, kto walczy z potworami, powinien uważać, żeby nie stać się jednym z nich”.

Od kiedy jego była uczennica, blondynka z pierwszego rzędu, napisała tamto zdanie na złożonej na czworo karteczce, wiedział, że musiał je powtarzać jak osobistą mantrę za każdym razem, kiedy widział zwłoki. Niewypowiedziana tajemnica łączyła go z łowcą morderców, którym dawno przestał już być. Życie Juáneza przypominało mecz piłki nożnej, a każde morderstwo interpretował jako strzelony do jego bramki gol. Co prawda, wielokrotnie znajdował mordercę, ale to nie było w stanie przywrócić życia umarłym. W pracy policjanta nie chodziło w końcu o dodawanie czy odejmowanie punktów. Ale jego największym marzeniem, celem Francisca Juáneza, było łapanie strzelców śmierci.

Ciało Gloriany Márquez było zimne. Leżała twarzą zwróconą do ziemi, między pojedynczymi łózkami. Miała na sobie zakrwawioną na plecach niebieską koszulkę i czarne majtki. Leżała z wyciągniętym do przodu lewym ramieniem. Prawe ramię było oparte na położonej na ziemi poduszce. Było oczywiste, że Gloriana została zamordowana na jednym z łózek. Plama krwi na materacu zdradzała, że morderca wybrał to jedno konkretne miejsce. Ale dlaczego dziewczyna leżała na ziemi? Po co przeniesiono jej ciało?

Juáneez wiedział, że to nie był czas na stawianie pytań. Trzeba było jeszcze poczekać na tę chwilę. Krótko mówiąc, musiał zacząć zbierać odpowiedzi. Przynajmniej kilka z nich.

Założył lateksowe rękawiczki, pochylił się i złapał delikatnie lewy nadgarstek Glorii. Dziewczyna nosiła zegarek. Nie był to jednak byle jaki zegarek, tylko oryginalny cartier. Żaden złodziej nie przeoczyłby takiego

łupu. Mimo wszystko Juárez pominął informację o zegarku i nie odnotował tego w swoim notesie. Jego uwagę zwrócił fakt, że mógł bez problemu podnieść rękę dziewczyny.

– Aguada, jesteś bezużyteczny – szepnął, wiedząc, że śledczy nie mógł go usłyszeć.

Spojrzał na ciało Gloriany i zatrzymał wzrok na łydce dziewczyny. Na kostce błyszczała złota bransoletka z zawieszkami w kształcie serc. To jedyna rzecz, która na tym martwym ciele sprawiała wrażenie niepozabawionej życia. Trochę wyżej, z tyłu nogi, na wysokości uda, ślad zeschniętej krwi zwrócił jego uwagę. Nie była to jednolita plama ani ślad po krwawieniu. Nie było wątpliwości, że musiało to być odbicie czyjejś ręki. Morderca miał zakrwawioną dłoń i palce, kiedy z jakiegoś powodu dotknął nogi dziewczyny. Juárez wstrzymał oddech, zbliżył latarkę i wyteżonym wzrokiem analizował ślad.

– Niech to jasna cholera! – wykrzyczał wściekły, wypuszczając jednocześnie gorące powietrze z płuc.

Przez sekundę miał nadzieję, że odciski przestępcy zachowały się na skórze dziewczyny. Niestety nic z tego. Miał przed oczami tylko rozmazaną plamę. Był w stanie dostrzec zarys dłoni, ale nie jej szczegóły. Zanotował swoje spostrzeżenie. Każdy szczegół odkrywał nowy element w profilu psychologicznym mordercy. Nawet ta plama, która na początku wydawała mu się bezużyteczna, wносиła więcej jasności do sprawy.

Gloriana została zamordowana na łóżku, materac został poplamiony najbardziej rozległymi plamami krwi na wysokości poduszki, ale z jakiegoś powodu jej ciało znalazło się na podłodze. Juárez wywnioskował, że zakrwawionymi rękami morderca przewrócił ciało, trzymając je za nogę. Krople krwi z brzegu łóżka wskazywały na przebieg tego agresywnego ruchu. W pewnym momencie głowa Gloriany zawisła w powietrzu, co doprowadziło do powstania plam opadowych. Tak duża liczba ruchów wykonanych tylko po to, by trochę przesunąć ważące niecałe pięćdziesiąt kilogramów ciało, dała Juárezowi do myślenia.

Pokój był mały; docierało tutaj niewiele świeżego powietrza z wentylatora przy suficie, który, mimo że był włączony, wydawał się nie działać. Być może zmuszony upałem lub też kierowany intuicją Juánez zaczął szukać okna. Jednak żadnego nie znalazł. Przeszklone drzwi balkonowe były zablokowane przez łóżko, na którym zamordowano dziewczynę. Nie trzeba było zbyt dużo wysiłku, żeby przy małym przesunięciu łóżka drzwi otworzyły się bez problemu. Nie były zamknięte na klucz, a zabezpieczenie było zepsute; to łóżko służyło za blokadę. Potem użył jeszcze raz latarki i oświetlił drugą stronę przeszklonych drzwi.

Spadło dużo deszczu i podłoga na balkonie była mokra, brudna, błotnista. Czy morderca wszedł właśnie tędy? Gdyby tak postąpił, miałby tylko jedną możliwość, żeby uciec: wyjść przez główne wejście do domu. Dlaczego morderca zastawił jeszcze raz drzwi balkonowe łóżkiem?

Odwrócił się i poświecił latarką po całej podłodze w pokoju. Ani jednego śladu butów. Zupełnie nic. Nie, morderca nie mógł wejść przez balkon.

Na szafce nocnej stała lampka, czysta popielniczka i budzik. Mała czerwona wskazówka na budziku wskazywała dziesiątkę. Wylłącznik znajdował się na dole i był wciśnięty; ktoś musiał wyłączyć budzik. Ale to nie budzik zwrócił uwagę Juáneza. I nie była to też warstwa kurzu zalegająca na szafce. Zdjęcie w tandetnej, plastikowej ramce odciągnęło jego uwagę od przerażającej sceny. Dwie piękne i młode dziewczyny uśmiechały się z pierwszego planu fotografii. Jedna z dziewczyn miała na sobie naszyjnik z białych muszelek, który w swoim niewinnym stylu pasował idealnie do jej jeszcze bardziej niewinnego uśmiechu. Szczere spojrzenie, radosne usposobienie. Autentyczne, bez żadnych skaz. Druga, obejmująca ją dziewczyna w czerwonej koszulce była tego przeciwieństwem. Zawłaszczającym uściskiem zdobywała nad koleżanką przewagę. Jej triumfalny uśmiech. Jej oczy w kolorze stali. Jej lodowate spojrzenie. A mimo wszystko sprawiała wrażenie słabej, straszliwie słabej.

Juánez nie pomylił się w swoim rozeznaniu. Dziewczyna o lodowatym spojrzeniu była tą słabszą. Ale to ta druga, z naszyjnikiem z muszelek, ze szczerym uśmiechem, była martwa.

6

Policja pilnowała, żeby ulica Zebruno nadal pozostawała zamknięta. Pomimo duszącego upału i późnej pory sąsiedzi wciąż stali po drugiej stronie barykady. Rozmawiali między sobą. Wysnuwali hipotezy ze strzępów informacji, którymi dysponowali lub po prostu wymyślali kolejne teorie. Za ogrodzeniem kapral Ordóñez wykonywał wcześniejsze rozkazy Juáneza: pocieszał krewnych zamordowanej dziewczyny i odnotowywał ich reakcje i zeznania w swoim zmaltretowanym zeszycie.

Zaniedbana kobieta w średnim wieku o zagubionym spojrzeniu; siwy mężczyzna próbujący nieskutecznie zapanować nad sytuacją; około dwudziestopięcioletni, zdenerwowany chłopak, który nie przestawał przeczesywać grzywki; płacząca i równie głośno wydmuchująca nos grubsza dziewczyna, a w samym środku ona, dziewczyna o lodowatym spojrzeniu. Francisco Juánez, łowca morderców, nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny ze zdjęcia, która teraz była wysoką, szczupłą kobietą. Chodziła z miejsca na miejsce i nie przestawała mówić. Płacz, śmiech, krzyki, wszystko na raz. Wrażliwość, której dopatrył się na zdjęciu, wydawała się teraz znikać. Po tylu latach potrafił doskonale ocenić sytuację. Dziewczyna o lodowatym spojrzeniu cała dygotała pomimo usilnych starań, żeby nad sobą zapanować.

Juánez zbliżył się do grupy i przeszedł od razu do rzeczy. Nie przyszedł tu, żeby szukać przyjaciół. Ludzka grzeczność też ma swoje granice.

– Francisco Juánez. Jestem szefem kryminalistyki. Kto znalazł ciało?

– Już powiedzieliśmy wszystko policji – wykrzyknęła nagle kobieta. – Teraz ja chcę zadać pytania. Co stało się mojej córce? Proszę mi nie mówić, że nie żyje, bo to już wiem. Została zamordowana. Co za skurwysyn to zrobił?

Krzyki rozdzierały senność nocy, ale Juáneza nie wzruszał ani ból matki, ani ojca, ani nikogo innego. Jego praca polegała na czymś innym. W jego pracy liczyło się tylko to, żeby złapać tego, kto zabił, a nie pocieszać płaczącego.

– Tego jeszcze nie wiemy. Pracujemy nad tym. Po wykonaniu autopsji zbierzemy więcej informacji, ale muszę wiedzieć, kto znalazł pani córkę.

Kobieta przestała go słuchać: wpadła w trans. Zagubione spojrzenie, które zobaczył przed chwilą, odzyskało swoją dawną wyrazistość.

– Ja – odpowiedziała wysoka dziewczyna. – Mieszkałyśmy tu razem. Kiedy wyszłam do pracy, Gloriana została w domu, spała...

– O której godzinie wyszłaś do pracy? – przerwał jej Juáneez i spojrzał odruchowo na zegarek na jej nadgarstku. Była prawie druga nad ranem...

Ona też spojrzała na zegarek, żeby sprawdzić godzinę. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, trudno było jej odpowiadać na pytania policjanta i zachować orientację w czasie.

– Tak, tak. Wczoraj, w czwartek, kiedy wyszłam do pracy, Gloriana spała. Była siódma rano. Zawsze wychodzę o tej samej godzinie.

– Mów dalej. Słucham cię...

Dziewczyna ściągnęła zegarek na różowej bransoletce z nadgarstka i zaczęła przekładać go z jednej ręki do drugiej, powoli, jakby w tym przedmiocie zgromadzone były wszystkie minuty, sekundy, z których powinna zdać śledczemu raport.

– Hmm... Nie odzywała się do mnie przez cały dzień. Zadzwoiłam do niej, ale nie odbierała. Chwilę wcześniej byliśmy z kilkoma znajomymi na urodzinach, a potem wszyscy przyszliśmy tutaj. Zaniepokoiło nas, że Gloriana nie przyszła. Jest bardzo punktualna.

Dziewczyna przestała mówić. Musiała zaczerpnąć powietrza. Juáneez skorzystał z okazji i zadał jej kolejne pytanie:

– No dobrze... Jak myślisz, dlaczego nie odbierała? Z kim tutaj przyszłaś? I jeszcze jedna rzecz: możesz przestać bawić się tym zegarkiem? To irytujące. No proszę, słucham cię.

– Gloriana rzadko odbierała. Nie lubiła rozmawiać przez telefon. Przyszłam z Rodrigiem, chłopakiem Glo, i z Paulą, jej kuzynką – dziewczyna o lodowatym spojrzeniu odpowiedziała jakby była robotem, ciągle bawiąc się zegarkiem i dość podirytowana dodała: – To chyba ja mam prawo być zdenerwowana. Przed chwilą zobaczyłam swoją przyjaciółkę leżącą na ziemi, całą we krwi.

Rodrigo przerwał jej opowieść. Ani przez chwilę nie przestawał zacytywać grzywki.

– Minervo, ale co ty opowiadasz? Przecież nic nie widziałaś. To ja poszedłem sam na górę. To ja zobaczyłem leżącą na ziemi Glorianę.

Minerva pogroziła chłopakowi lodowatym spojrzeniem za to, że w tak prozaiczny sposób próbował zaprzeczyć jej wersji wydarzeń.

Wszystko wydarzyło się momentalnie. Być może nie trwało to nawet sekundę. Przez chwilę wszyscy zebrani zaczęli podawać w wątpliwość nawet własne imiona. Wszyscy oprócz Juáneza i Minervy. Oni ani przez chwilę się nie zawahali. Dziewczyna była bohaterką tej historii, a on tylko biernie się temu przyglądał.

– Panie komisarzu, ja też widziałam moją przyjaciółkę. Weszłam na górę. To prawda, że Rodrigo – powiedziała, wskazując na chłopaka, który wymijająco patrzył w ziemię – poszedł tam pierwszy. To chłopak Glo, teraz wszystko mu się w głowie pomieszało, bo ją kocha. To przecież normalne.

– A ty jej nie kochasz? – zapytał Juánez.

– Oczywiście, że ją kocham, ale nie mam zamiaru rozmawiać z panem o Glorianie. Możemy zmienić temat, a pan mi powie, kto ją zabił.

Miał przed sobą trudny orzech do zgryzienia. „Dziewczyna się boi”, pomyślał Juánez. Pewność siebie nie idzie w parze z kłamstwem. Akurat to Juánez wiedział doskonale. Minerva wyznaczyła granice jego pola działania. Można było odnieść wrażenie, że chciała mu powiedzieć, że dalej nie zajdzie.

– Minerva... Co za niespotykane imię. Jest przekazywane w waszej rodzinie z pokolenia na pokolenie?

Wszyscy wyglądali na zaskoczonych tym nagłym zwrotem akcji narzuconym przez śledczego. Tymczasem matka zamordowanej dziewczyny przebudziła się ze swojego transu i znowu zaczęła szlochać.

– Nie. Moja babcia mnie tak nazwała – odpowiedziała dziewczyna, wbijając w niego swoje lodowate spojrzenie. Juárez zignorował to, co odpowiedziała, i zbliżył się do niej.

– Słuchaj no, właśnie znaleźliśmy u ciebie w domu martwą dziewczynę. I jeśli się nie mylę, chodzi o twoją przyjaciółkę. Zgadza się? Ktoś poderznął jej gardło jak zwykłemu zwierzęciu i porzucił jak zepsutą zabawkę. Czy wiesz, co to znaczy? – Jego głos brzmiał coraz bardziej chrypliwie i zdecydowanie. – Minervo, dziecko, masz mi powiedzieć to, o co cię poproszę. Będziesz musiała się nieźle nagimnastykować, żeby przekonać mnie, jakim cudem to nie ty leżysz martwa na ziemi. Bo ja akurat nie wierzę ani w cuda, ani zbiegi okoliczności, dlatego musisz mieć naprawdę mocne argumenty. Rozumiesz, co to wszystko znaczy?

Nagle jej lodowate spojrzenie trochę odtajało. Jej oczy jakby zaszły mgłą. Niepokój, strach i desperacja przenikały jej spojrzenie jak ciemne chmury. „Dobrze – pomyślał – przynajmniej zrozumiała, co miała zrozumieć”.

Później jednak miało się okazać, że był to pierwszy błąd śledczego. Nie powinien był zakładać, że Minerva rozumiała, co miał jej do powiedzenia.

7

Morderstwo za zamkniętymi drzwiami i ani jednego świadka, który mógłby zaświadczyć, w jakim dokładnie momencie morderca poderżnął gardło tej młodej dziewczyny. To podręcznikowa scena dla każdego reżysera filmowego. Piękna, półnaga ofiara wystawiona na widok i ocenę spojrzeń innych. Esencja seksu zakłęta w śmierci. Zbrodnia rodem z laboratorium. Przy odrobinie szczęścia będzie można odpowiedzieć na wszystkie pytania dotyczące zbrodni przy stole do autopsji. Juánez nienawidził tego typu morderstw. Wydawało mu się, że śledczy mieli zbyt wysokie oczekiwania wobec ofiary, z której dopiero co uszło życie. „Ciało powie wszystko”, mówią nauczyciele analizy kryminalnej. „Co za straszliwa bzdura – przeszło przez myśl Juánezowi, kiedy zaczął rozmyślać o latach spędzonych na kryminalistyce. – Zwłoki nie są w stanie nawet szeptać, a ja muszę pracować z głuchymi, którzy udają, że ich praca to słuchanie”.

Właśnie tego rodzaju rozmyślania zajmowały Juáneza, oczekującego, aż klimatyzacja w samochodzie zacznie choć trochę działać. Miał zamiar czekać w pojeździe, aż zjawią się pracownicy zakładu pogrzebowego i zabiorą dziewczynę. Kazał rozwiesić taśmy zabezpieczające wejście do domu. Nikt nie miał prawa zbliżyć się do miejsca zbrodni. Chciał mieć pewność, że wszyscy wypełnią jego rozkazy.

Zza samochodowej szyby mógł obserwować grupkę krewnych i przyjaciół zamordowanej dziewczyny, którzy rozchodzili się i wsiadali do fatalnie zaparkowanych samochodów. Może gdyby nie pośpiech i nerwy, scena wyglądałaby lepiej. Matka i kuzynka dziewczyny szły razem, podtrzymując się wzajemnie, ale ledwo posuwały się do przodu; chłopak Gloriany wtulony w jej ojca przypominał zatroskanego przedszkolaka, a jej

przyjaciółka Minerva szła kilka kroków za nimi ze wzrokiem wbitym w ziemię. Uwagę Juáneza przykuła ciepła kurtka, którą mimo straszliwego ukropu miała na sobie dziewczyna. Kiedy kilka minut wcześniej zamienili ze sobą parę słów, dziewczyna miała na sobie fioletową koszulkę, pod którą Juáneez nie dopatrywał się wyraźnych zadrapań, toteż wiedział, że nie założyła kurtki, żeby coś ukryć. „Pewnie jeszcze trudno jej wrócić do siebie”, pomyślał Juáneez, nie spuszczać z niej wzroku. Wszystko wskazywało na to, że mroźny oddech śmierci spowił nie tylko ciało jej zamordowanej przyjaciółki; nieoczekiwane spotkanie z dziełem mordercy było dla wszystkich mrozącym krew w żyłach przeżyciem. Grupka zmierzała do rogu ulicy, aż w końcu zniknęła Juáneezowi z oczu, podczas gdy on wciąż rozmyślał o Minevrze i sprzecznościach w jej zeznaniu. Na tym etapie śledztwa nie wydawały mu się ani zbyt poważne, ani podejrzané. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, położył obydwie dłonie na kierownicy i zamknął oczy. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze z płuc. Zaczynał powoli się relaksować, kiedy nagle dzwoniący telefon wytrącił go z równowagi. Niezwłocznie odebrał połączenie. Nawet nie otworzył oczu.

– Cześć, Juáneez, słyszysz mnie?

Pożałował, że nie spojrział na imię dzwoniącego przed odebraniem połączenia.

– Tak, słucham. Czego chcesz?

– Informacji. Doszła mnie wiadomość, że w północnej części miasta doszło do zabójstwa. To prawda czy ktoś robi sobie z siebie jaja?

Już od wielu lat rozmowy między Juáneezem a dziennikarką prowadzącą wydarzenia na kanale informacyjnym zaczynały się identycznie: ona udawała niedoinformowaną, a on maskował swoje obrzydzenie wszystkim, co miało związek z dziennikarstwem, czyli sępieniem, jak nazywał ich zajęcie w bardziej nieformalnych okolicznościach.

– To prawda. Mam jednego trupa. Kobietę. Znalaziono ją w jej własnym mieszkaniu. Biała broń.

– Komisarzu, akurat już dotarłam do tych informacji. Potrzebuję czegoś więcej. Jest jakiś chłopak? Czy ktoś chciał ją obrabować?

Juánez wyprostował ciało i oparł głowę na kierownicy.

Próbując rozciągnąć zmaltretowane mięśnie szyjne, przemyślał dokładnie każde ze słów, które miał zamiar wypowiedzieć.

– Wszystko jest możliwe. Zaczęliśmy interwencję dopiero kilka godzin temu. Jeszcze nie wiemy za dużo. Znaleźli ją jej przyjaciółka i chłopak. Jutro mamy autopsję. Kto wygadał ci to wszystko?

– Jeden z sąsiadów.

– Lepiej mnie nie rozśmieszaj. Chcesz mi wmówić, że wszyscy ludzie w tym zaszranym kraju mają twój numer i dzwonią do ciebie o trzeciej nad ranem? Powiedz mi lepiej, kto ci to wszystko powiedział.

Dziennikarka zaśmiała się w głos. Zawsze to samo. Ona chciała się czegoś dowiedzieć, a Juánez – zachowywać pewne rzeczy dla siebie. A kiedy Juánez chciał się czegoś dowiedzieć, ona również nie miała ochoty niczego zdradzać.

– Nie zmuszaj mnie, żebym musiała wyrecytować formułkę o nieudostępnianiu źródeł, bo mnie to już zaczyna zwyczajnie nudzić. Ja mam sąsiada, a ty masz trupa. Tak to właśnie wygląda.

Było późno. W perspektywie miał kilka godzin snu, a dziennikarka zachowywała się, jakby miała wszystko w nosie. Jeszcze bardziej zepsuła mu humor.

– Nie, kochaniutka. Teraz obydwójce mamy trupa, więc lepiej uważaj, jakie informacje masz zamiar opublikować. Nie kupuj od innych zgniętego mięsa, bo akurat w tym przypadku wiem, że przybiegną do ciebie z jakimkolwiek gównem i będą chcieli ci je wcisnąć. Zadzwoń do mnie jutro. Pewnie będę miał coś ciekawego. I pozdrowienia dla tego miłego sąsiada.

Dziewczyna wcale nie była głupia i po tonie głosu Juáneza wyczuła, że najchętniej posłałby ją tam, gdzie pieprz rośnie. I to ona zdecydowała spuścić trochę z tonu.

– Dziękuję, komisarzy. Przepraszam, że zawracam ci głowę o tej porze, ale możesz być spokojny, bo kiedy mnie zapytają od kogo mam te nowinki, wiesz, co im odpowiem?

Juánez w porę zorientował się, że dziewczyna chciała odwrócić kota ogonem; nie mógł zapanować nad własnym uśmiechem i od razu odpowiedział.

– Od jednego sąsiada.

– Dokładnie tak, Francisco! Pogadamy jutro.

Mógł jej ufać. Nigdy nie zawiodła jego zaufania. A poza tym jako jedyna w środowisku mówiła do niego po imieniu: Francisco.

8

Rozmowa z dziennikarką uświadomiła mu, jak mało informacji zebrał na temat morderstwa Gloriany Márquez. Nie miał prawie nic.

Z auta otwierał się przed nim widok na ulicę. Ani przy bliźniaku, ani naprzeciwko nie było żadnych sklepów; odrzucił natychmiast możliwość dowiedzenia się czegoś z monitoringu. Musiał pracować w terenie jak za starych dobrych czasów: zapukać do drzwi sąsiadów i porozmawiać z każdym z osobna. Czy słyszeli jakieś wrzaski? Czy widzieli ostatnio kogoś podejrzanego? Kiedy po raz ostatni widzieli swoją sąsiadkę Glorianę? Przyglądał się uważnie każdemu domowi i w tej samej chwili postanowił wykonać szybki telefon.

– Pereira, tu Juárez – powiedział, nie zostawiając mu przestrzeni na żadną odpowiedź, bo od raz zaczął mówić: – zajmuję się zabójstwem tej dziewczyny, Márquez, prześledź z ludźmi z 911 wszystkie telefony odebrane w zeszłym tygodniu, które mogą mieć związek z dzielnicą, w której dokonano morderstwa. Wiesz, jacyś podejrzeni ludzie lub jakiś napad. Sam nie wiem. Rzuć na to okiem. I jak najwcześniej wyślij mi nowe informacje do biura.

– Musi mi szef wybaczyć, ale jest czwarta nad ranem. Nie wiem, czy uda nam się to dostarczyć z samego rana.

– Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień, Pereira. Udam, że nie usłyszałem tego, co przed chwilą powiedziałeś. I powtórzę: z samego rana.

Zakończył rozmowę i rzucił telefon na wolne siedzenie pasażera. Przestraszył go dźwięk silnika. Stary, rozwalający się niebieski samochód zaparkował na rogu ulicy przy bliźniaku. Jakiś mężczyzna z widoczną nadwagą wysiadł z trudem z auta i uderzył mocno drzwiami. Wyglądał na

zdenerwowanego. „Ktoś obudził go w środku nocy – pomyślał Juánez, obserwując go z samochodu – nawet nie dano mu chwili, żeby biedak się uczesał”.

Mężczyzna złapał się obiema rękami za głowę, jakby usłyszał myśli Juáneza, ale i tak nie był w stanie zapanować nad niesfornymi, zbyt długimi lokami. Chwycił za powieszonoego na szyi canona i zaczął robić zdjęcia. Błysk flesza przez ułamek sekundy rozświetlił ulicę. Po piątym lub szóstym zdjęciu ruszył przed siebie w poszukiwaniu. Szukał czegoś więcej. Bez żadnego zawahania podniósł żółtą, plastikową taśmę i wszedł do strefy przeznaczonej wyłącznie dla funkcjonariuszy policji. Stał kilka metrów od miejsca zbrodni i zaczął zmieniać ustawienia w aparacie.

– Gruby, coś mi się wydaje, że jesteś w złym miejscu – zwrócił uwagę Juánez.

Znużony fotograf wywrócił oczami i wypuścił z rąk aparat, który teraz opierał się na jego pękatym brzuchu.

– Juánez, przynajmniej ty mógłbyś mnie nie wkurwiać. Ulica jest miejscem publicznym, a ja jestem teraz w pracy.

– Że niby teraz jesteś w pracy? No proszę. A co, do cholery, myślisz, że ja tutaj robię? Może mi to wyjaśnisz, Gruby?

– Niech ci będzie, Juánez. Strzelę kilka fotek budynku i się zwijam. Nie rób z siebie nie wiadomo jakiej gwiazdy policji.

– Ja akurat jestem gliną – odpowiedział zniecierpliwiony i wziął głęboki oddech. – Pies, smerf, gliniarz, nazywaj mnie, jak ci się rzecznie podoba, ale zabieraj się stąd i rób zdjęcia po drugiej stronie taśmy.

Fotograf podniósł ręce w akcie kapitulacji.

– Juánez, w jakiej gównianej robocie przyszło nam się babrać – powiedział zachrypniętym głosem. Miał nadzieję, że znajdzie sprzymierzeńca. – Stoimy po uszy w gównie, w upale, kłócąc się, kto będzie bliżej trupa jakiejś dziewczuchy.

Juánez odpowiedział mu półuśmiechem. Gruby miał rację. Lata, które spędził na fotografowaniu zbrodni, sprawiły, że wszystko, co robił,

wydawało mu się banalne. Zaczął robić zdjęcia jako młody chłopak. Wierzył w to, że jego zdjęcia były naprawdę wyjątkowe, że zbawią ludzkość. Jednak nic bardziej mylnego. Mordercy nadal zabijali, ludzkie szczątki wciąż wyglądały równie okropnie pomiędzy powykręcany żelastwem rozbitego samochodu, ludzkie mięso wciąż śmierdziało spalenizną jak pogorzeliśko po pożarze, a trupy dzieci nawiedzały go po nocach i nie pozwalały mu spać. Przez obiektyw aparatu widział niewyobrażalne, mrozące krew w żyłach sceny. Przyzwyczyił się do tego, że nigdy nikogo nie prosi o zgodę. Tylko raz zdarzyło się, że ktoś uznał go za bohatera. W jednym, bardzo skromnym domku w Luján znaleziono zmasakrowane ciała dwóch dziewczynek. Były siostrami. Jedna z nich miała dwanaście lat. Została zgwałcona i spalowana na śmierć. Natomiast drugiej z nich, czterolatce, udało się przeżyć pchnięcie nożem w samo serce. Nie było świadków, a dziewczynka, która przeżyła, z przerażenia utraciła głos. Gazeta wysłała Grubego, który jeszcze wtedy nie był wcale aż tak gruby, żeby zajął się zdjęciami z pierwszego dnia w szkole.

– Artykuł będzie nosił tytuł *Pomimo horroru życie zwycięża* lub coś w tym stylu – napomniał redaktor, jedząc hamburgera przy biurku w redakcji. – Pomyśl, jakie zdjęcia będą do tego potrzebne.

– Szef jest geniuszem – powiedział ironicznie Gruby. – Jeśli szef nie wygra Pulitzera za ten artykuł, to naprawdę sam już nie wiem.

– Przestań opowiadać pierdoły, kretynie. Ta historia ma potencjał, ale nie przychodzi mi do głowy, jak to, do cholery, ugryźć.

Gruby poszedł do szkoły dziewczynki, gdzie zrobił ponad trzysta zdjęć: dziewczynka z nauczycielami, dziewczynka z koleżankami, dziewczynka obserwująca podnoszenie flagi, stojąc w rzędku z innymi dziećmi i dokładnie ten moment, kiedy, ku zdumieniu wszystkich, dziewczynka przeżywa załamanie nerwowe i zaczyna krzyczeć i płakać. To było zdjęcie na pierwszej stronie gazety: dziewczynka patrząca w jakiś konkretny punkt z malującym się na twarzy przerażeniem.

– To jest jedno wielkie gówno – powiedział Gruby, stojąc w samym środku redakcji, rzucając gazetą o ścianę. Telefon Juáneza wyprowadził go

z równowagi, ale mimo zdenerwowania czuł też jednocześnie wdzięczność. Dzięki niemu przez chwilę mógł poczuć, że nie jest aż taką parszywą mendą.

– Gruby, to ty zrobiłeś zdjęcie z pierwszej strony?

– Tak, dokładnie, to moje główniane zdjęcie – głos mu się załamał, bo nigdy w życiu nie czuł się tak potwornie. – Jeśli chcesz się na mnie wyżyć, Juárez, to lepiej sobie odpuść. Nie jestem wcale dumny z tej roboty.

– Nie, Gruby, nie o to chodzi. Wywołaj cały materiał, jaki masz, i przyjdź do mnie jak najszybciej – powiedział i zawiesił głos. – Nie mów nic w redakcji, zgoda?

– Nie zawracaj sobie głowy pierdołami. Jadę do ciebie.

Przez całą noc Juárez i Gruby przeglądali setki zdjęć. Jedno za drugim. Zbadali wszystkie szczegóły za pomocą lupy, obejrzelili każdą twarz z osobna. Ich praca nie poszła na marne. Zdjęcie użyte na pierwszej stronie gazety było kluczowe: fotograf uchwycił moment, kiedy dziewczynka przeżywała atak paniki. Jej oczy wyrażały tylko strach. Coś musiało wprowadzić ją w ten stan.

– Gruby, zwróć uwagę, że dziewczynka patrzy w jakiś jeden konkretny punkt. – Obaj prawie położyli się na oryginalnym zdjęciu. – Odtwórzmy wszystko, co znajduje się po prawej stronie dziewczynki.

– Masz rację, Juárez – powiedział prawie szeptem. – Przestraszyło ją coś, co zobaczyła tamtego dnia w szkole.

Na podłodze w biurze Juáneza ułożyli swojego rodzaju kolaż i patrząc na niego z góry, starali się połączyć wszystko w logiczną całość. Łączyli ze sobą elementy, które na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie jedynie przypadkowego zbioru twarzy i migawek z różnych sytuacji. Juárez i Gruby spędzili godziny na układaniu zdjęć, ale dotarcie do sedna sprawy zajęło im zaledwie pięć minut.

– Ale z niego skurwieli! – wykrzyknął Gruby, wciąż wpatrując się w zdjęcia. Juárez zdążył już złapać za telefon, żeby wydać adekwatne rozkazy.

– Zbierajcie się biegiem! Wyślijcie radiowóz do domu dyrektora szkoły, do której chodzi ta dziewczynka z Luján – wykrzyczał śledczy. – Ja zajmę się nakazem przeszukania domu.

Tamtego dnia Gruby stał się bohaterem. Jego zdjęcia przydały się przy rozwiązywaniu zagadki kryminalnej. Właśnie kiedy dyrektor pojawił się w szkole, dziewczynka rozpoznała swojego oprawcę, a fotograf uchwycił chwilę, w której ofiara i jej kat spotykają się na szkolnym podwórku: dziewczynka odwróciła głowę, kiedy Gruby nacisnął na spust migawki. Oczy napływają jej łzami, a on właśnie wtedy robi zdjęcie. Ona zanosi się płaczem. Kolejne ujęcie. Wszyscy podchodzą do niej, żeby jej pomóc. Następne zdjęcie. Dyrektor patrzy na nią z nienawiścią. Fotograf znowu naciska na spust migawki. Klik. Dyrektor wbija wzrok w ziemię. Klik. Dyrektor zasłania twarz teczką. Klik. Dyrektor opuszcza szkolne podwórko. Klik.

„Beze mnie jesteś nikim”: powtarzał często Gruby Juárezowi, kiedy akurat się gdzieś spotykali. To był ich kod, którego używali mimo upływu lat. Pracując ramię w ramię, przyczynili się do tego, że dyrektor szkoły, pedofil i morderca, został skazany na dożywocie. Żaden z nich nigdy nie zapomniał tamtej historii, chociaż obaj udawali, że nie mieli ze sobą nic wspólnego. Gruby postawił u siebie w domu zdjęcie dziewczynki oprawione w niebieską, plastikową ramkę. Tymczasem Juárez przechowywał fotografię w skrzyni z pamiątkami w swoim biurze. Używał skrzyni jako niskiego stolika. Niewielu pamiętało, że przez chwilę byli bohaterami. Oni też zdawali się nie przykładać do tego zbytnej uwagi.

– Gruby, nie będę powtarzał tego w nieskończoność. Wracaj za taśmę.

– Tylko jedno zdjęcie, Juárez – nalegał fotograf. – I tak zaraz zjawi się tu cała medialna zgraja. Zrobię jeszcze tylko jedno i już mnie nie ma. Przynajmniej będą mieli gorsze okładki.

Juárez odwrócił się bez słowa i poszedł w stronę samochodu. Usłyszał kliknięcie za plecami i zauważył, jak flesz rozświetlił całą ulicę. Usiadł na chłodnym fotelu i patrzył, jak Gruby opuszcza zakazaną strefę, wsiada do samochodu i odjeżdża ze zdjęciem, po które tutaj przyjechał.

Telefon leżący na fotelu pasażera cicho wibrował. Juárez odczytał wiadomość, która przed chwilą się wyświetliła: „Beze mnie jesteś nikim, glino” i zaśmiał się w głos. Gruby zawsze wygrywał. Miał zamiar odpocząć chwilę w samochodzie aż do chwili, kiedy zjawią się pracownicy zakładu pogrzebowego i zabiorą Glorianę Márquez. Przyłożył głowę do szyby, zawiesił ręce na kierownicy i zasnął. Zanim pozwolił sobie odpłynąć, nie mógł pozbyć się myśli, że chociaż było jeszcze tak wcześnie, wszyscy dziennikarze wiedzieli już o zbrodni. *Show* miał się dopiero zacząć.

9

Dzisiaj jestem prawie martwa. Nie martwa ze śmiechu, bólu czy z miłości. Dzisiaj umieram naprawdę.

Morze Montañita jest jedyne w swoim rodzaju. To Pacyfik, ale jego wody są ciepłe. To raj dla surferów, chociaż nie zawsze są fale. Tak jak tego ranka, woda wyglądała spokojnie, bardzo spokojnie. Jednak nic bardziej mylnego.

Wstałam wcześnie, wcześniej niż zazwyczaj. Moja babka zawsze mi powtarzała, że trzeba wykorzystać cały dzień i tak też postępuję od lat. To też przyczyna mojej śmierci. Robię zbyt wiele rzeczy.

Ranek był przejrzysty. Słońce przestawało być tak łagodne i dobroduszne. Biały piasek powoli się nagrzewał. Był ciepły, ale nie parzący, ponieważ w Ekwadorze piasek nigdy nie parzy. Tajemniczy piasek. Nigdy nie zadałam sobie pytania, dlaczego tak właśnie się działo. Nie dlatego, że mnie to nie interesowało, ale dlatego, że za bardzo pragnęłam, żeby to miejsce pozostało dla mnie pewnego rodzaju tajemnicą. Pragnęłam tego z całego serca. Ale teraz, kiedy o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że dzisiaj umrę, odejdę, nie wiedząc nic o ciepłe tego piasku. Moja babka powtarzała wielokrotnie, że tylko duma człowieka każe mu chcieć wiedzieć jak najwięcej. Nie wiem, czy to dotyczy też wiedzy tak prozaicznej jak ciepło piasku, ale nigdy nie odważyłabym się zaprzeczyć mądrości mojej babki. Dlatego wolę mieć swoje wątpliwości.

Kiedy stawiałam kolejne kroki po plaży, myślałam o piasku, po którym pewnie szłam w stronę oceanu. Kiedy woda musnęła moje stopy, poczułam, że muszę się w niej zanurzyć. Obmyły mnie ciepłe, krystaliczne fale. Ściągnęłam białą spódniczkę, którą zazwyczaj zakładałam na strój kąpielowy i zamachnęłam się, żeby ściągnąć chustkę z głowy. Nie zrobiłam tego. Nie wiem dlaczego, ale ta koralowa chustka wyznaczyła granicę między życiem a śmiercią. Dlatego ten skromny skrawek materiału nazwałam „Prawie”. Uwielbiam nazywać przedmioty;

w ten sposób stają się po części moje, stają się moją własnością. Brak kogokolwiek, z kim mogłabym porozmawiać, kogoś, kogo mogłabym pojąć w posiadanie, doprowadził do tego, że otaczam się rzeczami i nadaję im ludzkie przymioty. Nie oszalałam. To moja zwyczajna samotność.

Powoli zanurzałam się w wodzie. Fale otuliły moje kostki, kolana; potem uda, pas, ramiona. Ocean mnie pochłonął. Płynęłam, a raczej unosiłam się na wodzie, nie zanurzając głowy i nie otwierając oczu. Czysta przyjemność. Kiedy niósł mnie ocean, myślałam o Buenos Aires. Zawsze myślę o Buenos Aires. Wtedy pomyślałam, że podczas gdy ja zanurzam się w tym bajecznym morzu, w Buenos Aires są ludzie, którym musi być gorąco, którzy narzekają na wilgoć, na śmieci na ulicach, na wszystko, bo w Buenos Aires wszyscy narzekają. Zawsze. A ja za pięć minut tej wilgoci z Buenos Aires oddałabym życie, za tę woń benzyny mieszającą się z zapachem przygotowywanych potraw, bo tak właśnie pachnie całe miasto. Zrobiłabym wszystko, żeby móc spacerować pośród sąsiadów noszących letnie obuwie, bo latem mieszkańcy Buenos Aires noszą lekkie ubrania, jakby plaża była stamtąd rzut beretem, za rogiem Cabildo i Juramento. Nigdy nie wróciłam do Buenos Aires. Nie dlatego, że ktokolwiek mi tego zabronił, ale dlatego, że nie chcę. Kiedy opuściłam stolicę, byłam przekonana, że niedługo wrócę. I kiedy planowałam ten szybki powrót, mijały lata. Dwadzieścia lat.

Otworzyłam oczy, zaskoczona własnymi przemyśleniami. Czy to już dwadzieścia lat? Zadając sobie to pytanie, zaczęłam szukać brzegu, ale nie byłam w stanie go zobaczyć. Bardzo sporadycznie jakaś ledwo zauważalna fala unosiła moje ciało tak, że w oddali mogłam zobaczyć plażę, ale była naprawdę daleko. Coraz dalej i dalej. Zebrałam siły, żeby spróbować dopłynąć do brzegu. Nie byłam w stanie tego zrobić. Przede mną wznosiła się jakaś zaczarowana ściana z wody. Zatrzymywała mnie w tym samym miejscu.

Podjęłam kolejną nieskuteczną próbę. I jeszcze raz. Wszystko na próżno. Z przerażenia straciłam kontrolę nad ciałem, a emocje wzięły nade mną górę. Gniew, przygnębienie, złość. Nie mogłam pozwolić, żeby to wszystko przydarzyło się akurat mnie. Nie mnie, nie teraz. Oczy zaszły mi mgłą, a jakiś ostry krzyk ogłuszył mnie na następne kilka chwil. Czy to był mój krzyk? Czy to właśnie ja krzyczałam? Nie, to nie był mój głos. Zaraz potem po raz kolejny usłyszałam krzyk,

ale tym razem jeszcze bardziej donośny. Zatkanam uszy, próbując utrzymać się na wodzie, ruszając nogami. Nic mi nie pomagało: tonęłam. I właśnie w tamtej chwili mój głos złączył się z innym, obcym.

„Co czujesz? Umierasz. Lunga, powiedz mi coś, czy śmierć jest przyjemna?”

Wychyliłam głowę ponad poziom wody. Spojrzałam na prawo, spojrzałam na lewo. Nie było nikogo wokół mnie. Ocean, czysty ocean. Ale to ona wypowiedziała wcześniejsze słowa. Mówiła do mnie. To musiała być ona. To nie mógł być nikt inny. Nadal robi sobie ze mnie żarty.

„Tak, Lunga, to ja. Jestem tam. Nigdy nie odeszłam daleko. Zabij się. Zbierz się na odwagę. Tak przynajmniej będzie sprawiedliwie”.

Zaczęłam się trząść. Nagle ciepłe wody wyraźnie się ochłodziły. Zaczęło palić mnie w płucach. Serce prawie wyskoczyło mi z piersi. To musiała być ona. Przyszła po mnie. I śmiała się ze mnie. Jak zawsze musiała robić sobie ze mnie żarty.

„Ach, Lunguita, ale z ciebie skomplikowane stworzenie! Zabij się, mała dziwko, teraz przyszła kolej na ciebie”.

Nazywała mnie „Lunguita”. Wyzywała od chudzielców tak samo, jak robiła to wcześniej. Minęło dwadzieścia lat, ale nic się w tej kwestii nie zmieniło. Nic a nic, pomyślałam.

– Wcale nie mam zamiaru umrzeć! – odpowiedziałam, jak najdonośniej umiałam, chociaż wiedziałam, że mój krzyk pochłonie nicość. Ja też musiałam się wykrzyknąć. – Słyszysz? Nie umrę! Zostaw mnie w spokoju, ty zaszrana dziwko! Spieprzyłaś mi całe życie! To ja zdecyduję, kiedy umrę. Nie zamierzam oddać ci tego przywileju. Słyszysz mnie?

Cisza. Nagle przejrzałam na oczy. Woda znowu była cieplejsza. Znowu byłam zupełnie sama. Jej już nie było. Duchy zmarłych są tak samo słabe i ułomne jak ciała, które kiedyś zamieszkiwały. A ja wiedziałam o niej wszystko. Wiedziałam, co zrobić, żeby zaczęła mówić, ale przede wszystkim wiedziałam, co powiedzieć, żeby zamilkła. Mimo wszystko, ocean nadal pozostawał dla mnie niebezpieczną pułapką. Pochłonął mnie. Byłam jego niewolnicą. Wzięłam głęboki oddech i zaczęłam zastanawiać się, jak rozsądnie zarządzać resztkami sił. Nie byłam w stanie dotknąć dna. Leżałam na wodzie. Ocean decydował, gdzie popłynę. Przyjęłam pewną strategię: poruszałam na zmianę nogami i rękami. Kiedy

chciałam, żeby moje ręce odpoczęły, ruszałam nogami, a potem gdy moje nogi zaczynały słabnąć, płynęłam, polegając jedynie na ruchu rąk. To było całkiem dobre wyjście, ale ile czasu byłabym w stanie unosić się na wodach oceanu, wykonując te ruchy?

Wokół nie było nikogo, kogo mogłabym poprosić o pomoc. Nikt na plaży nie byłby w stanie mnie usłyszeć. Była tylko woda. I właśnie kiedy nachodziły mnie te myśli, prawie odruchowo zdjęłam z głowy koralową chustkę i zaczęłam nią machać tak wysoko, na ile byłam w stanie wyciągnąć prawą rękę. Wtedy w oddali zauważyłam mężczyznę, który zaczął się do mnie zbliżać. Kiedy był już całkiem blisko, mogłam dostrzec więcej szczegółów: zdałam sobie sprawę z tego, że płynął w moją stronę na desce surfingowej. Zalała mnie fala spokoju, był tuż obok mnie. Zdażył do mnie podpłynąć i zbliżyć swoją deskę. Nie spodziewałam się takiego obrotu sytuacji.

– Ej, dziewczyno! Jestem przy tobie. Wskakuj na deskę i oddychaj głęboko! – wykrzyknął rozentuzjasmowany.

Spełniłam tylko jedną prośbę i wspięłam się na deskę. Spodobało mi się, że nazwał mnie dziewczyną. Lubię wyglądać na młodszą.

– W tym miejscu przepływa dość podstępny prąd morski. Sama byś się nie uratowała. Jeszcze kilka minut i byłoby po tobie, dziewczyno. Wskakuj na deskę, ruszaj rękami, a ja będę prowadził „Syrenkę” aż do samego brzegu.

– Przepraszam? Nic nie rozumiem – wreszcie udało mi się coś powiedzieć.

– Tak nazwałem moją deskę. Nazywa się Syrena.

Położyłam się na desce na brzuchu. Rozłożone nogi, ręce wyciągnięte po bokach. Ja i Syrena z perspektywy nieba przypominałyśmy krzyż. Przyłożyłam policzek do deski, żeby poczuć wilgoć drewna i zamknęłam oczy. Wydawało mi się, że jestem martwa. Wydawało mi się, że jestem nią. Jakbym dopiero co ją zobaczyła. To tylko halucynacja, która trwała zaledwie minutę. Niebieska koszulka, czarne majtki, bransoletka na kostkę z zawieszkami w kształcie serduszek, którą dałam jej na urodziny. I krew. Ta niestusznie i tak obficie przelana krew. Poczulałam niepohamowaną chęć, żeby się rozplakać, ale ostatecznie zaczęłam śmiać się na głos. Dwadzieścia lat. Wszystko wydawało się takie odległe. Martwe. Mgliste.

– Dziewczyno, opanuj się. Wcale nie powinno ci być do śmiechu. Ten prąd ciągnie nas w dół. Ruszaj rękami, a ja będę pchał deskę.

– Lepiej zrobmy na odwrót. Zesztywniały mi ręce.

Nagle uśmiech zniknął z mojej twarzy. Nie miałam siły, a akcja ratunkowa nawet się nie zaczęła.

– Nie ma mowy. Nie masz pojęcia, jak kierować deską. Nie wiesz, która fala wypycha nas do góry, a która ciągnie nas w dół.

– Nie mogę już. Nie dam rady.

– Jasne, że dasz radę. Dalej. Nie masz innego wyjścia. Nie poddawaj się.

Musiałam zagarniać wodę rękami, a on popychał deskę w stronę właściwej fali. Nie mogliśmy pozwolić sobie na żaden błąd. Jakakolwiek podstępna fala mogła wysłać chłopaka, Syrenę i mnie na drugą stronę.

– Gotowa? Raz, dwa, trzy. Przebieraj rękami! Szybciej! – krzyknął zdesperowany.

Dobra fala przepływała właśnie pod nami. Podpłynęliśmy daleko do przodu, ale w obliczu bezkresnego oceanu nasze wysiłki wydawały się nikłe.

– Teraz nadpływa druga. Teraz albo nigdy! Daj z siebie wszystko!

Czułam, jak płoną mi płuca. Sól w ustach była okrutnie żrąca. Nie wiem, czy to była woda, czy moje własne łzy. Z pewnością mój wcześniejszy śmiech był tylko reakcją na rozpacz, która zaczynała przejmować nade mną kontrolę. To musiały być łzy. Łzy w moich ustach.

– Jeszcze jedna! Teraz!

Włożyliśmy we wszystko tyle wysiłku, a nadal znajdowaliśmy się w połowie drogi.

– Nie mogę już. Odpocznijmy przez chwilę, proszę.

– Chyba oszalałaś, dziewczyno. Nie możemy się zatrzymać. Ruszaj rękami!

– Nie mogę.

– Ruszaj się, dziewczyno! Ruszaj się, walcz o własne życie!

Nie wiem, czy to ton jego głosu, czy rozkaz, żebym walczyła o własne życie, ale uderzyło mnie to z ogromną mocą. Jakby było moją wewnętrzną mantrą. Jak za

sprawą magii jego słowa stały się dla mnie inspiracją do działania. Zaczęłam płynąć, ruszając zapalczywie rękami. Płynęłam, bo chciałam zawalczyć o własne życie. I życie tego, który chciał mnie ocalić.

10

Ostatnia sprzyjająca nam fala zabrała nas bezpośrednio na plażę. Leżeliśmy wykończeni na brzegu. Przez chwilę pozostawaliśmy w dokładnie tej samej pozycji: z głową skierowaną ku słońcu, ale z zamkniętymi oczami; wciąż łapaliśmy ostrożnie oddech i czuliśmy, jakbyśmy właśnie pokonali największego wroga.

– Dziękuję – powiedziałam, poruszając powoli rękami i nogami. Chciałam sprawdzić, czy każda część ciała wciąż znajdowała się na swoim miejscu.

– Nie musisz mi za nic dziękować. Wykonałem swój obowiązek.

Zaskoczył ją służbowy ton głosu chłopaka. Jak mógł mówić o jakimkolwiek obowiązku?

– Przepraszam, nie rozumiem, co chcesz mi przez to powiedzieć. Jesteś ratownikiem?

– Częściowo tak. Jestem trochę takim wybawicielem. Właśnie tym się zajmuję. Dbam o ludzi. I czasami, tak jak dzisiaj, nawet ratuję im życie.

– No dobrze. Wydaje mi się, że trochę sobie schlebiasz – powiedziałam i zaśmiałam się, a potem usiadłam i zaczęłam strzepywać z siebie piasek.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Czym sobie niby schlebiam? Wcale nie muszę. Jestem wyjątkowy. Przyszedłem na ten świat, żeby ocalić wszystkich przed złem.

Właśnie wtedy nasza rozmowa przestała mi się podobać. Chłopak, leżąc nadal na piasku z zamkniętymi oczami, zaczynał opowiadać coraz gorsze brednie. Miałam ochotę wstać i zostawić go samego z jego urojeniami, ale wydawało mi się to niekulturalne, bo przecież przed chwilą uratował mi życie. Postanowiłam zmienić temat.

– Jak się nazywasz?

– Tapuy.

– Tapuy? To chyba mało spotykane imię.

– To imię z baśni. Pewnej ekwadorskiej starej opowieści. A ty jak masz na imię?

– Minerva.

Zaśmiał się, a potem zaśmialiśmy się oboje.

– Minerva? – zapytał, naśladując mój argentyński akcent i dodał również z tym akcentem: – Co to niby za imię?

– To też imię z mitologicznym rodowodem. Stara rzymska opowieść – wyjaśniłam chłopakowi.

Usiedliśmy razem na brzegu morza. Tapuy ma szesnaście lat i niepokojące spojrzenie. Błyszczące, ale smutne oczy. Smutne i jednocześnie przebiegłe. Urodził się w Ekwadorze, w mieście Baños, u stóp wulkanu Tungurahua. Pierwsze lata życia spędził w samym środku bujnej dżungli. Mieszkał w murowanym ranczo wybudowanym, jak oświadczył, przez chochliki, z którymi wciąż utrzymywał kontakt. Tapuy jest marzycielem. Jego rodzicami był bardzo sędziwy pan, który nie wyglądał na jego ojca, i niesamowicie młoda mama. Twierdzi, że nie ma rodzeństwa, bo go nie potrzebuje, co najmniej jakby to od niego zależało, jakby w jego rodzinie wszyscy wykonywali rozkazy rozkapryszonego jedynaka.

– Kiedy skończyłem siedem lat, wyprowadziliśmy się z Baños i przeprowadziliśmy się do Montañity. Tutaj po raz pierwszy zobaczyłem morze. Wcześniej myślałem, że to jakiś wymysł turystów, którzy przybywali do nas, do dżungli. Wątpiłem w istnienie mórz i oceanów. I podjąłem decyzję o tym, że muszę się nauczyć, jak oswajać wzburzone wody.

– Chcesz powiedzieć, że chciałeś nauczyć się pływać?

– Nie, oswajając wody. Ty płynęłaś, a prawie utonęłaś. Ja wiem, jak oswoić ocean, dlatego cię uratowałem.

Znowu przybrał pozę nieznośnego egocentryka. Tapuy był wyjątkowo szczupły i niski jak na swój wiek. Mimo to już na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że jego ciało było wysportowane.

– Tutaj, w Ekwadorze, wszyscy powinni wiedzieć, jak ujarzmić dzikie fale. Ludzie spędzają swój wolny czas albo w wodzie, albo ćwicząc bezustannie na siłowni. Jedyne, co widzę, to pięknie wyrzeźbione ciała.

– My biedacy już od dzieciństwa musimy dźwigać ciężkie sieci do łowienia krewetek, langust i krabów. Przewieszamy przez ramiona grube kiści bananów i owoców guanabany ukradzione matce naturze i niesiemy je na sprzedaż, dla turystów, czasami w palącym słońcu. Albo wleczone przez kilometrowe plaże nędzne wózki z ceviche. Wszystko, żeby zarobić kilka centów, oferując regionalne specjały. Tak zarabiamy na życie tutaj, w Montańicie.

Nie pierwszy raz wysłuchiwałam opowieści o ekwadorskiej biedzie. Niestety wielu miejscowych uszyło sztandar ze wszystkich swoich upokorzeń, a ja patrząc na tego nieprzestającego mówić chłopaka, zadawałam sobie tylko jedno pytanie: co on właściwie wie o cierpieniu? Nie zdaje sobie sprawy, z kim prowadzi rozmowę. Chociaż Tapuy chciał wzbudzić we mnie litość, nie mogło mu się to udać. Na pewno nie w takich okolicznościach.

– Tapuy, wszystko, co mówisz, jest niezwykle smutne, ale od jakiegoś czasu rzeczy mają się chyba lepiej. Montańita stała się bardzo modnym miejscem. Szczególnie dla surferów, którzy oszaleli na punkcie tego miejsca i przyjeżdżają do was z całego świata, próbując oswoić dzikie wody, jak ty to nazywasz.

– Turyci nie oswajają żadnego miejsca. To morze już jest oswojone. Wiele lat temu tacy biedni chłopcy jak ja i rdzenni mieszkańcy okiełznali ocean.

Nie miał zamiaru zmienić swojego zdania. Był niezwykle uparty. Najwidoczniej nie chciał pamiętać o tym, że powoli, ale konsekwentnie zabudowywano uliczki w centrum Montańity. A murowane rancza, do których konstrukcji używano kiedyś też twardych palmowych gałęzi, zaczęły zmieniać się w pensjonaty i bary. To właśnie te domy otworzyły swoje drzwi przed hipisami przyjeżdżającymi z Europy i marzącymi o otwarciu sklepików z rękodziełem na ekwadorskim wybrzeżu lub na Ruta del Sol. Osiedlali się w starych ranczach, bo byli przekonani o tym, że znaleźli swoje miejsce na ziemi. Obcokrajowcy przyczynili się do tego, że rozwinęła się tu turystyka, a oni nie żyją już tylko z rybołówstwa. Nowo przybyli stali się największym źródłem dochodów, dlatego rząd zdecydował odnowić trasę prowadzącą do Guayaquil. A co jest najbardziej absurdalne, czasami można odnieść wrażenie, że w tym kraju mówi się wyłącznie po angielsku. Najmłodszy mieszkańcy Montańity wykpiłi się ze swojego nieuchronnego losu ciężko pracujących rybaków i nieuchronnej biedy, które czekały na nich od chwili

narodzin. Teraz wszyscy pracują jako instruktorzy surfowania i przewodnicy turystyczni. Jedynymi rzemieślnikami są osadnicy z Europy.

Tapuy nie był wyjątkiem. Rano kroił cebulę, ostrą paprykę i rybę, przygotowując ceviche i tacos w kuchni jednej malutkiej restauracji na plaży. Natomiast po południu za piętnaście dolarów za godzinę udzielał turystom lekcji surfowania. Dzięki temu, że łączy te dwie prace, uratował mi życie: tego rana obierał krewetki w barze, ale kiedy podniósł głowę znad potrawy, coś nagle przykuło jego uwagę. Wydawało mu się, że ktoś w oddali wymachiwał energicznie jakimś czerwonym materiałem. A dzięki temu, że tak umiejętnie posługuje się deską do surfowania, jestem teraz, gdzie jestem.

– No dobrze, Minervo. Ja będę się zbierać – powiedział, przerywając tym samym moje zamyślenie. Wstając powoli ze swojego miejsca, zaczął otrzepywać z piasku swoją zaczarowaną deskę, Syrenę. – Muszę wrócić do kuchni. Jeszcze nie skończyłem zmiany. Ale zanim sobie stąd pójdę, dam ci jedną radę.

Wbiłam w niego spojrzenie.

– W tych wodach przepływa bardzo niebezpieczny prąd. Właśnie tutaj, naprzeciwko Montañity. Nikt nie jest w stanie go wypatrzeć, ale kiedy już się na niego natkniesz, będzie dla ciebie za późno. Nie wiadomo, w którym dokładnie miejscu się zaczyna ani kiedy zanika. To wielka tajemnica tego oceanu. Wielkie wyzwanie dla tych, którzy pragną okiełznać nieoblaskawione wody. Tym razem wygraliśmy obydwój, ty i ja. Ale uważaj, bo ocean nie daje tak łatwo drugiej szansy.

– Nie mam zamiaru o nią prosić. I chociaż pewnie nie będziesz chciał mi wierzyć, musisz wiedzieć, że ja też potrafię okiełznać ocean.

Wstałam, podałam mu rękę, w odpowiedzi uścisnął ją i odszedł. Jego ręka była szorstka i poraniona. Dzielili nas cisza. Zaniemówiliśmy. Po raz pierwszy spojrzałam mu prosto w oczy. Były zielone, tak samo zielone jak moje własne spojrzenie. Jednak w jego oczach było coś niepokojącego, coś, co nie współgrało z resztą.

– Tapuy, co ci się stało w prawe oko?

– To Święta.

– Ja widzę tylko plamę.

– Kiedy zbliżysz się do mnie z zupełnie czystą duszą, w moich oczach ujrzysz Świętą.

Podeszłam bliżej, chciałam zobaczyć jego oczy z bliska. Wytężyłam wzrok, żeby dostrzec Świętą, o której mówił Tapuy, ale widziałam tylko odbarwioną tęczę. Włożyłam mnóstwo energii w to, żeby udowodnić jemu i sobie, że moja dusza była bez skazy, ale wszystko poszło na marne. Wciąż widziałam brązową plamkę na jego jasnozielonej tęczy.

– Tapuy, nie widzę Świętej. Ale skoro mówisz, że tak jest, nie będę ci zaprzeczać.

– To żaden wymysł, Minervo. To słowa Boga. To on naznaczył mnie tym stygmatem, żebym wiedział, że zostałem wybrany.

Jeszcze raz musiał wrócić do swoich mistycznych objawień. Każda cierpliwość kiedyś się kończy, dlatego chociaż uratował mi życie, podjęłam decyzję o opuszczeniu plaży. Zostałam wszystko takim, jakim było.

– W porządku, Tapuy. W twoich oczach mieszka Święta.

Odwrócił się i odszedł, ciągnąc za sobą Syrenę.

Był bardzo specyficznym chłopakiem. I ze Świętą w oczach czy też bez niej, był ekscentryczny.

11

Spał trzy godziny. Całkowicie wykończony po omacku zaczął szukać budzika, który dzwonił nieubłaganie na stoliku nocnym.

– Do jasnej cholery – wyszeptał Juánez. Nagle pod palcami wyczuł przeszkodę i w tej samej chwili zrzucił szklanekę z wodą. Dało się słyszeć szkło rozbijające się o podłogę na drobny pył.

Przez chwilę leżał z twarzą zwróconą do sufitu w półciemnym pokoju. Mruczenie klimatyzatora byłoby w stanie jeszcze raz go uśpić, ale tłoczące się w głowie myśli to uniemożliwiały. Nie był w stanie się zrelaksować pomimo zmęczenia i kilku godzin snu.

Musiał wstać, wziąć prysznic, ubrać się i przeszukać internet. To było najbardziej nużące zadanie: czytanie nagłówków dzienników online. Musiał dowiedzieć się, czy do mediów dotarła wiadomość o morderstwie dziewczyny z północnej części miasta. Albo mówiąc ściślej: musiał zobaczyć, w jaki sposób udało im się wyzebrać tych kilka skromnych informacji. Zazwyczaj tego typu zadaniami zajmowała się Juliana. Ubrana w samą bieliznę, czasami naga, czytała mu pierwsze strony gazet. Obydwoje byli świadomi, że nie chodziło w tym wszystkim o dowiedzenie się czegoś nowego. To była jej ulubiona forma uwodzenia, którą opanowała do perfekcji, jak gejsza. Cokolwiek by wypłynął z jej ust, wydawało się błahostką. To był najlepszy rok w jego życiu. Rok, kiedy mieszkał z Julianą.

Poznał ją w supermarkecie. Juánez przemierzał alejki, popychając wózek z zakupami, kiedy nagle zobaczył ją w dziale z nabiałem. Sparaliżowało go. Odbierała mu oddech: wysoka, z pięknie wyrzeźbionym ciałem, czarnymi włosami aż do samego pasa i intrygującym kolorem oczu. Jej niebieskoszare oczy. Juánez nie potrafił opisać jej piękna słowami. Dziewczyna ubrana w krótkie dżinsowe spodenki i dość obcisłą, czerwoną

koszulkę, która podkreślała jej krągłości, spacerowała po sklepie, jakby była główną bohaterką filmu. Zjawiskowa. Juánez znalazł wreszcie przymiotnik, który do niej pasował, i mimowolnie go wymamrotał. Przez chwilę przeszło mu przez myśl, żeby coś do niej powiedzieć, ale co mógł jej powiedzieć? „Cześć, mam czterdziestkę, ale jestem w dobrej formie i do tego pracuję jako policjant. Jestem świetnym policjantem i mieszkam sam”. Jak tylko o tym pomyślał, wybuchnął śmiechem. Przyjął do wiadomości, że kobiety jej pokroju nie pasują do mężczyzn takich jak on. Stał bardzo blisko stoiska z warzywami, kiedy nieostrożny gest dziewczyny zwrócił jego uwagę. Podeszła powoli, odsuwając od siebie koszyk tak, żeby nie irytowały jej rozjechane kółka wózka. I jeszcze raz wykonała dokładnie ten sam ruch. Nie było miejsca na żadne wątpliwości.

– Domyślałam się, że pani ma zamiar zapłacić za te jogurty, które wkłada do torebki, prawda?

Powiedział to poufałym tonem, stojąc za jej plecami, delikatnym szeptem. Mógł zgłosić to do ochroniarza, ale Juánez był policjantem, a nie kapusiem. Dziewczyna obróciła się do niego z płonącym niebieskozielonym spojrzeniem.

– Nie, nie mam zamiaru za nie zapłacić. Chyba że jest pan kierownikiem supermarketu. Ale jeśli nim pan nie jest, nie muszę się przed panem tłumaczyć.

Był naocznym świadkiem kradzieży. Na własne oczy widział, jak ta dziewczyna kradła. W dodatku kradła obok najlepszego policjanta w tym kraju.

– Proszę, żeby pani odłożyła te produkty do lodówki. A ja z kolei udam, że niczego nie widziałem i wszyscy wyjdziemy cało z tej afery.

– Wszyscy? Jacy wszyscy? Pan i kto jeszcze? – rzuciła. – Proszę mnie nie rozśmieszać. Niech wraca pan do swoich spraw i niech się pan nie wtrąca w cudze życie.

– Panienko, wtykanie nosa w cudze życie to akurat moja praca. Jestem policjantem. Proszę mnie nie zmuszać, żebym wyciągnął odznakę. Pani

jest złodziejką, przed chwilą tak pani zeznała, a ja nie mogę pozwolić na to, żeby takie rzeczy miały miejsce na moich oczach.

Zamierzał zdobyć się na jak najpoważniejszy ton, ale nie był w stanie wypowiedzieć ani jednego poważnie brzmiącego słowa. Mimo wszystko udało mu się użyć swojego najbardziej seksownego głosu. Po raz pierwszy w swojej karierze zdał sobie sprawę z tego, jak bezkarne potrafi okazać się piękno. Najpiękniejsza złodziejka, jaką widział w całym swoim życiu, rzucała mu wyzwania prosto w twarz. Poczul się idiotycznie.

– No proszę, panie policjancie – dziewczyna wyśmiała go, patrząc na niego z góry na dół. – Możemy coś zrobić: ja wstawię jogurty do lodówki, a pan będzie dalej robił sobie zakupy. Tak będzie w porządku?

– Wręcz idealnie.

Dziewczyna włożyła jogurty i karton mleka, którego komisarz wcześniej nie zauważył, a w międzyczasie Juánez postanowił obrócić się i zająć się swoimi sprawami. To było najlepsze wyjście. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

Dwadzieścia minut później przeznaczenie zgotowało im niespodziewane spotkanie w kolejce do kasy. Cóż, Juánez w rzeczywistości pomógł odrobinę przeznaczeniu. Zobaczył ją w jednej z kolejek i stanął za nią. Miała prawie pusty koszyk i pękającą w szwach torebkę. Kiedy przyszła kolej dziewczyny, policjant poczuł, że musi zainterweniować.

– Kochanie, nie zapomnij wyłożyć na taśmę tych rzeczy, które wsadziliśmy do twojej torebki – powiedział i spoglądając na kasjerkę, dodał: – Muszą państwo wymienić te wózki, bo nie da się w nich robić zakupów. Jak się ma dużo zakupów w środku, kółka się rozjeżdżają i trzeba pakować rzeczy, gdzie kto akurat może.

W trakcie swojego wystąpienia jako przykładowy mąż złapał za torebkę dziewczyny i zaczął układać na taśmie jogurty, mleko i masło.

– Ach, tak, tak, proszę pana. Wszyscy cały czas na to narzekają – powiedziała kasjerka, zbliżając produkty do czytnika kodów kreskowych.

Juánez zapłacił za zakupy swoje i dziewczyny. Chwycił ją mocno za ramię i wyszli razem z supermarketu.

Na ulicy, pod białymi światłami markizy supermarketu dziewczyna go pocałowała. Był to gorący i namiętny pocałunek. Juánez upuścił torby. Słysząc było tylko głuchy odgłos spadających na ziemię siatek, ale on się tym nie przejmował i mocno przytulił dziewczynę. Tak się to wszystko zaczęło.

Tęsknił za nią. Oczywiście nie zawsze, jednak wspominał ją zawsze w takich codziennych sytuacjach. Miłość, której nagle zaczyna brakować, potrafi niespodziewanie wkraść się do naszej codzienności.

Wstał i skierował się bezpośrednio do łazienki, żeby wziąć zimny prysznic. Ubrał się w wygodne i przewiewne ubrania – ciemnogrnatowe, lniane spodnie i białą koszulę – zapowiadał się bardzo upalny dzień. Od kiedy stał się doradcą w Wydziale Kryminalnym, jego policyjny mundur zalegał na dnie szafy. Był poza prawem. Zostawił protokoły daleko za sobą.

Podgrzał kawę z wczoraj. Była niesmaczna, ale mu to nie przeszkadzało; lata spędzone na komisariacie uodporniły jego podniebienie. Potem włączył komputer i zaczął, aż zacznie działać. Chciał dowiedzieć się jak najwięcej. Potrzebował zebrać informacje, zobaczyć, co prasa wypisała o zbrodni popełnionej zeszłej nocy. Otworzył stronę jednego ze swoich ulubionych dzienników online, który miał zapisany w zakładce. Im więcej się dowiadywał, czuł, jak coraz bardziej gorzknieje kawa w jego ustach.

– Do kurwy nędzy z nimi wszystkimi – szepnął. – Do kurwy nędzy z nimi wszystkimi! – powtórzył jeszcze głośniejszym głosem.

Odłożył kubek z kawą i podszedł szybko do stolika nocnego, na którym zostawił komórkę. Po drodze wbił mu się w stopę odłamek szkła. Nie posprzątał roztrzaskanej wcześniej szklanki.

– Do kurwy nędzy ze wszystkim! – krzyknął.

Usiadł na łóżku. Jedną ręką wybrał numer telefonu, a drugą próbował wy badać, czy rana na stopie była głęboka. Na szczęście było to tylko drobne draśnięcie. Natomiast w słuchawce słysząc było kolejne ponaglaające sygnały.

– Ordóñez, co się, do cholery, dzieje? Nawet najbardziej frajerski dziennik ma informacje o morderstwie dziewczyny.

– Dzień dobry, szefie. Nie wiem, o czym szef mówi. Nie czytam dzienników.

– A powinieneś, kochaniutki. Lepiej, żebyś zrozumiał, co chcę ci przez to powiedzieć: dziennikarze nie narzucają mi tempa śledztwa, ale jak widać, minister i ci wszyscy, którzy stoją nad nim, nie czytają twoich notatek, które robiłeś do piątej nad ranem. Gównu ich obchodzi, jakie informacje można wyciągnąć z miejsca zbrodni, rozumiesz? Oni czytają gazety i stamtąd się o wszystkim dowiadują – wykrzykiwał Juánez, ledwo łapiąc powietrze ze złości. – Dlatego, jeśli jakiś dziennikarzyna napisze, że podejrzanym jest pracownik magazynu, twoim zadaniem jest odnalezienie typa i wypytanie go o dosłownie wszystko, żebym potem, kiedy przyjdzie do mnie minister i zacznie wypytywać, kim jest rzeczony pracownik magazynu, mógł mu odpowiedzieć, że dziennikarz znowu napisał jakiś gówniany artykuł. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Ordóñez?

Po drugiej stronie słuchawki dało się słyszeć przerażające milczenie, które nagle przerwał drżący głos Ordóñeza.

– Gazety podejrzewają pracownika magazynu?

– Nie, Ordoñez! Mam ci tłumaczyć, że jesteś idiotą? Poszukaj służącej chłopaka zamordowanej dziewczyny. Chcę, żeby za godzinę była w biurze.

– Tak, szefie, już się robi.

Juánez nie usłyszał odpowiedzi Ordóñeza, bo zdążył już zakończyć połączenie ze swoim podwładnym.

12

Walenie do drzwi postawiło ją na równe nogi. Przeraził ją nie tylko hałas: niskiej jakości drewno prawie złamało się pod napierającymi uderzeniami wprawiającymi wszystkie ściany w domu w drżenie. Już dobre kilka lat temu Alcira Quiñones opuściła Peru z zamiarem ułożenia sobie życia w Argentynie. Jedną znajomą, również Peruwianką, pomogła jej w znalezieniu niewielkiej działki w Villa La Cava, gdzie niedługo potem rozpoczęła budowę domu. Nigdy nie udało jej się go dokończyć. Budowa stanęła na pewnym etapie, tak że pozostał w połowie blaszak, w połowie murowany dom.

Alcira była pomocą domową w domu państwa Liniers, małżeństwa z dwójką synów, typowej rodziny z północy Buenos Aires. Pasowały jej godziny pracy: zaczynała koło południa, a wychodziła z ich posiadłości, kiedy kończyli jeść kolację. Chociaż dom był całkiem duży, nie musiała zajmować się wszystkim, bo pani Liniers była wymagająca względem swoich domowników i każdemu przydzielała jakieś obowiązki. Kiedy Alcira przychodziła do pracy, łóżka były już zaścielone, do jej zadań należało więc tylko gotowanie i mycie łazienki trzy razy w tygodniu, a także prasowanie koszul pana Liniers i chłopców. Już jakiś czas temu Rodrigo i Matías przestali być małymi dziećmi, dlatego Alcira nie musiała też zajmować się pieluchami ani znosić ich kaprysów.

Młodszy chłopak miał szesnaście lat, a Rodrigo – dwadzieścia cztery. Chociaż fizycznie byli młodymi mężczyznami, Alcira zajmowała się nimi bezustannie: gotowała im ich ulubione dania, z czułością prała i prasowała ich koszulki i starała się też, żeby przed weekendem mieli przygotowane swoje najlepsze ubrania. Chłopcy wychodzili na miasto, żeby potańczyć. Przywiązywali dużą uwagę do wyglądu. Widziała, jak dorastali, i być może

dlatego traktowała ich, jakby byli jej młodszymi braćmi. Wspólnie żartowali, śmiali się, a czasami nawet zwierzali. Byli bardzo blisko. Nawet mówili jej o dziewczynach, które sprowadzali od czasu do czasu do domu, i popijając z Alcirą mate, składali jej relację ze swoich przelotnych miłości. Kuchnia była całym światem Alciry, w którym czekała na chłopców ze świeżo upieczonymi ciasteczkami albo mandarynkowym biszkoptem, ulubionym ciastem Rodrigo.

Przecierając łazienkę ścierką nasączoną płynem, myślała o tym, że musi kupić mandarynki, kiedy nagle te zapierające dech w piersi uderzenia w drzwi wejściowe wystraszyły ją tak, że cała zaalarmowana wylała na podłogę miskę z brudną wodą.

– Kto to? Co się dzieje? – krzyknęła, wychodząc z łazienki i próbując jednocześnie wyminąć cuchnącą kałużę. – Już idę! Bo zaraz mi się chałupa rozleci!

– Policja, proszę natychmiast otworzyć drzwi.

Kobieta otworzyła bez wahania. Policjanci nie czekając na zaproszenie, weszli bez pytania. Dwóch mężczyzn stało przed nią w jej domu. Nie pamiętała, czy się przedstawili. Jeden przeszedł od razu do pokoiów, a drugi bezczelnie się na nią patrzył. I właśnie w tej chwili Alcira zaczęła płakać.

– Co się dzieje? Proszę mi to wyjaśnić... Nie... rozumiem... – odważyła się powiedzieć, ale słowa nie przychodziły jej z pomocą. – To jakaś pomyłka... bardzo panów proszę.

– Proszę pani, jesteśmy z Wydziału Kryminalnego – przedstawił się jeden z funkcjonariuszy, pokazując odruchowo plakietkę. – Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa Gloriany Márquez, a pani jest związana bezpośrednio z tym przypadkiem. Proszę się uspokoić i poczekać, aż przeszukamy dom.

Kiedy drugi policjant przeszedł koło niej, wyciągnął przed siebie pomarszczony skrawek papieru, który według niego miał być nakazem przeszukania. Alcira nie była w stanie niczego przeczytać, a to, co przed

chwilą usłyszała, odebrało jej mowę. Przełknęła ślinę, wzięła głęboki oddech i w końcu zebrała się, żeby coś odpowiedzieć:

– Glo... Glo... riana... nie żyje?

– Oj, oj, oj... Proszę nie udawać zdziwionej, bo takich aktorek ze spalonego teatru to my mamy na pęczki.

Kobieta przeżywała tak dotkliwy szok, że nie zwróciła uwagi na przykry komentarz policjanta.

– Proszę pana, proszę mi powiedzieć, co się dzieje. Co stało się Glorianie?

– Jest martwa, zasztyletowana, a że uderzyć tak, żeby zaboląło, potrafi tylko ten, kto wie, gdzie znajduje się najsłabszy punkt, jest pani podejrzana. Dlaczego ją pani zabiła?

– Ale ja nikogo nie zabiłam. Proszę nie opowiadać bzdur. Bardzo pana proszę. – Nie potrafiła wydobyć z siebie więcej słów. Płakała, złapała ją czkawka i zaczęła chorobliwie pociągać nosem. – Musi mi pan uwierzyć... Niech pan porozmawia z moimi przełożonymi. Oni mnie znają.

Mężczyzna otaksował ją wzrokiem z góry na dół i triumfalnym gestem założył ręce na klatce piersiowej, ciesząc się otwarciem z beznadziejnego położenia kobiety, jednak nagle jakiś nieoczekiwany hałas przestraszył ich oboje.

– Arévalo, co tam znowu spaprzałeś? – wykrzyczał policjant, nie spuszczając oczu z Alciry.

Arévalo odpowiedział z pokoju kobiety:

– Nic takiego. Spadła na mnie szafa – wyjaśnił, wygrzebując się spod stosu ubrań, a potem dodał: – Nic nie znalazłem, czarnuchu. Ani zakrwawionych ubrań, ani noży, nic.

Do Alciry zaczęło docierać, co właściwie teraz miało miejsce: podejrzewano, że to ona zamordowała dziewczynę syna jej pracodawców. Paradoksalnie to ją uspokoiło. Wiedziała, że jest niewinna, nie musiała niczego ukrywać; mogli przeszukiwać jej dom, jeśli mieli na to ochotę, bo nic, co by tu znaleźli, nie mogłoby mieć żadnego związku z morderstwem.

Jednak nie ma chyba na świecie drugiej tak łatwowiernej osoby jak ten, kto wierzy w swoją niewinność. Jeszcze nie przeszło jej przez myśl, że czasami to podejrzenia stają się bardziej wiążące niż dowody. A ona była podejrzana o morderstwo.

Policjanci włożyli do worka na śmieci rzeczy, którym chcieli się przyjrzeć potem. Albo, innymi słowy, rzeczy, które potem mogły stać się dowodami: bardzo zużyte adidas, jasnoniebieski mundurek, który Alcira zakładała w domu państwa Liniers, koszulka z podobizną Marilyn Monroe, również bardzo zużyta, wszystkie noże z kuchni i pęk kluczy. Na nic zdało się tłumaczenie, że były to klucze do jej domu i domu jej pracodawców. Policjanci wytłumaczyli jej, że równie dobrze mogły to być klucze do domu zamordowanej dziewczyny.

Jednak najbardziej zatrważającą chwilą był moment, kiedy założyli jej kajdanki. Wtedy miała wrażenie, że świat się pod nią zawalił. Alcira Quiñones, Peruwianka, wychodziła zakuta w kajdanki ze swojego skromnego domu w Villa La Cava. Jak przestępca. Jak zabójca. Drogę do radiowozu, eskortowana przez policję, przeszła ze spuszczoną głową. Chociaż wbiła wzrok w ziemię, wyobrażała sobie, że wszyscy sąsiedzi patrzyli na nią oskarżająco. Czuła, że policzki płonęły jej ze wstydu i z tego samego powodu uciskało ją w żołądku. Spokój, którym mogła się jeszcze przed chwilą cieszyć, rozpląnął się w powietrzu. Nie wierzyła już w to, że dzięki niewinności uda jej się wyjść cało z tej sytuacji. Nie była już niczego pewna, nawet tego, że była niewinna.

Juánez zjawił się bardzo wcześnie w biurze Ministerstwa Bezpieczeństwa. Odkąd przestał być aktywnym funkcjonariuszem policji i pracował jako doradca w Wydziale Kryminalnym, przez narzucone mu godziny pracy żył jak niewolnik. Podyktowany z góry sposób pracy nie współgrał z jego osobowością, niszcząc mu życie. Coraz gorzej sypiał, jadł coraz mniej i nie miał czasu, żeby odpocząć. Po głowie zaczynały mu krążyć różne myśli. Być może zmiana stanowiska wcale mu nie służyła. Minister postawił sprawę bardzo jasno: potrzebowali kogoś z odpowiednim wykształceniem, ale kto jednocześnie będzie miał wiedzę praktyczną, z tak zwanej ulicy, żeby móc działać jak najbliżej ogniska zbrodni i w optymalnym momencie je ugasić. Użył właśnie tych podniosłych słów: „działać blisko ogniska zbrodni i w optymalnym momencie je ugasić”. Juánez przyjął jego słowa jako wyzwanie. A każde wyzwanie dostarczało mu adrenaliny, od której był uzależniony i bez której nie umiał żyć. Dlatego przyjął jego propozycję.

Tak właściwie, chociaż czasami nachodziły go wątpliwości i narzekał na obecną sytuację, to nie był wcale kiepski układ: lepsze zarobki, możliwość wykorzystania wiedzy podczas rekonstrukcji profili przestępców, a poza tym, wciąż mógł być obecny na miejscu zbrodni. Ale oczywiście cały proces był naprawdę czasochłonny, wszystkie procedury ciągnęły się w nieskończoność. Policjanci pracujący w terenie nazywają to „niehumanitarnymi nadgodzinami”. Bo po takiej harówce, śmieją się między sobą, nie zostaje z ciebie nic ludzkiego.

Po przekroczeniu progu biura, zaczął zastanawiać się nad kupieniem rozkładanego fotela, żeby zaoszczędzić sobie czterdziestominutowej podróży w tę i z powrotem. Juánez uwielbiał zaprzeczać samemu sobie. Robił to bezustannie. To było jego prawdziwe hobby.

Nieoczekiwanie dzwonek telefonu przerwał jego rozmyślenia.

– Tak, zamieniam się w słuch.

– Szefie, jesteśmy dwie przecznice stąd.

– Doskonale, czekam na was.

Ordóñez przeprowadził skutecznie całą akcję. Zanim się położył spać, rozkazał swoim podwładnym, żeby znaleźli służącą państwa Liniers. Juárez chciał ją przesłuchać i przekonać się, czy istnieją jakiegokolwiek przesłanki, żeby podejrzewać ją o popełnienie zbrodni na Glorianie i tym samym zasugerować prokuratorowi zajmującemu się tą sprawą, żeby wydał nakaz zatrzymania kobiety. Nie minęło nawet piętnaście minut, kiedy drzwi jego gabinetu się otworzyły.

– Już jesteśmy, szefie.

– Wchodźcie, chłopaki, wchodźcie. Zapraszam.

Dwoje policjantów weszło do pomieszczenia, zdejmując czapki przed komisarzem. Przed nimi szła zakuta i prowadzona przez funkcjonariuszy Alcira Quiñones. Przekroczyła próg biura ze spuszczoną głową.

– Rozkujcie ją – powiedział zdecydowanym tonem Juárez i z chłodną uprzejmością zwrócił się do kobiety – pani usiądzie tutaj. Proszę bardzo.

Służąca podniosła głowę i spojrzała pewnie przed siebie, natychmiast usiadła tam, gdzie powiedział jej Juárez i z zażenowaniem oparła ręce na kolanach. Oczy napłynęły jej łzami.

– Pani Quiñones, musi mi pani wszystko powiedzieć.

Alcira zaczęła się cała trząść.

– Wszystko, ale o czym? Nic nie rozumiem.

– Zobaczmy, czy się dobrze rozumiemy. Czy znała pani Glorianę Márquez?

– Tak, oczywiście.

– Dobrze, bo właśnie ją zamordowano, a ostatnią osobą, z którą dziewczyna się pokłóciła, jest akurat pani. A mając na uwadze

okoliczności, to, że dziewczyna jest martwa, może się pani już domyślić całą resztę... Prawda?

– Tak... Ja to wszystko rozumiem... Ale ja nie mam z tym nic wspólnego... Przysięgam na wszystko – zapewniała szlochająca kobieta.

– Ja tylko pani radzę, żeby zachowała sobie pani te łzy dla siebie. Najlepiej na później. Teraz ma pani zeznawać. Proszę mi powiedzieć, co łączyło panią z Glorianą Márquez?

– Nic nas nie łączyło. Tak ogólnie mówiąc... Ale nie tak, że zupełnie nic. Bo ją znałam.

– To łączyło czy nie łączyło panią coś z Glorianą Márquez? Jaka jest pani ostateczna wersja?

– Jest... Co ja mówię? Była... dziewczyną starszego syna moich pracodawców. Była dziewczyną Rodrigo.

Odpowiedzią Juáneza było milczenie. Ograniczył się do zapisywania zeznań służącej.

– Chodzą ze sobą jakoś od roku mniej więcej – tłumaczyła dalej kobieta. – Ostatnio trochę się kłócili, ale zaczynali się godzić. Są dość wybuchową parą i...

Juánez raptownie jej przerwał.

– Alcira, chyba nadal się nie rozumiemy. Nie interesuje mnie, jaką byli parą. Interesuje mnie, *co łączyło panią* z tą dziewczyną – powiedział dosadnie Juánez, patrząc jej prosto w oczy. Słucham pani.

– Cóż, ona przychodziła od czasu do czasu do domu państwa Liniers i w stosunku do innych była całkiem miła, ale nie wobec mnie. Na początku mówiła mi „dzień dobry”, ale po pewnym czasie przestała. Ignorowała mnie albo nie zwracała się do mnie z szacunkiem. Sama nie wiem, o co jej chodziło.

– A co łączy panią z Rodrigo?

– Nie rozumiem, o co pan pyta... Dlaczego zadaje mi pan tego rodzaju pytania? Co ma mi pan zamiar wmówić? – im dłużej mówiła, tym wyższy stawał się głos Alciry.

– Proszę się nie denerwować, tylko odpowiadać.

– Utrzymujemy zupełnie normalne kontakty – odpowiedziała trochę znużonym tonem. – To bardzo dobrze wychowany chłopiec, a ja bardzo go kocham i myślę, że ze wzajemnością. Przynajmniej mam takie wrażenie.

– Dzisiaj jest piątek, zgadza się? – zapytał Juánez, a Alcira przytaknęła. – Wczoraj, w bardzo konkretnym momencie dnia doszło do zabójstwa Gloriany. I akurat tak się złożyło, że pani pokłóciła się z nią w środę w nocy.

– Pokłóciliśmy się... Nie, tak właściwie to ona zaczęła się ze mną kłócić.

Alcira przybrała zupełnie inny ton głosu. Kiedy mówiła o Glorianie, jej gesty stawały się bardziej agresywne. Wyglądało na to, że zapomniała, że dziewczyna już nie żyła. Alcira nie wyrażała żadnej skruchy. Juánez odnotował w notesie tę zmianę w zachowaniu, a służąca kontynuowała swoją opowieść.

– Całe popołudnie wczoraj przyrządzałam *ceviche*, bo Rodrigo uwielbia peruwiańskie potrawy i zawsze mówi, że nikt nie potrafi zaprawić ryby tak jak ja – mówiła z wyraźną dumą w głosie. – Jego rodzice jedli coś na mieście, a brat Rodrigo akurat był nad morzem, więc mieliśmy w planie zjeść *ceviche* tylko we dwoje...

– Kto tak zaplanował? To był pani pomysł? Czy Rodrigo?

– Nie umiem tak dokładnie odpowiedzieć. Chyba razem tak zadecydowaliśmy. Zadzwoiłam do niego i powiedziałam mu, że przyrządziłam jego ulubione danie i wydawał się bardzo zadowolony z tego powodu.

– Co stało się później?

– Rodrigo wrócił do domu koło ósmej wieczorem, ale nie wrócił sam, przyjechał z Glorianą – wyjaśniła kobieta, nie ukrywając irytacji takim stanem rzeczy.

– Nie sam, ale z Glorianą... – powtórzył powoli, z widocznym zadowoleniem. – A pani, rzecz jasna, się zdenerwowała...

– Nie, wcale nie byłam zdenerwowana – odpowiedziała szybko Alcira. – Ale... sama nie wiem... Prawda jest taka, że nie musiała wcale przychodzić.

Juánez nie mógł wytrzymać i podniósł oczy znad żółtych kartek swojego notesu, w którym zapisywał zeznania kobiety. „Nie musiała wcale przychodzić” – to właśnie powiedziała Alcira i wydało mu się to tak istotnym, wiążącym zeznaniem, że postanowił nie powtarzać go w jej obecności. Ograniczył się do ponownego zapisania tych samych słów i ich podkreślenia.

– Proszę mówić dalej, słucham, co ma pani do powiedzenia...

– Obydwoje weszli do kuchni, potem Rodrigo podniósł pokrywkę garnka i zaczął wyjaśniać swojej dziewczynie, czym jest *ceviche*.

– Jak zareagowała?

– Zaraz wykrzywiła jej się cała buzia i powiedziała, że nie lubi surowych ryb – odpowiedziała kobieta, zmieniając wyraz twarzy.

– Nie ulega wątpliwości, że poczuła się pani bardzo urażona, prawda?

Kobieta opuściła głowę i po raz kolejny przybrała pozę bezbronnej.

– Trochę tak, ale Rodrigo powiedział jej, że nie zna się na dobrym jedzeniu i że powinna spróbować *ceviche*. Poprosił mnie, żebym nałożyła im jedzenie, każdemu na osobnej tacy i poszli jeść do jego pokoju.

Alcira znowu zaczęła płakać. Nie wiadomo było, czy przez to, że była podejrzana o zabójstwo, czy z powodu zrujnowanej wymarzonej nocy. Jednak jedna rzecz była oczywista: jej łzy, jej udręka, nie były spowodowane śmiercią Gloriany.

– Kiedy zaczęła się pani klócić z zamordowaną?

– Po chwili. Zeszła do mnie cała rozwścieczona i oświadczyła mi, że przygotowałam gówniane jedzenie i rozkazała, żebym ugotowała coś normalnego.

– I co pani zrobiła?

– Też się na nią wydarłam. Powiedziałam jej, że nie jestem jej służącą i że jak jej nie smakuje moje *ceviche*, to żeby poszła coś zjeść w jakiejś restauracji.

– I ona sobie poszła?

– Nie, ale szkoda, że tego nie zrobiła. Powiedziała mi, że jestem zasraną czarnuchą i że chcę jej ukraść chłopaka. Właśnie to mi powiedziała.

– Aha... proszę mówić dalej...

– Nic więcej nie mam do powiedzenia.

– Alciro, proszę mówić dalej.

– Cóż, ja... podeszłam do niej i zaczęłam szarpać ją za włosy. – Całe jej ciało drżało, ale głos pozostawał niezmienny. – I powiedziałam jej, żeby zostawiła nas w spokoju.

– Żeby zostawiła was w spokoju? Kogo miała zostawić?

– Nas wszystkich.

– Alciro, czy pani jest zakochana w Rodrigo?

Kobieta nie odpowiedziała. Nie musiała nic mówić. Schowała twarz w dłoniach, opuściła głowę i bez żadnych zahamowań zaczęła płakać.

Juánez zamknął swój notes. „Ona nie musiała przychodzić” było zdaniem, które ciągle krążyło mu po głowie. Zdanie zostało kilkakrotnie podkreślone.

„Minervo, kochanie, przynieś mi naszyjnik z pereł. Jest tak upiornie gorąco”. Miała zaledwie sześć lat, a wiedziała, że jak usłyszy tę prośbę, którą tak bardzo uwielbiała, będzie musiała jak najszybciej, nie tracąc ani chwili, odnaleźć upragnioną biżuterię babci Inés. To był najbardziej naglący z rozkazów. Mogło jej spaść ciśnienie, gdyby nie założyła swojego naszyjnika. Nalegała, posługując się żarliwą argumentacją. Uważała, że perły są w stanie niezwykle szybko ochłodzić ludzkie ciało.

Dziewczynka zostawiła zeszytik z rozwiązanymi w połowie łamigłówkami i pobiegła do pokoju swojej ukochanej Cocó, jak pieszczotliwie nazywała babcię. Otwieranie przeogromnej babcinej szafy zawsze wydawało jej się niezmiernie przyjemnym zajęciem. Pociągnęła delikatnie za rączki z brązu i wzięła głęboki wdech, wypełniając płuca zapachem fiołkowego talku, który roznosił się po pokoju za każdym razem, kiedy otwierało się garderobę. Magia zaczynała się od zmysłu zapachu. Potem czary działały się na jej oczach: natychmiast zapalały się światła wewnątrz i mogła zobaczyć idealny rząd półek ze szmaragdowego szkła i malutkie szufladki z wyciosanego drewna ze złotymi, kwiatowymi złobieniami. Później przychodziła kolej na doznania słuchowe: cieniutką strunę wystającą z jednej strony szafy; Cocó nauczyła ją, jak obracać sznurek, kiedy otwierała drzwi jej garderoby. „Jeśli usłyszysz muzykę, będzie to znaczyło, że jesteś moją ukochaną wnuczką”. Tak zazwyczaj opowiadała jej bardzo niskim głosem. Mówiła do niej jak do swojej bratniej duszy, stawiając przed nią nie lada wyzwanie. Minerva zawsze słyszała muzykę. A na sam koniec czekała ją przyjemność degustacji: na pierwszej półce, w zasięgu jej ręki, zawsze, ale to zawsze leżała szkatułka oprawiona w fioletowy materiał, wypełniona po brzegi owocowymi czekoladkami.

„Możesz wziąć tylko jedną”, pouczyła ją babcia, a Minerva słuchała jej nakazów z prawdziwym nabożeństwem.

Powtarzała ten sam rytuał od pierwszego kroku po ostatni, jakby był wręcz wryty w jej pamięci. Zawsze identyczne ruchy, zawsze identyczne słowa. Jakby chodziło o najważniejszą scenę w przedstawieniu teatralnym, odgrywaną dzień za dniem w dokładnie takich samych dekoracjach. Minerva na resztę życia zapamięta ją jako szafę przyjemności. I tak samo będzie wspominać swoją babcie – jako jedyną istotę, która była w stanie urzeczywistnić jej marzenia, nawet te najtrudniejsze albo wręcz niemożliwe.

Musiała stanąć na palcach, żeby dosięgnąć do szkatułki z biżuterią. Najpierw przesuwiała opuszkami palców po masie perłowej, potem naciskała na nią najmocniej, jak umiała, a następnie, nie wypuszczając pudełka z rąk, ściągała je z najwyższej półki. Tak nauczyła ją babcia Cocó. „Ostrożnie, kochanieńka, ten kuferek sam w sobie jest skarbem. To różowa masa perłowa. Nikt nie ma takiego drugiego. Po dotknięciu takiego dzieła sztuki nie powinnaś myć rąk” – mówiła jej babcia przed otwarciem tego skarbu.

Tamtego dnia, tak jak miała w zwyczaju, Minerva otworzyła szkatułkę z biżuterią z należytą pieczołowitością. Była wyłożona granatowym jedwabiem i miała trzy małe przegródki, w których babcia przechowywała złote pierścionki i kamienie szlachetne. Największa z nich była zarezerwowana dla naszyjnika z pereł. Podwójny sznur połączony platynową broszką i drobnymi diamentami w kształcie serca.

Ta drogocenna biżuteria była prawdziwą słabością Cocó. Zawsze znajdowała jakąś wymówkę, żeby ją założyć: ślub, czyjeś urodziny, ważne wyjście. Albo upał. Tak jak dziś. Mówiła, że przez to, że perły rodzą się i dojrzewają w ostrygach, w morzu, zachowują świeżość wody i wiatru poruszającego morskimi falami. Obstawała przy swojej teorii tak uparcie, że nikt nie śmiał się jej sprzeciwić. Perły chłodzą. I nie ma żadnej dyskusji.

– Proszę, Cocó – wyszeptała mała Minerva.

– Dziękuję ci, kochanie – odpowiedziała serdecznie uśmiechająca się babcia. Słowa wieńczące rytuał, wyczekiwany przez Minervę gest i do tego wszystkiego wdzięczne i czułe spojrzenie jej babci.

Cocó założyła naszyjnik z tak ogromną ulgą, jakby co najmniej jakiś środek przeciwbólowy ujarzmił jej naglące cierpienie. Z perłami okalającymi szyję czuła się o wiele lepiej. Przeszczęśliwa dziewczynka wróciła do swoich łamigłówek, podczas gdy równie zadowolona babcia zaczęła na nowo wyszywać.

Minerva myślała, że jej babcia była piękną, ale też ekscentryczną i odrobinę szaloną staruszką. Z upływem lat zdała sobie sprawę z tego, że Cocó była snobistyczną arystokratką wykorzystującą cały arsenał sztuczek. Udawała głupszą, niż była w rzeczywistości, żeby wszyscy spełniali jej zachcianki. Mimo to kochała ją nad życie i wydawało jej się niezwykle urocze, że chociaż całe swoje życie zajmowała się domem, umiała przyrządzić jedynie galaretkę owocową i ciasteczka scone. Mąż pozwalał jej, żeby zachowywała się jak źle wychowana dziewczynka. Być może postępował tak z miłości albo bał się ją stracić i tym samym przyczynił się do tego, że ta kobieta z wyższych sfer stała się wyrachowaną malkontentką. Tata, tak nazywali dziadka, bardzo zamartwiał się tym, co mogłoby się stać jego małej Inés, jeśli umarłby pierwszy.

– Bo ona nie umie gotować, nigdy nie pracowała, nie wie, jaką wartość mają banknoty. Mój Boże! Co babcia zrobi beze mnie? – narzekał przy okazji każdego rodzinnego spotkania. A ona zupełnie bezbronna patrzyła na niego z uśmiechem i odpowiadała:

– Lepiej się nie zamartwiaj, kochanie, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał mi pomóc.

I tym zdaniem, wypowiedzianym teatralnym tonem, babcia Cocó przyzywała do obowiązku wszystkich obecnych, zapewniając sobie równie bezpieczną przyszłość.

– Czy ktoś chce więcej galaretki? – Oferując innym swoje jedyne popisowe danie, zawsze kończyła swoją mistrzowską, manipulatorską rozgrywkę.

Można było odnieść wrażenie, że nikt nie miał świadomości, że to właśnie babcia miała najsilniejszy z nich charakter. Zapomnieli – lub nigdy nikt się tym nie przejął – że wymuszonymi uśmiechami i precyzyjną modulacją głosu wymusiła na swojej córce, żeby jej najukochańsza wnuczka nosiła takie imię, jakie jej się podobało: Minerva. Tamtego dnia w szpitalu, kiedy jej córka dopiero co wydała na świat tę cudowną istotę, Cocó nie miała zamiaru pójść na żaden kompromis. Weszła do sali porodowej w czarnym futrze z karakułów, idealnej fryzurze i swoim słynnym sznurze pereł. Stała naprzeciwko łóżka, spojrzała córce prosto w oczy i z ujmującym, ale stanowczym spojrzeniem ogłosiła:

– Myślałam nad kilkoma rzeczami... Moja wnuczka nie będzie zwykłą i nudną dziewczynką. Daj jej na imię Minerva. Zaufaj mi. To imię uchroni ją w najbardziej fatalnych chwilach jej życia.

Wszyscy wiedzieli też doskonale, że Inés miała obsesję na punkcie sów. Wyszywała je na poduszkach, malowała je akwarelami; rzeźbiła drewniane figurki, odlewała sowy w porcelanie i wyciosywała je w kamieniu, kupowała pamiątki w ich kształcie, kiedy towarzyszyła dziadkowi w podróży. Z wysoko podniesioną głową, przybrała teatralną pozę i podkreśliła:

– Musisz mnie posłuchać. Dziewczynka musi nazywać się Minerva. Wiem, co mówię.

Wypowiedziała te słowa, obróciła się na pięcie i odeszła. Córka uśmiechnęła się, jakby była posłusznym dzieckiem. Przyzwyczała się do aktorskich wystąpień swojej matki i jej trafionych przepowiedni.

– Minerva – szepnęła, pieszcząc swoją córeczkę.

Minerva.

15

Inés María Quesada była piątą córką w tradycyjnej, katolickiej rodzinie argentyńskich oligarchów. Wychowała się w czasach, w których arystokracja była wyraźnie odseparowana od reszty społeczeństwa, ale obejmowała wiele grup: żyjącą luksusowo klasę średnią spędzającą wakacje w Mar del Plata w hotelach Comfortable lub Royal, wpływową klasę średnią wybierającą dopiero co otwarty Hotel Bristol i najbardziej prestiżowych oligarchów z kontaktami, którzy też wybierali ten ostatni hotel, ale ich pokoje znajdowały się na ostatnim piętrze zarezerwowanym wyłącznie dla *crème de la crème*. Do tej ostatniej grupy społecznej należała Inés lub raczej Inesita, jak wszyscy się do niej zwracali.

Jej ojciec, Estanislao Quesada, miał tak silne wpływy, że udało mu się przekonać ówczesnego gubernatora w Mar del Plata, żeby wybudowano bulwary i esplanady, którymi miały cieszyć się i spacerować przyszłe pokolenia. „Mój ojciec jest właścicielem całej ulicy, a nawet i całego morza”, mówiła malutka Inesita, kiedy przechadzali się brzegiem morza, a jej matka spoglądała na nią z dumą i należyłą uwagą.

Lourdes María Lainez de Quesada nie śmiała zaprzeczyć swojej córce, że morze było ich własnością. Dziewczynkę wychowano właśnie w takim przekonaniu, że wszystko, absolutnie wszystko jej się należało. Miała szczęśliwe dzieciństwo, wszyscy otaczali ją czułością, obdarowywali małymi prezentami i spełniali zachcianki. Zawsze, ale to zawsze dawano jej odczuć, że jest najlepsza, najpiękniejsza i najinteligentniejsza i przez to najwięcej od niej oczekiwano. „Inesita jest prawdziwą księżniczką. I dzięki swojemu wychowaniu, będzie gotowa, żeby zawrzeć małżeństwo z mężczyzną z najwyższych sfer” – opowiadała doña Lourdes, jej matka.

„Niebo stoi przed nią otworem”. A kiedy odnosiła się do społeczeństwa, ograniczała się jedynie do elity Buenos Aires, ściślej grupki uprzywilejowanych osób nakreślających przyszłość ekonomiczną i polityczną całego kraju. Dla Lourdes cała reszta była zwykłą hołotą lub „zawszoną klasą średnią”, jak to lubiła określać, bo wiedziała, że rodzina Quesada stała ponad całym społeczeństwem. Dziewczynka była posłuszna rodzicom i za każdym razem, kiedy zachowywała się impertynencko, jak prawdziwa bogaczka, brano to za dobrą kartę. „Co za charakterek ma nasza Inesita”, „Jak świetnie ustawiła się w życiu!”, powtarzali jej wszyscy, zupełnie nieświadomi, że w ten sposób stawali się głównymi ofiarami tej despotycznej i rozkapryszonej dziewczynki.

Z upływem czasu Inés u progu dorosłości stała się piękną, młodą kobietą. Była wysoka i szczupła. Miała piękne, błyszczące, karmelowe włosy, które idealnie kontrastowały z jej jasnymi oczami o trudnym do określenia odcieniu: czasami bywały zielone, kiedy indziej szare jak stal. Jej matka zajmowała się ubieraniem dziewczyny zgodnie z najnowszą, europejską modą. Wymiary Inesity były znane w najlepszych damskich zakładach krawieckich we Francji, skąd dwa razy do roku wysyłano jej całą kolekcję, letnią i zimową. Wszyscy byli do tego stopnia oczarowani jej urodą i szykiem, że nawet sklep Gath & Chaves przy ulicy Florida zaproponował doñi Lourdes wszystkie swoje ubrania, żeby dziewczyna nosiła tylko i wyłącznie ich kreacje.

– Nie, nie, moi kochani, Inés María przywdziewa jedynie kroje europejskie – odpowiadała jej wyniosła matka.

Lubiła życie na pokaz. „Piękne i drogie rzeczy służą temu, żeby poniżyć innych”. Właśnie taką zasadę wyznawiała elita Buenos Aires.

Rodzina Quesada nigdy nie odpuściłaby sobie święta Recoleta obchodzonego 12 października naprzeciwko kościoła Nuestra Señora del Pilar. To jedyny tydzień, w którym wszyscy najbogatsi mieszkańcy zapominali o swoich obowiązkach i spotykali się, żeby oglądać parady, bawić się i jeść na wolnym powietrzu. Mężczyźni w zamszowych kapeluszach i z drewnianymi laseczkami zwieńczonymi wykonanymi ze

złota lub kości słoniowej gałkami w kształcie pięści rozmawiali o najnowszych wydarzeniach politycznych, interesach i wiadomościach docierających z Europy. Kobiety ubrane w eleganckie, jedwabne sukienki o wyrazistych kolorach i z ozdobnymi falbankami zajmowały się tylko jedną kwestią: znalezieniem najlepszej partii dla swoich dzieci.

W międzyczasie sama młodzież, nie zdając sobie sprawy z tego, że właśnie decydowano o ich przyszłości, patrzyła znudzona, jak inni zajadają się ciastami z kremem, czekoladkami, popijając herbatę z angielskiej fajansowej zastawy. Chłopcy wypatrywali tylko okazji, żeby wyrwać się z przyjęcia i wybrać się do jakiegoś teatru, pójść na koncert i wypić przy okazji kilka kaw, co ostatnio było jedną z najmodniejszych rozrywek. Wpół omdlałe dziewczęta ufały matkom zabiegającym o ich przyszłość, widząc ją taką, jaką wymarzyły sobie ich opiekunki. Mogły liczyć tylko na to, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Nie było innych możliwości, więc pogodzone ze swoim losem objadały się piankowymi czekoladkami i piły lemoniadę.

Inesita nie przepadała za świętem Recoleta i nawet kilka razy udała, że boli ją głowa, żeby zostać w posiadłości Belgrano ze swoją niańką, która zajmowała się nią, mimo że nie była już małą dziewczynką. Jedynym interesującym ją wydarzeniem był karnawał. Parada Palermo przechodziła przez aleję Sarmiento i była obowiązkowym wydarzeniem dla klasy wyższej, która ostentacyjnie prezentowała swoje dopiero co przybyłe z Francji kreacje.

Lato 1952 było niezapomniane dla Inés nie tylko dlatego, że był to pierwszy karnawał, na którym miała pokazać się wszystkim i dać całemu światu do zrozumienia, że już jest piętnastoletnią panią, lecz dlatego, że tamtego pamiętnego lutego poznała miłość swojego życia. Jedyne go mężczyznę, który zostawił niezacieralny ślad w jej duszy, ślad, który niczym cygańskie zaklęcie będzie przechodził z pokolenia na pokolenie.

Kiedy go zobaczyła, wstrzymała oddech i zatrzymała dłonie, nie kończąc wcześniejszych oklasków. Rodzina Quesada zasiadała na jednej z głównych trybun na trasie przemarszu, skąd mogli cieszyć się widokiem

najlepszych popisów wszystkich osób uczestniczących w paradzie. Mimo całej świetności tego wydarzenia blask karnawału nagle zniknął dla Inesity, kiedy pośród tłumu wypatrzyła tego wysokiego chłopaka z rozczochranymi włosami opadającymi na oczy. Ciemne spodnie, biała koszula z odpiętymi górnymi guzikami i podwiniętymi do łokci rękawami nadawały mu nieprzeciętnego, aroganckiego uroku wyraźnie odstającego od elegancji całego otoczenia.

– Mamo, kim jest ten młody chłopak w białej koszuli na trybunach naprzeciwko? – zapytała Inés, chwytając matkę za ramię, żeby wyrwać ją z karnawałowego amoku.

– Który, najdroższa?

– Ten wysoki.

– Ten rozczochrany prostak? Z rozpiętą koszulą?

– Tak, ale nie wydaje mi się, żeby był prostakiem. Czy to syn jakichś waszych znajomych?

Doña Lourdes zaśmiała się w głos zanim jej cokolwiek odpowiedziała.

– Oby Bóg nie usłyszał twoich słów! Żaden z naszych znajomych nie miałby takiego delikwenta za syna. Kto by to widział! Kochana, przecież od stóp do głów to zwykły cham.

Doña Lourdes zakończyła dyskusję zniecierpliwionym ruchem ręki. Nie miała zamiaru tracić ani sekundy swojego cennego czasu na rozmowy o ludziach, którzy w ogóle jej nie interesowali. Ale doña Lourdes był tak samo uważną obserwatorką, jak powierzchowną burżujką, dlatego kiedy jednym okiem śledziła karnawałowy przemarsz, drugim kontrolowała córkę, która na jej nieszczęście nie odrywała wzroku od chłopaka. Poczowała niezwykłą ulgę, kiedy zakończyła się parada, a jej mąż Estanislao zaproponował, żeby poszli napić się herbaty ze swoimi pięcioma córkami do Las Violetas, uroczej kawiarenki w dzielnicy Almargo.

Kawiarenka była jeszcze piękniejsza niż zwykle, zdobiona błyszczącymi, marmurowymi stolikami i krzeselkami z brązu oraz witrażami barwiącymi całe wnętrze na wszystkie możliwe kolory. Obok każdego stołu stał mały

stolik z hartowanego szkła, ozdobiony metalowymi, zwisającymi łańcuszkami. Leżały na nim bawełniane serwetki pachnące fiołkami, co oczywiście było jasnym nawiązaniem do nazwy cukierni. Państwo Quesada zasiadali w najlepszym miejscu, na samym środku sali, wystawiając się na publiczny podziw i krytykę.

– Po wiedeńskiej kawie i brioszce dla każdego – zdecydował don Estanislao Quesada, nie pytając towarzyszących mu kobiet o zdanie, chociaż i tak nikt nie mógłby odmówić sobie tego pysznego wypieku, którego przepisu ściśle strzeżono w Las Violetas.

Kiedy czekali na zamówienie, żartując i wspominając paradę, Inesita z siostrą, Sarą Raquel, wstała i wyszła do toalety. Sara Raquel miała osiemnaście lat, ale jak na swój wiek zachowywała się niezwykle dziecinnie. Była grubsza i miała mysie włosy. Nie była ładna. Jako jedyna spośród siostr Quesada nie miała jasnych oczu. Jej brak urody sprawił, że matka nigdy nie zwracała na nią uwagi, doña Lourdes miała wszakże ważniejsze rzeczy do zrobienia: „Najpierw muszę wydać za mąż pozostałe cztery córki. Sarą Raquel zajmę się później, bo to nie będzie wcale łatwe zadanie”, często mówiła tym, którzy jeszcze mieli cierpliwość jej wysłuchiwać.

Inesita, jej najpiękniejsza córka, i Sara Raquel, ta najmniej urodziwa, były nierozłączne. Właśnie szły razem korytarzem prowadzącym do toalety w kawiarni, kiedy przestraszył je gruby i szydrczy głos.

– No proszę, siostrzyczki Quesada. Co za zaszczyt poznać panienki osobiście!

Dziewczyny obróciły się. To był on – ten bezczelny chłopak w rozpiętej koszuli. Teraz opierał się o ścianę z rękami założonymi na piersi i spoglądał na nie drwiąco.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Jestem Inés María Quesada – przedstawiła się, wyciągając przed siebie rękę i wskazując skinieniem głowy na swoją siostrę, dodała: – a to Sara Raquel. Tak jak wcześniej słusznie zauważyłeś, to moja siostra.

Chłopak patrzył na nią ze zdziwieniem, nie przypuszczał bowiem, że najpiękniejsza z sióstr Quesada odpowie na jego ironiczne zaczepki z podobną pewnością siebie. Poczul się głupio i chciał odwrócić kota ogonem: odgarnął nieposłuszny kosmyk włosów, który zawsze opadał mu na oczy, i pochylając się delikatnie w jej kierunku, przyłożył subtelnie usta do grzbietu wyciągniętej ręki Inesity.

– A ja jestem Hilario Robeldo. Zajmuję się filozofią i mam nadzieję, że pozwoli mi panienka podarować sobie jedno zdanie mistrza Friedricha Nietzschego – powiedział, prostując się i donośnym głosem wyrecytował z pamięci: – „Kobieta idealna jest gatunkiem przewyższającym mężczyznę idealnego, ponieważ jest to też dużo rzadszy gatunek”.

Zamilknął na chwilę, jakby chciał sprawdzić, jakie wrażenie wywołały jego słowa. Sara Raquel patrzyła na niego z przerażeniem, a Inés, wręcz przeciwnie, nie czuła się wcale onieśmielona i zaśmiała się w głos, co zakłopotало chłopaka.

– Panie Robeldo, doceniam pana komplement, ale nie jestem zainteresowana metafizyką. Bardziej zajmuje mnie szkoła heglowska – odpowiedziała wyzywająco.

Hilario poczul, jak zimny pot zaczyna spływać mu po plecach. Nie przypuszczał, że paniusia z wyższych sfer odgryzie się, powołując się na Hegla.

– Moje uszanowanie, panienko Quesada – odpowiedział, kłaniając się teatralnie przed nią, a całkowicie ignorując obecność Sary Raquel.

Ona zaśmiała się jak rasowa uwodzicielka i natychmiast mu odpowiedziała.

– Nazywaj mnie Inés.

– W porządku, Inés – powtórzył chłopak i spojrzał na nią w półuśmiechu.

– Hilario, mów do mnie Hilario.

Sara Raquel, ta siostra, której nie dopisało szczęście, ale miała za to dobre serce, była właśnie świadkiem zawiązywania historii, która wpłynie na los całej rodziny.

Minęło już kilka godzin od znalezienia zwłok Gloriany Márquez, kiedy Francisco Juárez otrzymał transkrypcje zeznań świadków, którzy zeznali dobrowolnie w prokuraturze. Niewiele – prawie nic – mogło mu posłużyć za materiał do rozgryzienia tej kryminalnej zagadki. Juárez wyobrażał sobie, że większość zabójstw można było porównać do wielkiego, splątanego kłębka wełny. A zadaniem każdego śledczego było znalezienie pierwszego wolnego końca.

W południe nie zjadł zbyt wiele. Przyniesiono mu do biura warzywa ugotowane na parze, które doprawił odrobiną sosu sojowego. Zawsze trzymał butelkę w szufladzie w biurku. Jego wegetarianizm stał się pożywką dla nieprzychylnych komentarzy od kolegów z pracy. „Cały dzień ogląda trupy, a boi się plasterka kielbasy”, podszeptywali za każdym razem, kiedy Juárez opowiadał im o korzyściach płynących z pozbycia się czerwonego mięsa z diety. „Stróż ładu i obiadu”, mówili na niego, z jednej strony żartobliwie, z drugiej strony, żeby się z niego trochę pośmiać.

Zaparzył zieloną herbatę i zaczął przyglądać się uważniej niektórym zeznaniom. Rodrigo Liniers, chłopak zmarłej dziewczyny, opowiedział szczegółowo, w jakim stanie ją znalazł, kiedy wszedł po schodach i zobaczył ją całą zakrwawioną, porzuconą i leżącą twarzą zwróconą do ziemi. Opowiedział również o sprzeczce Gloriany ze służącą, która pracowała u niego w domu, co miało miejsce noc przed dokonaniem zbrodni. To, co opowiedział, pokrywało się z zeznaniami innych służących, których śledczy miał szansę wysłuchać osobiście kilka godzin wcześniej. Alcira Quiñones nadal przebywała w żeńskim areszcie przy ich komisariacie. Musiała poczekać, aż biegli określą, czy na jakimkolwiek zarekwizowanym przedmiocie znajdowały się ślady krwi. „Wcale jej nie

potrzebowaliśmy”, powiedziała służąca do Juáneza, kiedy zapytał o Glorianę, ale ten gorzki komentarz nie był wystarczającym dowodem, żeby oskarżyć ją o morderstwo.

Rodzice dziewczyny dostarczyli informacji na temat jej życia codziennego: jej przypadkowych studiach na kierunku zarządzanie przedsiębiorstwami, kółku teatralnym i pracy sprzedawczyni w sklepie z meblami należącym do rodziny. „Zazwyczaj otwierała sklep o jedenastej rano – powiedział ojciec Gloriany przed prokuratorem – ale wczoraj nie zjawiła się w sklepie. Inny pracownik otworzył sklep o dwunastej. Pomyślałem, że Glo miała jakąś próbę przedstawienia. Nie przyszło mi do głowy, żeby do niej zadzwonić”.

Juáneez przerwał czytanie i nalał sobie kolejną filiżankę zielonej herbaty. Kiedy dosładzał ją miodem, usłyszał w głowie dzwoniący alarm. Odstawił na w pół wymieszaną herbatę i zaczął szukać teczki, w której trzymał czarny notes, gdzie zebrał wszystkie dane dotyczące zbrodni. Prawie desperacko i z niebywałą szybkością przekartkował zeszyt strona za stroną.

– Tu cię mam – powiedział ściszym głosem.

Czarnym długopisem zapisał liczbę dziesięć i zakreślił ją podwójną pętlą. O tej godzinie zatrzymała się czerwona wskazówka na budziku stojącym na stoliku nocnym dziewczyny, bo o tej godzinie miała się obudzić. Godzinę później miała otworzyć sklep ojca. Ale to nie ten szczegół sprawił, że wszystkie zmysły Juáneza nagle się wyostrzyły. Był to inny szczegół z miejsca zbrodni, który przykuł wtedy jego uwagę, a teraz pojawił się niespodziewanie w jego pamięci. Bardzo mały element, który dopiero teraz zaczynał nabierać większego znaczenia. Cisza.

Otworzył żółtą teczkę z kserokopiami zeznań spisanych przez pierwszych śledczych, którzy dotarli na miejsce zbrodni. Żaden z nich nie odnotował, że budzik dzwonił. Nie zrobił też tego funkcjonariusz, który zajmował się ściąganiem odcisków placów z przedmiotów znalezionych na miejscu zbrodni, między którymi znajdował się budzik. Przełącznik był wciśnięty. Jeśli Gloriana wyłączyła budzik, tak jak miała to w zwyczaju, do

morderstwa musiało dojść po dziesiątej rano. A jeśli to nie Gloriana wyłączyła budzik, wtedy cała sytuacja zmienia się o 180 stopni.

Prawie nie zwracając uwagi na wpisywane cyfry, Juánez wybrał numer wewnętrzny. Momentalnie po drugiej stronie słuchawki pozdrowił go kobiecy głos.

– To ja, Juánez. Muszę dowiedzieć się natychmiast, czy na jakimkolwiek przedmiocie znalezionym w domu odnaleziono odciski palców.

Clara Minutti nie pozwoliła mu kontynuować wywodu. Była doświadczoną śledczą, od wielu lat pracującą w Wydziale Kryminalnym, gdzie była równie dobrze znana ze względu na niezwykły talent, jak i paskudny charakter. Nie bez przyczyny zawsze mówiono, że jest tym typem osoby, która zawsze psuje wszystkie imprezy.

– Juánez, mamy odciski palców w całym domu. Na klamkach, na lustrze, na meblach, na talerzach, wszędzie. I porównujemy je z odciskami palców wszystkich osób, które zazwyczaj odwiedzały Glorianę w domu. Gdybym znalazła jakiegokolwiek podejrzanego odciski palców, już byś się o tym ode mnie dowiedział – wyjaśniła i tym samym opryskliwym głosem chciała powiedzieć coś więcej, żeby zakończyć połączenie. – Jestem bardzo zajęta...

– Claro Minutti, ciekawe, czy możemy dojść do jakiegokolwiek porozumienia – powiedział Juánez, któremu powoli też zaczynało brakować cierpliwości. – W ogóle nie obchodzi mnie wszystkie odciski palców, które zgromadziliście i sobie porównujecie. Jeśli jedyne odciski palców, które mamy, należą do osób, które zazwyczaj przebywały w domu, chociażby któraś z nich była mordercą, na nic zda się twoja praca. Nie będziemy mogli nikogo oskarżyć, mając do dyspozycji te wasze odciski palców. Morderca może zaśmiać ci się w twarz i powiedzieć, że jego odciski palców znajdują się tam, bo przyszedł napić się z Glorianą herbaty.

– Ja to wszystko wiem, Juánez, ale nie rozumiem, do czego zmierzasz – wyszeptała śledcza, bardzo bliska całkowitego zniechęcenia.

– Zmierzam do tego, że kilku konkretnych rzeczy z pewnością nie dotykali znajomi odwiedzający Márquez. Istnieją rzeczy, których dotyczą

tylko ich właściciele albo, jeśli masz szczęście tego konkretnego dnia, także i twój morderca. Clarita, rozumiesz, co mówię?

Clara zaczęła interesować się analizą przeprowadzoną przez Juáneza, dlatego zignorowała, że użył zdrobnienia jej imienia.

– Rozumiem, Juáneze. O co ci konkretnie chodzi?

– Budzik. Interesuje mnie budzik. Co macie?

Juáneze usłyszał po drugiej stronie szelest przekładanych papierów. Mógł się założyć, że Clara szukała w pośpiechu jakiegokolwiek odpowiedzi. Czekał z niecierpliwością.

– Mam przed sobą sprawozdanie z oględzin. Już ci to czytam. „Mamy do czynienia z kwadratowym, niebieskim budzikiem, wyprodukowanym w Chinach, z tych, które najczęściej można kupić na ulicy. W górnej części posiada przełącznik o kształcie czerwonego guzika, który należy wcisnąć, żeby budzik przestał dzwonić. Urządzenie nie posiada funkcji zapamiętywania”.

– Czerwona wskazówka... jest ustawiona na dziesiątą?

– Tak, dokładnie tak. Guzik jest wciśnięty – uściśliła Clara i zaczęła mówić dużo wolniej, bo zrozumiała, na czym polegało dochodzenie Juáneza. – Ktoś wyłączył budzik o dziesiątej.

– Tak, Claro. Zatem jeśli odciski palców zebrane z przycisku wyłączającego budzik należą do Gloriany Márquez, oznaczałoby to, że o dziesiątej nad ranem wciąż żyła i wyłączyła budzik tak samo jak zawsze. Jeśli nie należą do niej, wtedy musiałby to zrobić morderca. Na pewno zasztyletowanie kogoś przy akompaniamencie dzwoniącego budzika nie jest szczególnie komfortowe... Jak myślisz, Claro?

– Oddzwonię za pięć minut, Juáneze.

Śledcza zakończyła rozmowę. Juáneze wyobraził sobie, jak zmierza szybkim krokiem do laboratorium, żeby sprawdzić analizy porównawcze odcisków palców. Oczekując na jej odpowiedź, ułożył się wygodnie na krześle i oparł skrzyżowane nogi na biurku. Sprawdził godzinę, zerkając na zegarek, który nosił na bransolecie i obliczył, że właśnie teraz

w prosektorium zaczynała się sekcja zwłok młodej Márquez. Ten gest – szybkie rzucenie okiem na zegarek – wprowadził go w stan alarmu. Usiadł prosto na krześle i wyteżył wszystkie zmysły, żeby przemienić to przelotne przecucie w jakąś konkretną tezę. Nie udało mu się to. Pozwolił, żeby to nieokreślone uczucie po prostu mu towarzyszyło. Zawsze tak postępował. Podświadomie czuł, że sprawa już została rozwiązana i że powoli, krok za krokiem, dojdzie do kolejnych śladów, których teraz nie był w stanie dostrzec. Cały sekret polegał na tym, żeby odszyfrować wszystkie wiadomości, które dochodziły do niego z najciemniejszych zakątków jego umysłu.

Kiedy zadzwonił telefon, Juánez natychmiast odebrał. Musiał zdobyć tę informację, dlatego sam zainicjował rozmowę, przekonany o tym, że dzwoniła do niego śledcza Clara.

– Co znalazłaś?

– Na budziku znajdują się odciski palców dwóch osób.

Śledczy ściągnął nogi z biurka i wstrzymał oddech. Policjantka kontynuowała:

– Ofiary, Gloriany Márquez, i Minervy del Valle.

Minerva del Valle, tak nazywała się dziewczyna o lodowatym spojrzeniu. Juánez doskonale ją pamiętał. Dziewczynę, która tak zuchwale stała w drzwiach domu, w którym doszło do morderstwa. Mieszkały razem w bliźniaku, były koleżankami z liceum, a ich relacja była dużo lepsza od tego, czego można by się spodziewać po dwóch dziewczynach z wyższej klasy średniej. Obie były młode, piękne i dość źle wychowane. Juánez nie zgromadził żadnych innych danych o Minervie.

Chwycił ponownie zeszyt z notatkami i zaczął przewracać strony, aż w końcu znalazł słowa, których szukał: „ta słabsza”. Właśnie ten szczegół zapisał po pierwszym spotkaniu z dziewczyną. Do takiego wniosku doszedł Juánez po szybkiej wymianie zdań zaledwie kilka godzin temu. Zaraz potem zaczął szukać w wiadomościach kopii zeznania Minervy, które złożyła przed prokuratorem zajmującym się tą sprawą. Nie powiedziała niczego ciekawego. Wytłumaczyła, jak i kiedy znalazła swoją

zamordowaną przyjaciółkę i opisała pokrótce, czym zajmuje się na co dzień. Zamknął skrzynkę pocztową i zaczął zastanawiać się nad tym wszystkim, co przed chwilą przeczytał. Wbił spojrzenie w ekran i nie spuszczał z niego oka. Musiał porozmawiać z Minervą del Valle. Chciał posłuchać tonu jej głosu, zobaczyć jej gesty, wyczuć, kiedy zacznie płakać. Nie odrywając oczu od komputera, Juárez wybrał kolejny numer telefonu.

– Ordóñez, powiedz mi, gdzie znajdę świadka Minervę del Valle. Musimy natychmiast złożyć jej wizytę.

Kiedy Minerva odebrała telefon od śledczego Francisco Juáneza, przebywała akurat w domu swojej babci Cocó. Nie mogła zasnąć przez całą noc, więc nie miała ochoty z nikim rozmawiać. Jedyłą rzeczą, o której marzyła była cisza i spokój oraz towarzystwo babci, która była jedyną osobą na tym świecie, która była w stanie pomóc znieść jej ten ogrom smutku, cały ten zamęt. Z rana udała się do prokuratury, żeby zeznawać jako świadek. I ze względu na nakaz śledczy nie pozwolono jej wrócić do domu. W zasadzie nawet było jej to na rękę, bo nie miała ochoty tam wracać. Nie była w stanie wymazać z pamięci scen z mieszkania i tego makabrycznego, zakrwawionego łóżka. A poza tym Gloriana, jej przyjaciółka na dobre i na złe, nie otworzy jej drzwi z uśmiechem na ustach, tak jak to zawsze robiła wcześniej. Dom babci był idealnym schronieniem, dlatego prawie natychmiast się tam udała, kiedy policja nakazała im opuścić miejsce zbrodni. Minęło już kilka godzin od tego tragicznego zdarzenia, ale dla Minervy to nie były godziny, ale całe wieki. Cocó przytuliła ją czule na przywitanie, podała herbatę i postawiła przed nią bombonierkę z czekoladkami z owocowym nadzieniem.

– Zjedz coś, kochanieńka. Najlepiej zjedz wszystkie czekoladki – powiedziała, czekając, aż wnuczka ucieszy się na widok pudełeczka ze słodkościami, tak jak musiała się cieszyć, będąc małą dziewczynką.

Dziewczyna zdobyła się jednak na skosztowanie zaledwie jednej czekoladki. Ściśnięty żołądek nie był nawet skory przyjąć łyka herbaty. Położyła się na sofie, kładąc głowę na kolanach babci i próbowała zasnąć. Bezskutecznie. Ogarnęło ją ogromne przygnębienie, które potęgowało się za przyczyną powracających do jej wyobraźni obrazów. Chciała o nich zapomnieć i wreszcie zasnąć.

Śledczy potraktował ją z szacunkiem: zadał jej tylko kilka pytań. Mariela, jej matka, towarzyszyła córce w czasie przesłuchania i czekała na nią przy drzwiach prowadzących do prokuratury. Mariela była bardziej wystraszona niż Minerva. Nie przestawała płakać i mówić. Toteż dziewczyna postanowiła wrócić do domu babci w Belgrano, bo czuła się bezpieczniej przy Cocó. Tylko zupa jarzynowa babci była w stanie ją rozluźnić i rozruszać ściśnięty żołądek.

– Dziękuję, babciu. Teraz czuję się dużo lepiej.

– Czasami lepsze samopoczucie to nie wszystko, kochanieńka.

Cocó wstała od stołu. Przeszła przez salon i stanęła naprzeciwko niewielkiego zaimprovizowanego ołtarza stojącego na podeście z białego marmuru. Ustawiono tam srebrny wazonik ze świeżymi kwiatami, kilka kolorowych świeczek, kryształowy różaniec i srebrną ramkę ze zdjęciem w sepii, na którym uśmiechała się jakaś młoda kobieta. Kapelusik i mały kok upięty na boku nadawały tej fotografii niezwyklej elegancji. Nie była piękna, ale jej zadziorne spojrzenie i dołeczki w policzkach nadawały jej niekwestionowanego uroku. Cocó sięgnęła po pudełko z zapalnikami, żeby zapalić świece stojące przy ołtarzyku. Można było odnieść wrażenie, że poruszające się delikatnie płomienie ożywiały zdjęcie. Babcia zawołała wnuczkę, nie odrywając oczu od portretu.

– Podejź tu, kochanieńka.

Minerva wstała i powoli do niej podeszła. Wiedziała doskonale, że gdy Cocó podchodzi do ołtarza, nie może być tam sama. Potrzebowała jej towarzystwa. Nie była w stanie dokonać rytuału samotnie. Pomimo upływu lat ta sytuacja nigdy się nie zmieniała: Minerva jej towarzyszyła, a Cocó mówiła.

– Minervo, wiem, że przechodzisz przez bardzo trudną chwilę – powiedziała babcia, wpatrując się we własne zdjęcie – ale musisz wiedzieć, że kobiety w naszej rodzinie dziedziczą niezwykle odwagę, która pomaga nam przezwyciężyć najtrudniejsze sytuacje.

– Nie wiem, czy to tak do końca prawda, babciu. Ty do tej pory nie potrafisz poradzić sobie ze śmiercią swojej siostry.

Cocó zamarła. Nie była przyzwyczajona do tego, żeby ktokolwiek jej się sprzeciwiał. Tylko Minerva pozwalała sobie na taki akt odwagi.

– Sara Raquel była dla mnie kimś naprawdę wyjątkowym. Nikt nie może wypełnić pustki, którą pozostawiają po sobie osoby takie jak ona – powiedziała odważnie. Wtedy też chwyciła rękę wnuczki i zdecydowanie, ale czule powiedziała: – Cichutko, kochanie. Poproś Saritę Raquel o siłę, żebyś mogła poradzić sobie z utratą tej dziewczyny, Gloriany.

Śmierć Sary Raquel była dla Cocó traumatycznym przeżyciem. Nieprawidłowo zdiagnozowana białaczka zabrała ją w zaledwie kilka miesięcy. Nie skończyła nawet dwudziestu lat. Sarita Raquel – tak mówili do niej wszyscy, którzy ją kochali – wzięła ze sobą do grobu wiele rodzinnych tajemnic. Gromadziła zarówno szczęśliwe, jak i smutne wspomnienia innych. Być może przez to, że wysłuchiwała tak wielu zwierzeń, nie mogła być szczęśliwa ani smutna, ani nawet mieć własnego życia.

Kiedy Inés po raz drugi zobaczyła mężczyznę swojego życia w kawiarni Las Violetas, to właśnie Sara Raquel była świadkiem ich rodzącej się miłości. I również ona przyczyniła się do tego, że ten obcesowy filozof i jej siostra mogli spotykać się i w tajemnicy dawać upust zakazanej namiętności. Jednego dnia odważyła się nawet stanąć twarzą w twarz z ich matką, wspaniałą Lourdes Marią Lainez de Quesada, żeby bronić prawa Inés do poślubienia ukochanego mężczyzny.

„Wybij sobie to z głowy, dziecko. Nie pozwolę na to, żeby ten biedak stał się częścią naszej rodziny. A ty przestań zajmować się sprawami siostry i zacznij żyć własnym życiem. Inesita jest piękną dziewczyną i na pewno uda jej się znaleźć mężczyznę, który jest jej godzien. Tobie wcale nie będzie tak łatwo. Więc lepiej nie trać czasu”.

Taką właśnie odpowiedź otrzymała od własnej matki. Lourdes potrafiła perfidnie zranić słowami bez zważania, do kogo się zwracała. Kierowała te przykre słowa nawet do córek. Sara Raquel spuszczała tylko głowę i szła płakać do swojego pokoju. Jednak godziny rozpacz nie odbierały jej pogody ducha, bo potem zawsze była gotowa, żeby wystawić drugi

policzek, jeśli w grę wchodziło szczęście innych. Właśnie taka była. Wyjątkowa. Z innej gliny. W ten sposób opowiadała o niej Inés.

Minerva zauważyła, że dłoń babci była zziębnięta.

– Wszystko dobrze? Zimno ci? – zapytała dziewczyna.

– Wszystko dobrze, kochanie. Myślałam o Saricie Raquel. Czasami czuję, że moja dusza chce być przy niej. Chyba na tym polega tęsknota.

– To było wiele lat temu, babciu. Powinnaś już się z tym pogodzić.

Cocó wypuściła dłoń wnuczki. Oziębłość dziewczyny wprawiała ją w zdumienie. Pod pewnymi względami była podobna do swojej prababki Lourdes. To samo spojrzenie, to samo szorstkie podejście do innych. Czasami nawet myślała, że Lourdes zawładnęła ciałem Minery i żyje w nim.

– Skarbie, po tej ziemi stąpa tylko jedna jedyna osoba, która byłaby w stanie oddać za nas życie. Ale nie wszyscy mają to szczęście, żeby odnaleźć swojego anioła stróża. Ja miałam to szczęście, bo Sara Raquel była aniołem stróżem, którego Bóg postawił na mojej drodze.

Minerva obróciła się, żeby móc stanąć twarzą w twarz ze swoją babcią. Chwyciła mocno, prawie desperacko jej dwie ręce.

– Cocó – powiedziała ledwo słyszalnym głosem, a potem zapytała ckliwym głosem: – a co jeśli Gloriana była moim aniołem stróżem, a teraz nie żyje?

– Nie, kochanieńka, jesteś w błędzie – odpowiedziała obrażona Cocó. –

Ta dziewczyna nie dorastała ci do pięt. Czy zapomniałaś już, jak cię traktowała?

Minerva zaprzeczyła ruchem głowy. Nie mogła zdobyć się na żadną odpowiedź. Nie zapomniała. Nie mogła zapomnieć. Gloriana Márquez była chodzącą boginią. Jej idealnie wyrzeźbione ciało, ponętne rysy twarzy, jasne włosy opadające jak wodospad na cudowne ramiona i do tego ten uśmiech, którego używała inteligentnie do manipulacji, otrzymując zewsząd podziw i uznanie. Uroda była jej śmiertelną bronią. Mężczyźni w każdym wieku pragnęli Gloriany, a ona tak uwodzicielska, jak i okrutna,

zwabiała i porzucała ich dla własnej przyjemności. Kobiety też chciały być blisko niej, bo miały nadzieję, że w ten sposób uda im się wchłonąć choć odrobinę czarnej magii Márquez. Jednak tak naprawdę, pod maską pewności siebie Gloriana ukrywała wewnętrzną walkę i lęk. I wcale nie cieszyła się ani sukcesami zawodowymi, ani uniwersyteckimi, ani nawet seksualnymi. Jediną rzeczą, która naprawdę sprawiała jej radość, było poniżanie innych. Bliskich i obcych. Minerva należała do dwóch grup jednocześnie. Bliska i obca. Tylko ona potrafiła jednocześnie poniżać i być poniżaną. Cała sytuacja wydawała się niekończącym się pojedynkiem.

– Glo, stoję źle z pieniędzmi. Musimy pogadać – powiedziała jej jednego deszczowego popołudnia, kiedy w ich kuchni przygotowywała budyń cytrynowy.

– Nie dodawaj tyle skórki, bo te cytryny są jeszcze zielone i potem budyń będzie bardzo gorzki – powiedziała Márquez, susząc dopiero co umyte włosy nad ciepłym buchającym z gorącej kuchenki. Intensywny zapach szamponu lawendowego unosił się w całym pomieszczeniu.

Minerva przestała ścierać skórkę cytryny, wytarła ręce w ścierkę i nie patrząc na Glorianę, ponowiła pytanie.

– Gloriana, czy ty mnie w ogóle słuchasz? – Obróciła się i wbiła w nią wzrok. – Nie stać mnie, żeby dokładać do rachunków za mieszkanie.

Gloriana wybuchła śmiechem, co zaskoczyło Minervę nie mniej niż jej odpowiedź.

– Ależ ja doskonale o tym wiem. Od początku przeczuwałam, że jesteś gołodupcem, tyle że z wyższych sfer. Dużo tytułów, a mało pesos – powiedziała prześmiewczo Gloriana, potrząsając burzą włosów nad kuchenką. Zapachy lawendy i cytryny zaczęły się ze sobą mieszać. Był to bardzo przyjemny aromat.

– No więc co zrobimy, Gloriana? Nie dociągnę do końca miesiąca, a jeszcze nie zapłaciłam swojej części. Tym razem nie chcę prosić o kasę ani mojej matki, ani babci.

– A nie mogłabyś spróbować pójść do pracy? – Jej odpowiedź wybrzmiała niezwykle fałszywie. Gloriana wiedziała, że jej przyjaciółka pracowała po

dziewięć godzin dziennie za żalowaną pensję w agencji reklamowej, bo miał to być jej pierwszy krok, żeby w przyszłości zostać specjalistką od reklam w branży kreatywnej.

Minerva rzuciła ścierką o ścianę, oparła ręce na biodrach i natychmiast odpowiedziała:

– Przecież pracuję, ty wredna idiotko. Ja nie mam tatusia, który płaciłby mi fortunę za to, żeby robić gównianą robotę w jego zasranym sklepie! –

Spojrzała z satysfakcją na Glorianę, której policzki zaczynały coraz bardziej się czerwienić. Rumieniec zawsze zdradzał, kiedy była zdenerwowana.

– Mogę zaproponować ci pewien układ – odpowiedziała szybko Gloriana, niewiele myśląc nad własnymi słowami, bo jedyną rzeczą, na której się skupiła, było ukrycie szaleńczej złości, do której doprowadziła ją Minerva. Nie chciała, żeby dziewczyna wyczuła wzburzenie w jej głosie. –

Ja dam osiemdziesiąt procent za rachunki, a ty w zamian dasz mi swoje łóżko, bo jest wygodniejsze od mojego – zaproponowała jej, zachwycona tym pomysłem, a potem dodała bezczelnie: – Możesz mi podziękować, Lunguita.

Gloriana zawsze wygrywała, nawet jeśli była na straconej pozycji. Umiała wykorzystać każdą sytuację.

– Nie nazywaj mnie Lunguita, paskudna idiotko. Dobrze wiesz, że wcale mi się to nie podoba. – Obróciła się na pięcie i wzburzona zaczęła kroić cytrynę na cienkie plasterki. Nie miała zamiaru za nic jej dziękować.

– No dobra, albo wybierzesz to, albo możesz iść mieszkać na ulicy, Lunguita. Zastanów się nad tym.

Gloriana opuściła kuchnię z triumfalnym uśmiechem na ustach. Nie mogła zobaczyć, jak zielone oczy Minervy rozblysnęły ze wściekłości, jak precyzyjnie i agresywnie wbijała nóż w miąższ cytryny, dzieląc ją na idealne plasterki, ani jak kwaśny sok rozlewał się po blacie i spływał aż na samą ziemię.

„Koniec końców, Gloriana skończyła swój żywot wykrwawiona w tym łóżku”, pomyślała Minerva prawie rok później, ściskając z całej siły ręce

swojej babci. „To prawda, ona nigdy nie była moim aniołem stróżem. Była nikim”. Mocny głos Cocó wyrwał ją z rozmyślań.

– Ja jestem twoim stróżem. Twoim jedynym stróżem. Ja oddałabym za ciebie życie. Jestem w stanie zrobić wszystko, żebyś tylko była szczęśliwa. Nie potrzebna nam Gloriana Márquez.

Kobiety stały naprzeciwko siebie, patrząc sobie w oczy i trzymając się za ręce. Żadna z nich nie odważyła się powiedzieć niczego więcej. Wszystko zostało już powiedziane.

Funkcjonariusz Ordóñez zaparkował radiowóz pod drzwiami willi w Belgrano. Podczas wspólnej podróży samochodem siedzący na miejscu pasażera Francisco Juárez zdążył przeglądnąć wszystkie notatki w swoim zeszytcie. Nie był w nastroju. W jego głowie nadal pobrzmiwał alarm, ale nie umiał określić, o jakie zagrożenie chodziło. Co doprowadziło go do przejścia w stan alarmowy? Jaki szczegół pominął?

– Szefie, już dojeżdżamy – szepnął Ordóñez, strzepując z munduru nieistniejący brud. Zestresował się, zobaczywszy luksusową fasadę willi.

Jeszcze zanim zdążył zadzwonić dzwonkiem, jakaś kobieta otworzyła im bramę.

– Zapraszam panów do środka. Miło panów funkcjonariuszy widzieć.

Kobieta była przepiękna. Czarna sukienka z rękawem trzy czwarte sięgająca do kolan podkreślała krótkie siwe, ale nieskazitelnie ułożone włosy. Jednak uwagę Juárez przykuła inna rzecz – idealnie okalający szyję sznur pereł, którego pierwsza pętla zawiązywała się tylko niewiele poniżej obojczyków. Perły nie były białe. Wszystkie perły, które miał okazję do tej pory zobaczyć, były sztuczne i idealnie białe. Dlatego od razu zdał sobie sprawę z tego, że te autentyczne, takie, jakie nosiła na szyi stojąca przed nim kobieta, miały kolor marmuru. „Oby tylko z podobną łatwością można było odróżnić prawdę od kłamstwa”, pomyślał Juárez, pokonując kilka metrów dzielących chodnik od drzwi wejściowych.

– Nazywam się Francisco Juárez, Wydział Kryminalny. Tak jak uprzedziłem panią przez telefon, przyszedłem, żeby porozmawiać z pani wnuczką.

– A ja nazywam się Inés María Quesada. Czekaliśmy na pana.

Korytarz willi był rozmiaru całego mieszkania Juáneza. Wysokie sufity, podłoga z czarnego marmuru i jasnoróżowe ściany. Funkcjonariusz Ordóñez postanowił zostać w samochodzie. Już sama obecność tej kobiety wystarczyła, żeby się wystraszył. Czuł się niezręcznie w świecie bogaczy. Ordóñez wolał ludzi z niższych klas społecznych, bo tam czuł się jak ryba w wodzie.

Juánez szedł za Inés korytarzem prowadzącym do wielkiego i równie pięknego pomieszczenia. Trzy fotele w stylu Ludwika XV z wyrzeźbionymi w kwiatowe wzory nogami i podłokietnikami współgrały harmonijnie z brzoskwińową tapicerką, która swoją gładkością wybijała się na tle tyłu ornamentów. Na środku stał duży, niski, polakierowany stół w stylu orientalnym, ale nie ulegało wątpliwości, że najjaśniejszą gwiazdą tego pomieszczenia był ażurowy żyrandol, dzięki któremu słońce wpadające przez przestronne okna z fazowanego szkła wyczarowywało niezwykłą atmosferę.

– Proszę usiąść. Zaraz przyprowadzę wnuczkę – powiedziała Inés María Quesada swoim oficjalnie brzmiącym, choć codziennym tonem.

Natomiast Juánez uśmiechnął się sam do siebie, zapadając się w jednym z tych wspaniałych foteli. Oparł głowę o oparcie fotela, zamknął oczy i dopiero wtedy poczuł, jak bardzo był zmęczony. Jego zaimprovizowany odpoczynek potrwał zaledwie kilka minut, bo nagle wybudził go tupot stóp uderzających o włoski, karraryjski marmur. Obydwie kobiety weszły do salonu. Juánez wstał i wyciągnął rękę do dziewczyny, Minervy del Valle.

– Minerva, muszę z tobą porozmawiać o zbrodni dokonanej na twojej przyjaciółce.

– Już rozmawiałam z prokuratorem i...

Juánez nie dał jej dokończyć zdania.

– To też już wiem, ale śledztwo dopiero co się zaczęło, a niektóre sprawy wcale nie zostały jeszcze do końca wyjaśnione.

Minerva usiadła w fotelu, nie odrywając oczu od policjanta. Wyraziła zgodę na przesłuchanie. Wystarczyło, że Juánez spojrzał intensywniej na

Inés, żeby zrozumiała jego aluzję i wyszła dyskretnie z pomieszczenia. Juánez nie miał zamiaru tracić czasu, dlatego od razu przeszedł do rzeczy.

– Kiedy po raz ostatni widziałaś Glorianę żywą?

– Zeszłej nocy. Przyszła do domu jakaś niespokojna. Pokłóciła się ze służącą swojego chłopaka. Mówiła, że Alcira chce go jej odbić. Powyzywały się. Chciałam ją uspokoić, ale nie umiałam nad nią zapanować. Poszłyśmy spać koło północy. Obudziłam się o siódmej i poszłam do pracy. Glo została w domu. Kiedy wychodziłam, wciąż spała.

– Czy rozmawiałaś z nią w ciągu dnia?

– Nie. Zadzwoiłam do domu, bo myślałam, że tam będzie, ale nikt nie odbierał. Jak zadzwoniłam do niej na komórkę, również nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Pomyślałam, że zapomniała telefonu. Nie przypuszczałam, że mogło jej się coś stać.

Minerva mówiła spokojnie. Bez złości, bez smutku. I patrzyła policjantowi w oczy.

– Kiedy milczenie Gloriany zaczęło cię niepokoić?

Dziewczyna zamknęła oczy na kilka sekund, wzięła głęboki oddech i odpowiedziała:

– Tamtej nocy poszłam na imprezę do kilku znajomych. Gloriana nie zjawiała się, dlatego jeszcze raz do niej zadzwoniłam. Dalej nie odpowiadała, więc zdecydowaliśmy, że pójdziemy zobaczyć, czy jest w domu.

– Zdecydowaliśmy? Czyli kto?

– Jej chłopak, Rodrigo, i ja.

Juánez przyjrzał jej się uważnie. Minerva nie przestawała mówić, ale nie spuszczała też z niego wzroku.

– Otworzyłam drzwi swoimi kluczami. Jak tylko weszłam do domu, zauważyłam, że światelko w automatycznej sekretarce nie mrugało. Ktoś musiał wyrwać kable telefoniczne. Rodrigo wszedł po schodach na górę i stamtąd zaczął krzyczeć, że Gloriana leży na ziemi, cała we krwi.

Nie zdążyła jeszcze skończyć zdania, kiedy jej głos się załamał. Juánez wiedział, że to była idealna chwila na atak i na zdobycie jedynej informacji, po którą przyjechał do tej willi.

– Dzwonił jej budzik?

Minerva po raz pierwszy się zmieszała. Zaczęła obgryzać paznokcia w małym palcu.

– Nie pamiętam. Chyba nie.

– Nie pamiętasz czy myślisz, że nie dzwonił?

– Nie rozumiem, na czym polega różnica.

Dziewczyna zaczęła się bronić. Pytanie całkowicie zbiło ją z tropu. Juánez wyjął swój czarny notes i zaczął go kartkować. Nie patrząc na Minervę, zaczął na nowo:

– Powiedziałaś mi, że obudziłaś się o siódmej nad ranem. Użyłaś tego budzika?

– Nie rozumiem, po co zadaje mi pan te głupie pytania.

– No cóż, wcale nie chodzi o to, żebyś rozumiała, bo ty masz na nie odpowiadać. Użyłaś tego budzika czy nie?

Zanim Minerva zdążyła otworzyć usta, do pokoju weszła babcia Inés z tacą, na której niosła dwie filiżanki i czajniczek.

– Przyniosłam wam herbaty – powiedziała, kładąc tacę na niskim stole.

Juánez nie zwrócił na nią uwagi. Jego wszystkie zmysły były skierowane na dziewczynę. Wydawało mu się, że odczuł u niej lekką ulgę, kiedy babcia przerwała ich rozmowę. Inés usiadła, wbiła wzrok w policjanta i odpowiedziała za wnuczkę, jakby po prostu zwyczajnie sobie rozmawiali, a on zaprosił ją do pogawędki.

– To ja kupiłam budzik w prezencie dla mojej wnuczki. Chyba nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby używała go na co dzień.

Juánez automatycznie spojrzął na Minervę, a dziewczyna poczuła, że musi teraz coś powiedzieć.

– Jest tak, jak mówi moja babcia, inspektorze. Użyłam budzika tamtego rana i zanim wyszłam nastawiłam go na godzinę, o której miała się obudzić potem Gloriana. O dziesiątej.

Juánez poczuł, jak po raz kolejny zapala mu się w głowie jakieś światełko. Coś w tej układance do siebie nie pasowało. Chciał jak najszybciej rozprościć własne myśli, podczas gdy starsza kobieta z ogromną ostrożnością rozlewała herbatę do filiżanek z niebieskiej porcelany pomalowanej w białe kwiatki. Jego uwagę przykuła staranność, z jaką ułożyła kostki cukru wychodzące ponad brzeg srebrnej, grawerowanej cukiernicy. Jedna kostka dla każdego. Dwie filiżanki. Położyła jedną filiżankę przed swoją wnuczką, a drugą przed Juánezem.

– Bardzo pani dziękuję, Inés. Trochę mi się śpieszy – powiedział i spojrzał na Minervę, która zaczęła już pić swoją herbatę. – Jeszcze się do ciebie odezwę.

– Kiedy tylko będzie pan tego potrzebował, inspektorze. Będę czekała na pański telefon.

Juánez wstał z fotela. Na tamtą chwilę nie miał po co zostać dłużej w willi. Babcia Inés uprzedziła go i odprowadziła aż do samych drzwi. Odgłos ich kroków był tak donośny, że kobieta zagaiła:

– Czy nie wydaje się panu, że odgłos naszych kroków jest niezwykle dokuczliwy? – I nie czekając na jego odpowiedź, odpowiedziała na własne pytanie: – Marmur został przywieziony statkiem prosto z włoskiej Carrary wiele lat temu. Czasem nawet najlepsze rzeczy skrywają właśnie takie nieoczekiwane sekrety.

Doszli do drzwi i pożegnali się.

Inés María Quesada zamknęła za sobą drzwi. Dźwięk zamykanego na klucz zamka sprawił, że Juánez nagle się ocknął. Wszystkie jego myśli nagle się rozjaśniły. Kobieta, która codziennie stąpa po marmurowych podłogach z Carrary, pije herbatę w prawdziwych porcelanowych filiżankach i przechowuje kostki cukru w srebrnej cukiernicy, nigdy nie dałaby swojej wnuczce plastikowego budzika w prezencie. W drodze do samochodu, w którym czekał na niego funkcjonariusz Ordóñez, wrócił

jeszcze raz myślami do chwili, w której babcia weszła do salonu z tacą dokładnie w momencie, w którym Minerva zaczęła się jąkać. Przyniosła tylko dwie filiżanki z herbatą. Jedną dla niego i drugą dla dziewczyny. Kobieta nie miała zamiaru zostać z nimi, a mimo to nie wyszła. Podsluchiwała ich rozmowę, stojąc za drzwiami, czy to wszystko to jakiś dziwny zbieg okoliczności?

19

- Nie leci jej krew, panie doktorze. Dlaczego nie leci jej krew?
- Proszę uspokój się. Już wystarczy. Odłóż tę poduszkę w spokoju.
- Nie leci jej krew, nie leci, nie leci, nie leci...

Lekarz podszedł do niego i chwycił go mocno za nadgarstki.

– Spójrz mi w oczy – szepnął, próbując nawiązać z nim kontakt wzrokowy. – Popatrz na mnie. Właśnie tak, bardzo dobrze. Oddychaj głęboko i cały czas patrz na mnie.

Udało mu się. Oczy pacjenta były zajęte mgłą, ale był w stanie patrzeć w jeden konkretny punkt. Lekarz wiedział, że uwaga pacjenta mogła być skupiona bardzo krótko. W każdej chwili mógł go stracić, teraz lub w jakimkolwiek innym momencie.

– Powiedz mi, co stało się zeszłej nocy? Dlaczego rodzice musieli cię tu z powrotem przywieźć? – zapytał, zaciskając coraz mocniej jego nadgarstki. Chłopak zaczął się cały trząść.

– Byłem bardzo zły, ale nie leciała jej krew... Teraz już nie leci.

– Na kogo byłeś zły? Spójrz na mnie, proszę. Tutaj, tutaj, spójrz na mnie.

Chłopak wymykał mu się spod kontroli tak jak zawsze. Już się nie trząsał, już na niego nie patrzył. Lekarz oswobodził go z uścisku z poczuciem porażki. Nagle pacjent przytulił poduszkę, którą trzymał na kolanach i zaczął się kołysać.

Pokój był mały, ledwo mieściło się w nim jednoosobowe łóżko i przytwierdzony do podłogi stolik nocny. Zapach płynu dezynfekującego był drażniący. Przypominał wybielacz wymieszany z jakimś produktem o kwiatowym aromacie, jednak nie był on w stanie zakamuflować zapachu moczu i lekarstw. Typowy smród psychozy.

Lekarz wstał z łóżka i pogłaskał go po głowie. Czuł ogromną frustrację za każdym razem, kiedy był zmuszony udzielać pomocy temu dwudziestopięcioletniemu chłopakowi, który z każdą kolejną wizytą spędzał w szpitalu coraz więcej czasu. Czasami przychodził sam, cały zapłakany, mówiąc, że ktoś go śledzi i chce go zabić, innym razem przywoziła go tu jego matka przerażona, że jej syn nie przestawał się śmiać, mówił niestworzone rzeczy i chodził nago w obecności innych osób, jego ojciec natomiast przywoził go bardzo rzadko, tak jak miało to właśnie miejsce tego ranka. Chłopak przeżył bardzo głęboki epizod psychotyczny: zniszczył zastawę w domu i pociął wszystkie ubrania w swojej szafie. Trzech pielęgniarzy pomagało przy zaprowadzeniu go do samochodu. Był wściekły, rozjuszony. Zapanowali nad jego atakiem za pomocą leków. Usnął. Dobrze zareagował na neuroleptyki, chociaż potem cierpiał na halucynacje, które nie chciały go długo opuścić.

Lekarz omiótł wzrokiem pokój. Wszystko wyglądało względnie spokojnie. Nie znajdował się tam żaden przedmiot, którym chłopak mógłby się okaleczyć. Jednak mimo że cały czas czuwała nad nim kamera bezpieczeństwa, w mgnieniu oka mogło dojść do tragedii. Lekarz podszedł do drzwi, nie odrywając wzroku od swojego pacjenta. Chłopak siedział w bokserkach, z odkrytą klatką piersiową. Na jego ciele można było dostrzec podeszłe krwią zadrapania wybijające się mocno na tle jasnej skóry. Postanowił zacząć rozmowę na nowo.

– Kolego, za chwilę odwiedzę resztę pacjentów, a potem przyniosę ci coś do jedzenia.

Wiedział doskonale, że nie uzyska żadnej odpowiedzi i miał też świadomość, że chłopak już go nie słuchał, ale musiał się z nim w jakiś sposób pożegnać, żeby pacjent nadal czuł, że jest człowiekiem.

Wyszedł z pokoju. W chwili, gdy zamknął drzwi, usłyszał ze środka głucho uderzenia. Przez chwilę podglądał pacjenta przez wizjer i odruchowo przyłożył ucho do drewnianych drzwi.

– Co on, do cholery, wygaduje?

Im wyższy stawał się ton jego głosu, tym wyraźniej wybrzmiewały jego słowa. Widocznie nie podziałały na niego podane wcześniej lekarstwa. Serce lekarza zaczęło bić coraz szybciej. Po raz pierwszy od dwudziestu lat pracy z wariatami, jak sam ich zresztą nazywał, poczuł, że naprawdę się boi.

Dwadzieścia lat temu, dokładnie takiego zwyczajnego dnia jak dziś umarła Gloriana, moja najlepsza przyjaciółka. Nie tęsknię za nią, ale mimo wszystko czuję, że w każdą rocznicę jej śmierci, powinnam złożyć jej hołd. Wstaję wczesnie, o siódmej nad ranem, jak tego dnia, kiedy ją zamordowano. Wychodzę z domku na plaży, idę kilka metrów przed siebie, żeby dojść do morza, biorę głęboki oddech i próbuję przypomnieć sobie, jak wyglądała jej twarz, oczy i uśmiech. Czasami mi się to udaje, czasami nie.

Gloriana nie była dobra, nie była tą charyzmatyczną dziewczyną, którą potem wykreowały media. Była wyniosła, samolubna i znęcała się nad innymi. Ale mimo wszystko kochałam ją z całego serca. Wielokrotnie zadaję sobie pytanie o to, jak wyglądałoby jej życie, gdyby tamte ostrze nie rozcięło jej szyi. Nie umiem znaleźć odpowiedzi. Nie umiem wyobrazić sobie jej żywej. Wolę, żeby było tak, jak jest, chociaż jej zjawa często nachodzi mnie w nocy, nawet tutaj, tak daleko w mojej pustelni. Wszeptuję jej imię i wyrzucam w morze kwiaty, żeby złożyć jej ofiarę. Idę brzegiem aż do Olón, malutkiej wioski, która znajduje się tylko dwa kilometry od mojego domu w Montańicie. W sanktuarium stoi cudowny posąg Matki Boskiej, duma wszystkich Ekwadorczyków.

Świątynia wita przybyłych chłodem. Po wejściu do budynku trudno nie odczuć porażającej różnicy temperatur. Cisza jest obezwładniająca. Teraz jest jeszcze na tyle wczesnie, że nie przybłąkał tu się żaden turysta. Schodzę schodami, przytrzymując się kruszejących ścian. Ona, Matka Boska, która lata temu płakała krwią, znajduje się w podziemiach klasztoru. Malutka nawa chroni ją przed światem. Jedno krzesło i drewniany stolik ze zgaszonymi, stopionymi woskowymi świecami są jej jedyną ozdobą. Półtorametrowy posąg Matki Boskiej okryty kryształowym całunem stoi na pokręconym podeście z podrzędnego marmuru.

Tym razem chcę się przed nim pochylić. Siadam na ziemi ze skrzyżowanymi nogami. Dziękuję jej za to, że nie utopiłam się w morzu przy Montañicie, ale przede wszystkim dziękuję jej za to, że dwadzieścia lat temu nie zamordowano mnie w domu, w którym mieszkałam z Glorianą. Tak jak zawsze ofiara, którą składam, zaczyna się od Gloriany, ale kończy na mnie. Trzeba przyznać, że miałam szczęście i ocalałam, więc muszę być za to wdzięczna. Zastąpiłam na to.

Jednak niespodziewanie jakiś dźwięk budzi we mnie strach. Nie potrafię powiedzieć, czy to trzaśnięcie drzwiami, czy uderzający o ziemię przedmiot. Coś stało się na górze. Akurat co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Wstaję powoli i zbliżam się do drzwi nawy, którą zamykam na zatrask. Wyteżam słuch. Zupełnie nic. Musi to być jakiś turysta, który dotarł wcześniej rano do klasztoru, albo jedna z tych kobiet z Olón, które przychodzą tutaj, żeby odkupić swoje grzechy i myją podłogi w sanktuarium. Nie rozumiem, dlaczego płacą za winy w tak upokarzający sposób. Kiedy myślałam, że mogę być całkowicie spokojna, nagle jakiś inny dźwięk przyprawia mnie o gęsią skórkę. Ktoś schodzi właśnie tymi samymi schodami, którymi ja zeszałam chwilę temu. Ta osoba prawie w ogóle nie dotyka ściany. Jakby chodziło o jakąś niewidzialną pieszczotę. Zamykam drzwi i opieram o nie plecy. Nie chcę, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał. Brakuje klucza w zamku. Szukam go wzrokiem, ale nigdzie go nie ma. Ufam, że moje ciało będzie na tyle silne, żeby odeprzeć ciężar, który zaraz naprze na drzwi. I myślę teraz o Glorianie, która robiła tak samo z drzwiami balkonowymi w naszym mieszkaniu. Obracam się nieznacznie i przykładam ucho do drewnianych drzwi. Słysząc, że ktoś po drugiej stronie głośno oddycha. I to bardzo szybko. Przez sekundę zastanawiam się, czy nie otworzyć drzwi i nie wyjść na spotkanie tej osoby, ale coś w moim wnętrzu mówi mi, że bym tego nie robiła. Zaczyna brakować mi powietrza, czuję, że zaczynają palić mnie policzki, w gardle zawiązał mi się gruby węzeł, a przed oczami widzę gęstą mgłę. I nagle, ni stąd ni zowąd, słyszę przeszywający gwizd. Zaczyna pisać mi w uszach i to uczucie przejmuje nade mną kontrolę. I tym razem nie mam żadnych wątpliwości: to ona.

„Lunguita, czy aby przypadkiem nie modlisz się za mnie? Za moją duszę? A może modliłaś się o własny spokój?”

Wiem, że głos mówi w mojej głowie, a nie za drzwiami do nawy, w której stoi posąg Matki Boskiej. Jednak tym razem czuję się inaczej. Mam wrażenie, że Gloriana jest bardzo blisko, tak blisko jak dwadzieścia lat temu. Miękną mi kolana, a serce zaczyna mi bić jeszcze szybciej.

„No proszę, ty mała cyniczna dziwko. Zobaczymy, czy masz na tyle odwagi, żeby otworzyć te drzwi. Dawaj, śmiało! Otwórz te cholerne drzwi”.

Zakrywam uszy rękami i zamykam oczy. Nie chcę jej widzieć. Nie chcę jej słyszeć. Jej metaliczny głos mnie przeraża.

– Wystarczy! Odejdź! Zostaw mnie w spokoju! – udaje mi się wybełkotać.

„Otwieraj drzwi, Lunga. Nie jesteś wcale taka odważna, gówniario. Pewnie jesteś tak samo zeszrała jak zawsze! Odważ się stanąć ze mną twarzą w twarz, do jasnej cholery! Chociaż raz w swoim zaszranym życiu. Dopóki nie straciłam przytomności”.

Wyzywa mnie tak samo jak zawsze, znęca się nade mną tak samo jak dwadzieścia lat temu. Nadal nazywa mnie „Lunga”. Zatrzymuję się i zaczynam krzyczeć. Ja też mogę się na kogoś wydrzeć.

– Gloriana, jesteś martwa! Słyszysz? Martwa, na zawsze martwa! A ja żyję po to, żebyś pamiętała, że jesteś kupą starych kości, Gloriano Márquez!

Czuję ulgę, kiedy to wszystko wykrzyczałam. Zawsze się powtarza. Za życia mówiła to samo i teraz też używa tych samych słów, kiedy nawiedza mnie jej zjawą. Cisza przynosi mi ukojenie. Już sobie poszła. Powoli, ale pewnie otwieram drzwi. To, co widzę, paraliżuje mnie. Chcę krzyczeć, ale głos nie wychodzi z mojego gardła. Chcę biec, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Ostatnią rzeczą, którą widzę, jest biała szata, oczy zasłte wściekłością i stalowy błysk noża. Później wszystko staje się ciemnością.

21

Był przy mnie, kiedy otworzyłam oczy. Właśnie pochyla się nad moim ciałem.

– Minervo, powiedz coś. Wszystko w porządku? – pyta mnie, zdejmując z mojej twarzy kosmyki włosów.

– Tak, Tapuy. Już wszystko dobrze – odpowiadam i próbuję usiąść.

Chłopak, który uratował mnie przed utonięciem w morzu na plaży w Montańicie, patrzy na mnie z przerażeniem i zmartwieniem. Nosi białe ubrania. Białą tunikę bez guzików, wykończoną okrągłym kołnierzem. Udaje mi się usiąść i od razu wbijam wzrok w leżący na podłodze ogromny nóż kuchenny. Znajduje się zaledwie kilka centymetrów od mojej ręki. Ostrze jest pomazane krwią.

– Minervo, nie bój się. Nie zrobię ci krzywdy.

Nie ufam mu. Tapuy też spogląda na nóż i wygląda na to, że rozumie, że właśnie przez ten przedmiot cała sytuacja jest niejednoznaczna. Wolę udawać, że go tam nie ma, że nic nie widziałam. Muszę jak najszybciej opuścić sanktuarium.

– Spokojnie, Tapuy. I tak muszę już sobie pójść. Pewnie spadło mi ciśnienie. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Na zewnątrz na pewno zrobi mi się lepiej – wyjaśniam mu i robię wszystko, żeby nie patrzeć na zakrwawiony nóż. – Dziękuję ci, że po raz kolejny ratujesz mnie z tarapatów.

– Nie, nie, Minervo. Nigdzie nie pójdziesz. Musimy porozmawiać – oświadcza stanowczym tonem. – Pójdziesz ze mną na górę.

Nagle zatrzymuję się w miejscu i podnoszę nóż z podłogi, ale chłopak jest szybszy i kładzie mi go dumnie przed oczami. Uśmiecha się, pokazując naostrzoną broń. Przez chwilę przestaje być zwykłym chłopakiem i na moich oczach przemienia się w zboczeńca. Wystawia mnie na próbę. Po mojej reakcji rozumie, że przede mną nie musi udawać kogoś, kim nie jest.

– Tapuy, nie rozumiem, co się dzieje. I proszę odłóż ten nóż.

Chłopak opuszcza narzędzie, ale nie ma zamiaru słuchać moich rozkazów: łapie mnie pewnie za rękę i ciągnie mnie po schodach na górę.

Kopuła sanktuarium w Olón jest przepiękna. Została wybudowana na wysokiej na trzydzieści metrów skale. Posiada słomiane zadaszenie, które przytrzymują kolumny z czerwonego drewna. Nie ma ścian. Jest to prawie zupełnie otwarta przestrzeń. Widać stąd plażę i morze. Ołtarz jest dość prowizoryczny: jedyny święty przedmiot to gipsowy krzyż. Ze względu na sytuację nie patrzę na żadną z tych rzeczy. To, co widzę, wydaje mi się wręcz obrzydliwe.

– Co ty najlepszego zrobiłeś? – pytam ledwo słyszalnym szeptem. – Oszalałeś... nie...

Nie mogę wydusić z siebie nic więcej. Na ziemi widać plamy krwi, które układają się w bestialską ścieżkę prowadzącą prosto do ołtarza.

– To ofiara, Minervo – mówi Tapuy, ściskając mnie za rękę, abym za nim szła.

Na kamiennym stole służącym za ambonę podczas niedzielnych mszy, leży teraz zarżnięta świnia. Krew zwierzęcia spływa na ziemię, tworząc gęstą kałużę tuż pod moimi stopami. Nie można doświadczyć rzeźni w bardziej dotkliwy sposób. Przez kilka minut stoimy w ciszy, ale nagle chłopak przerywa to makabryczne milczenie.

– Zabiłem małego wieprza. To prezent dla Świętej Dziewicy z Olón. Jestem wybrańcem i powinienem za to podziękować. Na tych dzikich terenach zawsze składa się dziękczynienie za pomocą krwawej ofiary.

Jego głos brzmiał obco, jakby był opętany. Chcę odejść i zostawić tego niepoczytalnego chłopaka samego ze swoimi rytuałami, ale nie jestem w stanie się na to zdobyć. Dwukrotnie, gdy nawiedzała mnie zjawa Gloriany, pojawiał się również Tapuy: wyciągnął mnie na plażę w Montańicie i teraz też jest przy mnie.

– Kim jesteś, Tapuy? – zapytałam bardziej pewna siebie.

Czułam, że zaczęłam postępować, jakbym była kimś zupełnie innym, jak moja stanowcza babcia. Chłopak wygląda teraz na zdziwionego. Nie spodziewał się, że go o to zapytam. Patrzy na mnie swoim głębokim, zielonym spojrzeniem, a czarna plamka na jego tęczońce zaczyna niespodziewanie rosnąć. Nadal nie potrafię dostrzec Matki Boskiej w jego oczach.

– Minervo, jestem prorokiem. Jestem wysłannikiem – mówi, a źrenice powiększają mu się do tego stopnia, że wygląda jakby wcześniej zażył narkotyki. – Przecież już ci to tłumaczyłem, kiedy zachowałem twoje życie.

Nie umyka mi ten szczegół. Powiedział „zachowałem”, a nie „uratowałem ci życie”. Ale zgłębianie kwestii językowych mnie nudzi. Zapach świeżej świńskiej krwi sprawia, że przez chwilę chce mi się wymiotować. Niestety kiedy zaczynam mu sugerować, żebyśmy sobie stąd poszli, chłopak zaczyna mówić:

– Urodziłem się w Baños, w ekwadorskiej puszczy. Do trzeciego roku życia odżywiałem się tylko mlekiem mojej matki, warzywami i owocami, przede wszystkim tymi słonymi bananami, które są istną plagą na tych terenach. Jedzenie biednych. Pewnego dnia odwiedziła nas sąsiadka i przyniosła nam graviolę, która rosla na drzewie przy jej ranczo. Doña Paula była chora, miała spuchniętą, fioletową nogę – mówi Tapuy, po czym nagle milknie, szukając we wspomnieniach jakiegoś szczegółu i opowiada dalej, podkreślając słowa wyrazistymi gestami: –

Pamiętam, jak dotknąłem czarnej rany na jej łydce, zamknąłem oczy i poczułem palenie dłoni. Nie oderwałem jej jednak od nogi. Wytrzymałem ten ból z dłonią przyłożoną do samego środka jej gangreny. Nie potrafię sobie przypomnieć, jak długo siedzieliśmy w ten sposób razem w ciszy. Pamiętam tylko, że kobieta, która przysłała do nas, kulejąc, opuściła nasz dom tak, jakby nic nigdy jej się nie stało. –

Chłopak otwiera teraz mokre od łez oczy. Patrzy na mnie i dodaje: – Paula powiedziała moim rodzicom, że potrafię czynić cuda, że ją uzdrowiłem. Od tamtego dnia i później przez dość długi czas zajmowałem się uzdrawianiem ludzi, którzy tak jak my mieszkali u stóp wulkanu Tungurahua. W zamian przynosili nam jedzenie, zwierzęta, a nawet magiczne skamieliny z lawy.

Nawet przez chwilę nie wierzę w jego historię, więc mu przerywam.

– Tapuy, twoi rodzice wykorzystali cię do zarabiania pieniędzy.

Mój komentarz mu się nie spodobał, dlatego odwraca się do mnie plecami. Jego ramiona zaczynają drżeć. Na szczęście nóż leży na podłodze, daleko od chłopaka. Obraca się. Jego zielone oczy napłynęły wściekłością tak jak poprzednio, kiedy znalazłam go po drugiej stronie drzwi do nawy sanktuarium. Przez sekundę czuję, że w tym odrealnionym spojrzeniu jest też coś ze mnie. Ten szczegół wprawia mnie

w zakłopotanie. Spojrzenie Tapuya mrozi mi krew w żyłach. Wiem, kiedy powinnam milczeć, więc milczę. To on rozdaje teraz karty.

– Nie ma i nie było żadnych interesów. To robią tylko bogacze – mówi, patrząc w ziemię, i na powrót staje się tym samym, kościstym nastolatkiem, którego znałam. – Pomyliłem się tylko raz. Ten jeden jedyny raz, kiedy akurat nie mogłem się pomylić.

Nie mam zamiaru go o nic pytać. Nie obchodzi mnie jego odpowiedź. Chcę wrócić do sanktuarium. Spojrzenie Tapuya za bardzo przypomina mi moje własne spojrzenie. Nie chcę już głębiej w to wchodzić. Jednak jego – tak jak i mnie – nie obchodzą zamiary drugiej osoby, więc kontynuuje swoją opowieść:

– Nie byłem w stanie uratować swojego ojca. Zachorował, kiedy miałem siedem lat. Wcześniej uzdrowiłem setki osób. Kaszlał i pluł krwią. Można było policzyć na nim wszystkie kości, bo tak bardzo schudł. Pewnej nocy położyłem rękę na jego piersi i trzymałem ją tak przez kilka godzin, aż do świtu. Ale to nie pomogło. Moja matka powiedziała, że go zabiłem, że nie zrobiłem wszystkiego, co było w mojej mocy. Spakowała do koszy resztę naszych rzeczy i opuściliśmy rancho w Baños. Zostały tam tylko ściany i pryzma, na której umarł mój ojciec.

Próbuję zmienić temat.

– Co ta historia ma wspólnego z tą zarzniętą świnią?

Chłopak uśmiecha się do mnie i patrzy na to, co zostało ze zwierzęcia, które położył u stóp ołtarza.

– Za każde życie, które uratowałem własnymi rękami, moja matka składała w ofierze jakieś zwierzę, żeby podziękować Matce Boskiej za dar, który dostałem od Boga. Teraz sam zajmuję się tym obrzędem.

– Kogo uratowałeś tym razem? – pytam go prześmiewczym tonem.

– Ciebie, Minervo. To zwierzę jest ofiarą za twoje życie.

Patrzy mi prosto w oczy. Zatrzymuję spojrzenie na plamce, którą ma na prawym oku. Przez sekundę wydaje mi się, że widzę Matkę Boską w jego oczach.

Od wielu lat Matías Aguirre, doktor na oddziale psychiatrycznym, zajmował się słowami, które wypowiadali jego pacjenci. Doskonale rozumiał, że osoba w stanie psychotycznym wyostrza swoje spojrzenie i głos. Ale wiedział też, że nie jest w stanie zrobić zbyt wiele, żeby te głosy zniknęły z ich umysłu na zawsze, nawet jeśli dużą ulgą była świadomość, że wiele z nich jest w stanie stłumić do prawie niesłyszalnych szeptów.

Pacjentem, który go najbardziej martwił, był Mauro. Nawet cały majątek, jaki jego rodzice przeznaczyci na terapie w różnych zakątkach świata ani najbardziej specjalistyczne leki nie były w stanie wyrwać chłopaka z sidła wewnętrznych demonów. Etapy przejściowe, kiedy Mauro wydawał się osadzony w czasie i przestrzeni, stały się jeszcze krótsze, a Aguirre dzięki własnemu lekarskiemu doświadczeniu wiedział też, że kiedyś w ogóle znikną. Przeznaczenie chłopaka zostało już jasno określone. Nie było powrotu. Pewnego dnia szpital psychiatryczny Los Tilos stanie się jego domem.

Lekarz zamknął się w swoim gabinecie. Prawie w desperacji zaczął szukać swojego szarego wełnianego swetra i założył go na biały fartuch. Na zewnątrz temperatura dochodziła do prawie trzydziestu pięciu stopni. Styczeń był naprawdę przytłaczający, jednak jemu było dziwnie zimno. To, co przed chwilą zobaczył przez wizjer w pokoju Maura, zmroziło mu krew w żyłach. I nie był w stanie pozbyć się tego chłodu. Usiadł przy biurku i włączył komputer. Próbował się uspokoić, kiedy czekał na połączenie z siecią. Wziął głęboki oddech i powoli zaczął wypuszczać powietrze. Co stało się Mauro? Dlaczego jego ojciec przywiózł go do szpitala nad samym ranem? Przez dziesięć lat, kiedy był jego lekarzem, nigdy nie widział, żeby był w tak złym stanie.

Aguirre kliknął w ikonkę przedstawiającą skrzynkę pocztową, skopiował adres mailowy i napisał: „Mauro się pogorszyło. Tym razem to zupełnie coś innego. Zadzwoń do mnie, jak tylko przeczytasz tę wiadomość”. Dyrektor szpitala psychiatrycznego musiał wiedzieć, co się działo. Mauro nie tylko był synem jego najlepszego przyjaciela, lecz także chrześniakiem. Aguirre został wybrany na lekarza prowadzącego chłopaka, a jego rodzice obdarzyli go całkowitym zaufaniem w kwestii zdrowia psychicznego syna. Ale, tak jak napisał to w mailu, tym razem chodziło o coś zupełnie innego.

Wcisnął przycisk na pilocie, żeby włączyć telewizor. Chciał wreszcie usłyszeć jakieś ludzkie głosy, chociażby z telewizji. Musiał nad tym wszystkim pomyśleć. Uśmiechnął się, bo cała ta sytuacja wydawała mu się dość groteskowa. Jego praca polegała na uciszaniu wewnętrznych głosów, które słyszeli jego pacjenci, a on musiał usłyszeć cudze, żeby móc się wreszcie skupić. Cisza w ogóle go nie stymulowała.

Z ekranu dobiegały do niego różne wiadomości. Jedna z nich zwróciła jego uwagę, dlatego podgłośnił. Ze studia przemawiała dziennikarka prowadząca program kryminalny. Pokazywano materiał sprzed domu z pomalowaną na kolory imitujące marmur fasadą. Mówiła, że znaleziono tam zasztyletowane ciało bardzo młodej dziewczyny. Sąsiedzi podchodzili kolejno do mikrofonu. Wszyscy mieli coś do powiedzenia, ale żadne z zeznań nie wносиło nic do sprawy. Były to tylko przypadkowe brednie. Myślał nad tym, jak bardzo potrzeba uwagi może pchać do wypowiedzania publicznie zdania na temat, o którym nie ma się zielonego pojęcia, ale nagle otrząsnął się, bo zdał sobie sprawę, że w tej samej dzielnicy, którą pokazywano w reportażu, znajduje się również ich szpital. Dom znajdował się zaledwie dwie przecznice od miejsca, w którym właśnie siedział. Wstał z krzesła, otworzył okno i wychylił się. Spojrzał w lewo. Mógł dostrzec samochody ekipy telewizyjnej, które były zaparkowane w dwóch rzędach pod bliźniakiem. Przestraszył się nagłego dzwonka telefonu. Włożył rękę do kieszeni spodni, i nie patrząc na ekran, odebrał połączenie.

– Przed chwilą otrzymałem twój mail.

Dyrektor szpitala, Albert Echepare, spędzał większość tygodnia w swojej posiadłości w Olavarría i był dostępny dla swoich pacjentów online. Rodziny pacjentów płaciły bardzo wysoką cenę, dlatego też wymagali jego uwagi o każdej porze dnia i nocy. Żądali najlepszej obsługi za każde peso, które wpłacali na jego konto.

– Alberto, Mauro znowu wylądował na oddziale. Tym razem przywiózł go bardzo wczesnym rankiem jego ojciec. Miał poważny atak psychotyczny. Przyjęliśmy go z ranami na ciele.

– Z ranami na ciele?

– Tak, ma całą twarz i klatkę piersiową w zadrapaniach. I nie jest to pierwszy raz, kiedy Mauro się sam poranił. I jest jeszcze jedna rzecz, Alberto.

– Mów.

Psychiatra nie wiedział, jakich słów miał użyć, żeby Alberto wreszcie zrozumiał, że psychika jego chrześniaka przypominała coraz bardziej stłuczone lustro, z którego zostało tylko kilka fragmentów odbijających inne rozbite kawałki.

– Nie ma kontaktu z rzeczywistością jak zawsze, ale poza tym wydarzyło się coś jeszcze, co przykuło mocno moją uwagę – i to coś nowego w jego zachowaniu.

Zamilknął. Po drugiej stronie słuchawki dało się słyszeć jeszcze głębszą ciszę. Postanowił mówić dalej.

– Za każdym razem, kiedy chłopak łapie kontakt z rzeczywistością, chce opowiedzieć, co przydarzyło mu się zeszłej nocy.

– Tak ci powiedział?

– Oczywiście nie wprost, ale tak. Wyraża gniew skierowany przeciwko jakiejś rzeczy lub osobie – powiedział i wziął głęboki oddech. Czuł się bardzo niezręcznie, kiedy miał z kimś rozmawiać o Mauro. – Alberto, Mauro spędza godziny na obrażaniu poduszki, ale...

– Chłopak nigdy nie był agresywny, ale jego stan psychiczny może nas przecież zaskoczyć... – przerwał mu Echepare, próbując nabrać dystansu

do tego, co opowiadał mu psychiatra.

– Nie, Alberto, Mauro odtwarza jakąś scenę, pewien ciąg zdarzeń. Szuka sposobu, żeby wyjaśnić, co wywołało u niego ten napad.

– Czy to ty sam doszedłeś do wniosku, że on chce coś powiedzieć?

– W tej scenie chłopak kogoś uderza, używa poduszki jako ofiary i denerwuje się, bo wbrew jego wspomnieniom z poduszki nie wycieka krew. I chociaż to wszystko może wydawać ci się absurdalne, to nie to zwróciło moją uwagę.

– A więc o co chodzi?

– Mauro był o krok od rozdwojenia jaźni. Udało mu się nawet zmienić ton głosu. W tej scenie odgrywa role dwóch różnych postaci. Jedną z nich jest kobieta. Mauro udało się odwzorować jej kobiecy sposób mówienia. Alberto, krzyki tej kobiety są przerażające.

Po drugiej stronie słuchawki dyrektor odstawiał właśnie szklankę soku pomarańczowego. Poczuł, jak napój gorzknieje mu w ustach. Przestraszony zapytał:

– Matías... Co ona mówi?

– „Nie zabijaj mnie”.

– Przepraszam, nic nie rozumiem.

– To właśnie wykrzykuje. W scenie, którą odgrywa Mauro, najpewniej w świecie chodzi o zabójstwo.

Obydwaj zamilkli. Można było odnieść wrażenie, że połączenie telefoniczne zostało przerwane. Mieli świadomość, że Mauro niejednokrotnie przeżywał gwałtowne zmiany humoru, że się okaleczał, że miał halucynacje wzrokowe i słuchowe. Już od wielu lat walczyli z psychozą chłopaka, ale najnowsze symptomy były czymś zupełnie nowym. Matías Aguirre poczuł się przegrany. Wygrywały z nim wewnętrzne demony jego własnego pacjenta. Dyrektor szpitala przerwał milczenie.

– Matías, dodaj lub zmień mu leki. Sam nie wiem, obserwuj go. Ale będę musiał poprosić cię tylko o jedną rzecz.

– Słucham cię.

– Jeśli to, o czym teraz mówisz, opuści mury szpitala, możesz czuć się zwolniony.

– Tu nie chodzi o żadną przysługę. To jawna groźba – wystrzeż się bardziej rozwścieczony niż zaskoczony psychiatra.

– Przyjmij to jako ostrzeżenie – to były ostatnie słowa, które wypowiedział Echepare przed zakończeniem rozmowy.

Po raz pierwszy od kiedy pracował w Tilos, poczuł, że przestawało to być miejsce, w którym mógł czuć się swobodnie.

Echepare przejmował się jedynie dobrym imieniem kliniki, a on jako psychiatra miał zajmować się jedynie swoimi pacjentami.

Zaczęło mu się robić gorąco, dlatego ściągnął szary sweter. Poczuł, że jego gabinet dziwnie się skurczył, zaczęło brakować mu powietrza. Podszedł znowu do okna, chciał wreszcie odetchnąć świeżym powietrzem. Wozy telewizyjne zaczynały zbliżać się coraz bardziej do sąsiedniego domu. Pomyślał, że na całe szczęście nie był to dzień odwiedzin; bliscy pacjentów nie byliby zadowoleni z powstałego w dzielnicy zamieszania. Wiele osób, które przekraczały próg szpitala psychiatrycznego, zakładało okulary przeciwsłoneczne. Za nimi chowali wstyd, który odczuwali za zaburzenia swoich bliskich.

Usiadł za biurkiem. Okienko mailowe wciąż było otwarte. Zamknął je i zaczął szukać pliku, w którym miał skrupulatnie zapisane wszystkie informacje o zdrowiu Mauro Solariego. Było to pięć stron w Wordzie, na których znajdowały się rok po roku wszystkie wpisy, zmiany lekarstw i kilka białych przerw pomiędzy, kiedy Mauro próbował prowadzić normalne życie ze swoją rodziną poza szpitalem. Psychiatra zaczął zapisywać nowości z ostatnich godzin, kiedy trochę przez przypadek, a trochę kierowany intuicją przeszkrolował dokument tak, żeby znaleźć się na jego pierwszej stronie. Widniało tam zdjęcie chłopaka. Miał kilka lat mniej i kilka kilo więcej. Lekarz patrzył na jego imię i nazwisko, przypadłość, numery telefonów do osób, do których należy zadzwonić w razie sytuacji kryzysowej oraz adres. Właśnie na tej linijce zatrzymał się Matías Aguirre. Zmroziło mu to krew w żyłach. Marzył, żeby mieć pod ręką

swój szary sweter, który zostawił na wieszaku chwilę wcześniej. Zamknął oczy w nadziei, że kiedy je otworzy, na ekranie komputera zobaczy inne informacje. Ale tak się nie stało. Nic się nie zmieniło. Wciąż widniał tam adres chłopaka. Mauro Solari mieszkał przy tej samej przecznicy, gdzie według telewizji zeszłej nocy zamordowano dziewczynę.

Juánez wyszedł z willi babci Minervy del Valle i wsiadł do samochodu, w którym czekał na niego porucznik Ordóñez. Policjant zasnął z jedną ręką założoną na dolnej części kierownicy i drugą opartą na nodze. Juánez zdziwił się, widząc wykończonego kolegę. Przez moment patrzył, jak Ordóñez śpi. Zamknął oczy i kciukami przycisnął powieki. Jakiś szczegół, który wcześniej pominął, chciał właśnie wypłynąć na powierzchnię jego świadomości. Otworzył gwałtownie oczy. Złapał ostrożnie za nadgarstek Ordóñeza, podniósł go kilka centymetrów w górę i wypuścił rękę. Ordóñez natychmiast się obudził.

– Ach, szefie, proszę mi wybaczyć. Przysnęło mi się – powiedział, zapinając pasy.

Ale Juánez wciąż mu się uważnie przypatrywał, dlatego Ordóñez go zapytał:

– Co się dzieje, szefie?

– Nic, Ordoñez. Lepiej odpal silnik.

Juánez patrzył przez okno. Jednak tak naprawdę nie interesowało go to, co widział. Ani ulice, ani drzewa, ani otaczający go ludzie. Nic z tego nie zajmowało jego uwagi. Bezwładnie opadająca na nogę ręką Ordoñeza zawładnęła jego umysłem. Upadła zupełnie tak samo jak ręką zamordowanej Gloriany Márquez, kiedy kilka godzin wcześniej Juánez podniósł ją, żeby sprawdzić, czy błyszczący zegarek na jej lewym nadgarstku był oryginalnym cartierem. Obydwie ręce zachowały się tak samo. Ale Gloriana była martwa.

– Ordóñez, na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo. Jedziemy do kostnicy.

Wszedł biegiem po schodach. Czuł, że coś może mu zaraz umknąć. Budynek był stary, ale schludnie odnowiony. Strzegł wszystkich sekretów policyjnej kroniki kryminalnej z całej Argentyny. Przez jego kostnicę i stoły do autopsji przewinęły się ciała mężczyzn i kobiet z pierwszych stron gazet. Pracownicy kostnicy ofiary najslynniejszych morderstw nazywali VIP-ami. Czarny humor ratował ich przed przekroczeniem granicy szaleństwa. Oni sami musieli wyznaczyć, gdzie się znajduje. Martwi po jednej stronie, a żywi po drugiej.

Przy zielonym metalowym biurku siedziała Elisa, Hiszpanka o promiennym uśmiechu, która zajmowała się zarówno martwymi, jak i żywymi. Nie dało się wejść do środka, nie przechodząc przez jej obowiązkową kontrolę. Mówiono na nią Galicyjka. Na jej biurku znajdowały się dwa ogromne zeszyty, w których dokładnie zapisywała wszystkie osoby, które wchodziły, i te, które wnoszono do środka. Zeszyt z czerwoną okładką był przeznaczony dla żywych. Zeszyt z czarną – dla całej reszty. Wszyscy pamiętali, kiedy jednego dnia się pomyliła i w zeszycie przeznaczonym dla martwych zapisała nazwisko szefa toksykologii. „Galicyjko, niech ci się tak bardzo nie śpieszy. Chociaż wiem, że bardzo byś mi tego życzyła”, powiedział zaśmiewający się w głos lekarz, który okazał się ofiarą jej błędu. „Już to wymazuję, panie doktorze. Nie mogę przecież dać komuś przedwczesnych powodów do radości”, odpowiedziała mu kobieta z językiem ostrzejszym niż brzytwa.

– Cześć, Juánez. Co się stało, że przychodzisz tu jak po ogień?

– Cześć, moja mała Galicyjko. Po prostu lubię biegać z jednego miejsca w drugie. Prowadzę śledztwo dotyczące zbrodni na dziewczynie z północnej dzielnicy.

– Ach, tak. Gloriana... Márquez – powiedziała, sprawdzając datę wpisu w czarnym zeszycie. – VIP. Właśnie przed chwilą usłyszałam, jak mówią o niej w radiu. Biedna dziewczyna. Taka młodziutka.

Juánez oparł ręce na biurku, zbliżył się do kobiety i zaczął mówić do niej ściszym głosem. Poczłł słodkie perfumy, którymi się rano spryskała.

– Kto przeprowadza sekcję zwłok tej dziewczyny?

– Idiota Aguada – odpowiedziała półgłosem.

Ponoć doświadczenie biegłego mierzy się nie w latach spędzonych w pracy, lecz liczbą przeprowadzonych autopsji. A jednak ten biegły stanowił ewidentny wyjątek od reguły. José María Aguada utrzymywał, że przeprowadził ponad osiemset sekcji zwłok w swojej karierze. Mimo to *vox populi* głosił, że czasami jego współpracownicy musieli poprawiać jego pracę lub dopisywać pominięte przez Aguadę dane. Wielokrotnie zostawiał puste okienka w protokołach. Warto też wspomnieć, że „Rzeźnika” Aguadę pochłaniała telewizja. Można było zobaczyć go często w panelach dyskusyjnych, gdzie zapraszano go jako naczelnego eksperta, półboga.

„Kiedy Rzeźnik nauczy się nazw kości w ludzkim ciele tak dobrze jak imion i nazwisk wszystkich dziennikarzy, urządzam imprezę”, podśmiewali się jego koledzy za każdym razem, kiedy widzieli, jak zasiada w swoim idealnym garniturze przed kamerami.

– Ależ ze mnie idiota! Żeby zadawać ci takie głupie pytania!

– We wszystkich mediach pokazuje się to morderstwo, więc Aguada na pewno nie ma zamiaru przegapić takiej okazji.

Śledczy i recepcjonistka spojrzeli na siebie ze zrozumieniem i zaśmiali się w poczuciu wspólnego zrozumienia i bezsilności. Galicyjka otworzyła zeszyt z czerwoną okładką i zapisała Juáneza, wskazując lewą ręką na drzwi.

– Wchodź – powiedziała – i niech wszystko pójdzie sprawnie.

Francisco Juánez przeszedł długi korytarz w zaledwie kilka sekund. Zdecydował wejść na trzecie piętro schodami. Właśnie tam dokonywano autopsji Gloriany Márquez. Otworzył drzwi od szatni. Odruchowo założył fartuch chirurgiczny, lateksowe rękawiczki, czepek i okulary ochronne. Prawym ramieniem popchnął obrotowe drzwi i wszedł do środka. Prace nad ciałem dziewczyny miały się rozpocząć dopiero za chwilę. Wyglądała

jak figura woskowa. Leżała na zimnym stole wykonanym ze stali nierdzewnej. Biegły Aguada nie był sam: jakiś niedoświadczony, ale rozentuzjasmowany asystent służył mu pomocą.

– Witam biegłego Juáneza. Nazywam się Cristian Ado, jestem pomocnikiem doktora Aguady – przedstawił się, wyciągając rękę w gumowej rękawiczce. Juánez zauważył, że jego dłoń cała drżała. Złapał ją w obydwie ręce i uśmiechnął się.

Aguada nie zadał sobie trudu, żeby podejść i się przywitać. Był zajęty dokładną obserwacją każdego centymetra ciała dziewczyny. Najpierw trzeba znaleźć potencjalne rany na zwłokach. Nikt nigdy nie wie, jakie tajemnice można odkryć podczas autopsji. I tak samo jak śmierci nie da się odwrócić, tak samo nie można cofnąć autopsji. Biegły, który niszczy rany wyrządzone przez mordercę własnym skalpelem, może położyć całe śledztwo. A Aguadzie często zdarzały się takie błędy.

Cristan Ado stał po prawej stronie lekarza, trzymając w ręku zeszyt i ołówki do robienia notatek.

– Płeć żeńska, metr pięćdziesiąt osiem wysokości, pięćdziesiąt siedem kilo wagi – recytował biegły, nie odrywając oczu od ciała. – Poprawna higiena, odpowiednie nawyki żywieniowe, całe uzębienie. Zapisaleś?

– Tak, doktorze Aguada.

– To będę kontynuował. Rozległe siniące wokół szyi i rany cięte, typowe dla tej części ciała.

Juánez podszedł do stołu, na którym Aguada dokonywał sekcji zwłok. Wyjął z kieszeni czarny notesik i zaczął sporządzać notatki. To, co mówił biegły, zgadzało się z tym, co miał szansę zobaczyć na własne oczy. Można było dostrzec rozległe siniaki, zadrapania, którymi morderca naznaczył ciało jeszcze wtedy żyjącej dziewczyny. „Nikt nie dokonuje tego typu morderstwa bez przyczyny”, pomyślał śledczy zaskoczony wychodzącym na jaw okrucieństwem, którego doświadczyła Gloriana. Tymczasem biegły dalej recytował swoje makabryczne dyktando.

– Pod paznokciami ofiary nie znajduje się żaden ślad obcego materiału genetycznego. Jeden paznokieć, u małego palca, jest złamany.

„Nie broniła się – pomyślał odruchowo Juánez – nie walczyła o swoje życie. Jakie to dziwne, do jasnej cholery”. Jakby Aguada usłyszał jego myśli, bo dodał:

– Nie widać żadnych oznak samoobrony. Ani jednego. Cristian, zapisz: na zwłokach nie widać również żadnych śladów po więzach. Nadgarstki i kostki nietknięte. Zapisales?

– Tak, doktorze – odpowiedział nieśmiało chłopak.

Juánez podszedł jeszcze bliżej, ale tak, żeby Aguada nie poczytał tego za oczywiste naruszenie miejsca pracy. Być może biegły już się poddał i wiedział, że Juánez nie zjawiał się tam, gdzie go zapraszano, ale tam, gdzie powinien i chciał się zjawić.

– Aguada, co dziewczyna ma w ustach? – zapytał.

– Sinicę, Juánez, ale jeszcze nie doszedłem do tego punktu – odpowiedział zrezygnowany. – Ale oczywiście jasnoniebieski kolor wydzielin utwierdza nas w przekonaniu, że mamy do czynienia ze skutkami uduszenia.

– Nie, nie, Aguada – nalegał Juánez, wskazując ołówkiem usta dziewczyny. – Zwróć uwagę, że pomiędzy wargami znajduje się coś błyszczącego...

Biegły i jego pomocnik zbliżyli się z ciekawości do ciała. Strumień jasnego światła padający na zwłoki pozwalał dostrzec jakiś przedmiot w ustach dziewczyny. Biegły wybrał spośród narzędzi wziernik ze stali nierdzewnej i otworzył jej usta.

– Podaj mi szczypce, Cristian.

Chłopak posłuchał. Serce zaczęło mu bić jeszcze szybciej. Nie miał doświadczenia, ale przeczuwał, że właśnie wydarzyło się coś istotnego. Biegły użył szczypiec i wyjął spomiędzy ust Gloriany przezroczysty przedmiot.

– To silikonowy aparat na zęby. Z tych, których używa się, żeby w nocy nie ścierały się zęby.

Aguada podniósł głowę i spojrzał na Juáneza. Śledczy odnotowywał w swoim notesie to kluczowe dla śledztwa odkrycie.

– Nie rozumiem, co tam notujesz, Juáneze. To jest jakiś głupi szczegół. Jakiś gówniany aparat na zęby świadczy o tym, że dziewczyna zgrzytała zębami i zakładała na noc tę przeklętą nakładkę.

Po raz pierwszy biegly spojrzal na niego uważnie.

– Teraz sporządzę listę rzeczy, które wydają ci się głupimi szczegółami, Aguada. Dzięki połowie informacji z tej listy rozwiążę sprawę. Mów dalej, słucham cię.

Biegly zaczynał tracić cierpliwość. Nie podobało mu się, że Francisco Juáneze przyszedł na zwiady i podważa jego pracę, ale nie miał innego wyjścia. Nawet dyrektor kostnicy go ostrzegł przed wpływami Juáneza. Musiał spuścić głowę i poczekać na odpowiednią chwilę, żeby móc się mu odplacić. Zachowując spokój, biegly Aguada zdecydował po prostu zająć się swoją pracą.

– Cristian – powiedział, patrząc na swojego asystenta – zapisz informację o silikonowej nakładce na zęby.

Kiedy chłopak zapisywał nowe dane, zauważył, że Juáneze jeszcze bardziej zbliżył się do ciała i uważnie przyglądał się jamie ustnej dziewczyny. Aguada nie mógł pozwolić, żeby po raz kolejny go ubiegł. Za pomocą metalowego wziernika jeszcze szerzej otworzył jej usta.

– Na górnej wardze ma ranę pokrywającą się z linią zębów – zaobserwował i kontynuował dalsze poszukiwania. – Na dolnej wardze ma drugą.

– Czy widać coś na języku? – zapytał Juáneze, tym razem ironicznie.

– Tak, ma małą ranę na brzegu. Popatrz.

Juáneze podszedł i sprawdził każdy opisywany przez Aguadę szczegół. Mogło wydawać się, że są to nic nie znaczące drobiazgi, ale mówiły dużo o mechanice dokonanej zbrodni. Wszystkie obrażenia występowały od szyi w górę. Ciało wyglądało na nietknięte przez ręce mordercy.

– Aguada, coś przyszło mi do głowy – powiedział Juánez, szkicując w swoim zeszycie potencjalny przebieg ciosów i ruchów, które musiał wykonać zabójca. – Możesz powiedzieć, czy zauważyłeś coś na kostkach i nadgarstkach?

– Nic. Nie ma najmniejszego zatarcia. Sam zobacz. – Rękami w rękawiczkach śledczy złapał za jeden nadgarstek dziewczyny i delikatnie go obrócił. – Nic a nic. – Potem wykonał tę samą czynność z lewą kostką. –

Zapisz, Cristian: na zwłokach nie widać żadnych otarć ani urazów na kończynach górnych i dolnych.

– Zapisane, proszę pana.

W trójkę zrobili krok w tył i stali w ciszy, patrząc na nagie, martwe ciało Gloriany Márquez. Nabierali coraz większej pewności, że morderca zabił wcześniej wiele innych osób.

„Zgłoszę nakaz zatrzymania Minervy del Valle. Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mógł”. Juánez poczuł, jak coś mrozi mu krew w żyłach. Nie mógł oderwać telefonu od ucha. To prokurator Roger podjął właśnie tę drastyczną decyzję. Kiedy wybierał numer, drżały mu ręce, a kiedy usłyszał piskliwy głos Rogera, od razu przeszedł do rzeczy. Nie miał czasu na uprzejmości.

– Doktorze, na podstawie jakich dowodów chcesz zatrzymać del Valle?

– Juánez, od kiedy nazywasz mnie doktorem? – zapytał śledczy, wybuchając głośnym śmiechem. – Przecież jesteśmy kumplami. Co się dzieje?

– Mój drogi kolega Marcos Roger nigdy nie wydaje nakazu zatrzymania bez dowodów wynikających z dokumentów sekcji zwłok. Co ty najlepszego wyprawiasz? – powiedział, łapiąc powietrze do płuc, żeby móc zachować spokój. – Nie, nie. To ja pytam, co się dzieje.

– Mam w dupie twoją sekcję zwłok, Juánez. – Śledczy podniósł ton głosu, zakładając w tym samym czasie nogi na mahoniowe biurko, które dostał, jak tylko objął nowe stanowisko. – Zamordowano Glorianę Márquez, a ostatnią osobą, która miała z nią kontakt, była jej przyjaciółeczka, Minerva. Na tym można by zakończyć tę sprawę – zapewnił pewny siebie, słysząc po drugiej stronie słuchawki głucho milczenie. – Jesteś tam, Juánez?

– Tak, jestem, jestem – odpowiedział Juánez z jakimś podejrzanym spokojem – a osobą, którą powinniśmy teraz przesłuchiwać, jest właśnie Minerva.

– No dobrze, Juánez, opowiedz mi, o co dokładnie chodzi. – Roger wykazał odrobinę zainteresowania. Zaalarmował go ton Juáneza. – Możemy się spotkać i porozmawiać.

– Czy już złożyłeś wniosek o zatrzymanie u sędziego nadzorczego?

– Tak, przed chwilą go wysłałem.

– Za późno, doktorze Roger. To znaczy, że nie mamy już o czym rozmawiać.

Juánez zakończył połączenie bez dyskusowania, bez żadnej złości. „Ten kto niepotrzebnie się napędza, tylko traci”, mówił często jego ojciec. Wyszedł z sali, w której przeprowadzano sekcję zwłok Gloriany, żeby sprawdzić wiadomości, które bombardowały jego komórkę, ale głównie po to, żeby zawiadomić prokuratora, że nie brano pod uwagę kluczowej informacji: godziny zabójstwa Márquez. Ale chyba ktoś go uprzedził. I nie było trudno się domyślić kto. Aguada zaczął odpłacać się za chwile upokorzenia.

Oparł się o ścianę i zamknął oczy. Kiedy nabrał pewności, że nic nie może już pójść gorzej, zadzwonił telefon. Natychmiast odebrał połączenie. Była to dziennikarka, która zajmowała się sprawami kryminalnymi w wiadomościach.

– Juánez, zatrzymasz przyjaciółkę zamordowanej?

– Chyba tak. Już złożyłem wniosek – odpowiedział, nie otwierając oczu. – Jeszcze nie wiadomo, co powie sędzia.

– Dziękuję, komisarzu.

Juánez się rozłączył. „Jeszcze nie jest po wszystkim – pomyślał – teraz to dopiero zacznie się bał. Prawdziwa rzeźnia”.

Schował komórkę do kieszeni. Nie miał ochoty sprawdzać nieprzeczytanych wiadomości. Pewnym krokiem i udając spokój, wszedł do sali autopsyjnej.

Aguada zdążył już otworzyć ciało. Wszystkie próbki potrzebne do stwierdzenia, czy dziewczyna była pod wpływem alkoholu lub narkotyków, zostały pobrane z jej krwi. Śledczy pracował teraz nad jej płucami.

– Odma płucna, pęknięcia w przegrodzie międzypęcherzykowej i krwotok płucny – recytował biegły, a pomocnik Cristian zapisywał wszystko, co mówił. – Najprawdopodobniej przyczyną śmierci było uduszenie. Zapisuj wszystko, chłopaku.

Cierpliwość Juáneza dobiegła końca tak samo jak życie Gloriany Márquez. Nie odrywając wzroku od biegłego, przerwał jego makabryczną recytację.

– Cristian, nie zapisuj tej bzdury. – Chłopak cały zeszywniał, ale na jego twarzy pojawiło się coś, co przypominało lekki uśmiech. – A jak masz zamiar to napisać, to lepiej nie wierz w te brednie.

Aguadę ścięło z nóg. Stał sparaliżowany w swoim poplamionym krwią fartuchu, zakrwawionych okularach i kilkoma wystającymi spod czepka siwymi kosmykami włosów. Trzymał jedną rękę przy ciele, a drugą podniósł wysoko w górę. Miał skalpel w dłoni. Wyglądał jak karykatura mordercy z drugorzędnego serialu.

– Juánez, masz wciąż zamiar podrzucać mi kłody pod nogi? – zapytał, a jego policzki zaczynały się coraz bardziej czerwienić.

– Najwidoczniej tak. – Juánez wygrał pojedynek na spojrzenia, żeby dać wszystkim obecnym do zrozumienia, jak wygląda sytuacja. Nie miał zamiaru wycofać się ze swoich hipotez. Obrócił się i zaczął mówić bezpośrednio do asystenta. – Cristian, dziewczyna nie umarła, bo ktoś ją udusił. To rany cięte na szyi doprowadziły do jej śmierci.

Aguada przerwał jego wypowiedź, nie poruszając się nawet o jeden milimetr.

– A obrażenia w płucach? Proszę cię, Juánez, nawet mnie nie rozśmieszaj.

Nie odpowiadając na rzucone w jego kierunku spojrzenie, śledczy zaczął wyjaśnić mechanikę zbrodni dokonanej na dziewczynie.

– Doszło do mechanicznego uduszenia, które doprowadziło do utraty przytomności i uszkodzenia płuc. Zabójca wiedział, że dziewczyna nie będzie się broniła po tym, jak przez prawie minutę zakrywał jej usta i nos. – Zamknął oczy i zaczął wyobrażać sobie, jak wyglądała ta scena. Powoli zaczynał odtwarzać ją w swojej wyobraźni. – Nożem lub jakimś odłamkiem szkła morderca przeciął szyję Gloriany. To była bardzo szybka akcja. Może jakieś trzydzieści lub czterdzieści sekund.

Nagle Juánez otworzył oczy i spojrzał na patologa, który słuchał go z udawanym zainteresowaniem.

– Aguada, sprawdź stan żyły podobojczykowej.

– Przecięta – odpowiedział ledwo słyszalnym szeptem.

– Właśnie dokładnie tak sobie to wszystko wyobrażałem. Po przecięciu żyły podobojczykowej, krew spłynęła do jamy opłucnej, dlatego w pokoju było tyle krwi, ale nie było jej na ścianach. Gdyby narzędzie zbrodni przecięło jakąkolwiek część tętnicy szyjnej, krwawienie byłoby o wiele bardziej obfite. – Położył rękę na zimnym czole Gloriany Márquez. – Właśnie tak było. Właśnie tak ją zamordowano. We śnie.

– No właśnie. Dlatego miała założoną silikonową nakładkę. Spała. To morderstwo w akcie zemsty – podsumował asystent Cristian Ado.

Juánez spojrzał na niego i tylko się uśmiechnął. Chłopak wszystko doskonale zrozumiał. W meczu, który rozgrywali na stole operacyjnym, właśnie wybrano drużyny, a śledczy Aguada został sam. Nie wystarczyło zrozumieć jakichś drobnych nieścisłości. Każdy śledczy wiedział, że jego zadanie polegało na wyeliminowaniu niepotrzebnych hipotez w taki sposób, żeby wszystkie wcześniejsze wątpliwości zniknęły. Musiał opuścić

teren podejrzeń i wejść na grunt, na którym mógł sprawdzić wszystko za pomocą realnych dowodów i dopasować je do najbardziej prawdopodobnej wersji wydarzeń. Z drugiej jednak strony wszystkie działania i tak będą zawsze podjęte za późno. Żaden śledczy nie jest w stanie wygrać wyścigu z czasem. Mógłby założyć się o dziesięć lat swojego życia, i z pewnością by ich nie stracił, że sędzia nadzorczy już zdążył wydać nakaz zatrzymania Minervy, dlatego postawił sobie za cel wyjść z kostnicy z kluczem, który będzie mógł wyciągnąć ją zza krat. Był przekonany, że dziewczyna nie miała nic wspólnego ze zbrodnią i tylko teraz miał okazję, żeby naukowo dowieść jej niewinności, nawet jeśli dotychczas miał tylko zwyczajne ludzkie przeczucie.

Na prawej stronie twarzy i przedniej części ud denatki widać było zasinienie. „Krew na poduszce i materacu wskazują na to, że została zamordowana w łóżku – uważał Juánez – jednak ciało zostało znalezione na podłodze”.

– Scena została upozorowana – powiedział na głos, przesuwając palcem wskazującym po jednej z posiniaczonych nóg dziewczyny.

Biegły Aguada zdjął okulary ochronne. Zaszły krwią. Zaczął czyścić je gazą nasączoną solą fizjologiczną. I chociaż udawał, że nie interesuje go, co robi Juánez, tak naprawdę śledził każdy jego ruch.

– Cristian, zastanówmy się nad tym, co chcą nam powiedzieć te zwłoki – tymczasem Juánez mówił i wskazywał kolejne części ciała, a podekscytowany asystent zapisywał jego słowa. Wielki i szanowany Juánez stał kilka centymetrów od niego, udzielając mu osobistych uwag dotyczących medycyny śledczej. Dzisiaj był jego szczęśliwy dzień.

– Przestań robić notatki, podejdź tutaj i oglądaj. – Obaj zbliżyli się do dziewczyny i patrzyli uważnie na fioletowe plamy na jej ciele. – Kiedy umieramy, krążenie zatrzymuje się. A powiedz mi, co się dzieje z krwią?

Nie odrywając wzroku od Gloriany, Cristian odpowiedział:

– Krew w wyniku siły ciężenia spływa do najniższej położonej części ciała. W miarę upływu czasu kumulowanie się krwi doprowadza do

powstawania sińców, które zazwyczaj obserwujemy u zmarłych – powiedział, patrząc z przerażeniem na śledczego.

– Dobrze. A jakich informacji dostarczają nam te plamy czy też zasinienia?

– No... cóż... Pomagają nam dociec, jak było ułożone ciało, kiedy doszło do śmierci i w jaki sposób krew spłynęła do konkretnych części w martwym ciele. Przyglądając się sińcom, możemy określić, czy doszło do zmiany położenia ciała.

– Obejrzyj uważnie te zwłoki. Co widzisz? – Juánez oddalił się, żeby Cristian mógł stanąć dokładnie na samym środku.

– Widzę, że plamy na przedniej części ciała mają określony kształt – powiedział i natychmiast zamilkł, żeby przemyśleć dokładnie wszystkie słowa, które miał zamiar wypowiedzieć. – Zgadzą się z pozycją, w której ją znaleziono: zwrócona twarzą do ziemi, ale...

– Ale co? – zapytał Juánez i ponaglił: – No dalej, popatrz trochę, pomyśl...

– Ale... została zabita w łóżku. – Cristian wziął głęboki oddech i odważył się powiedzieć: – Zatem jedną rzeczą jest to, w jaki sposób została zamordowana, a drugą – jak potem upozorowano jej śmierć. Zamordowano ją na łóżku, ale żeby pojawiły się sińce, musi upłynąć od czterech do sześciu godzin...

– Więc? Mów dalej, słucham cię uważnie.

– Więc – kontynuował chłopak – z jakiegoś powodu morderca zdjął ją z łóżka i położył na ziemi. – Juánez potakiwał głową, więc chłopak poczuł, że może mówić dalej: – To wszystko było upozorowane. Morderca ustawił scenę zbrodni.

– Bardzo dobrze, Cristian. Teraz porozmawiajmy o tym śladzie.

Śledczy Aguada skończył właśnie czyścić swoje okulary ochronne. Z rękami włożonymi w kieszenie fartucha patrzył i nic nie mówił, przysłuchując się rozmowie Juáneza i jego asystenta. „Powinni aresztować Minervę, a tych dwoje bawi się w komplikowanie całej sytuacji”, pomyślał, czując, że to on wygrał tę walkę.

– O jaki ślad ci chodzi? – zapytał Cristian.

– Ten na nodze, idioto – przerwał mu Aguada.

Chłopak nie zwrócił uwagi na zgryźliwy komentarz, bo skupiał się wyłącznie na osobie, która szanowała go w tej sali: Franciscu Juánezie.

– Bardzo dobrze, Aguada – odpowiedział ironicznie Juánez. – Prawie mógłbyś być śledczym. – Spojrzał na chłopaka i mówił dalej: – Cristian, podejdź tutaj, zbliż się do ciała. Na nodze widać ślad...

Nagle chłopak mu przerwał.

– Tak, wygląda, jakby to był jakiś tatuaż, ale to nie to – powiedział i jeszcze mocniej się nachylił. – Ciało dziewczyny leżało na jakimś przedmiocie, który odgniół się na jej skórze, zostawiając ślad podobny do tatuażu.

– Dokładnie tak – potwierdził Juánez, podchodząc bliżej. – Jednak cały sekret nie tkwi w tym, jaki to kształt, ale ile czasu było potrzebne, żeby powstał – dodał, zamykając oczy i zaczął na nowo odtwarzać scenę śmierci w swojej wyobraźni. – Morderca nie zaatakował Gloriany we śnie. Jedną ręką zatkał jej twarz i usta. Dziewczyna zemdląła z powodu niedotlenienia. Morderca próbował ją udusić, jednak jego próba okazała się nieskuteczna. Dopiero poderżnięcie gardła pozwoliło osiągnąć zamierzony cel. I z jakiegoś powodu ciągnie jej ciało i zostawia zwróconą twarzą do ziemi w jej własnym pokoju...

Cristian Ado jakby w transie również zamknął oczy i dokończył historię, którą przed chwilą zaczął opowiadać Juánez.

– Na ziemi znajdował się mały, podłużny przedmiot, najprawdopodobniej metalowy, który zostawił ten ślad na jej nodze. Żeby do tego doszło, zwłoki musiały leżeć na ziemi co najmniej cztery godziny. –

Otworzył oczy i zapytał: – Juánez, czy na miejscu zbrodni odnaleziono przedmiot, który odcisnął ślad na nodze dziewczyny?

Śledczy uśmiechnął się zadowolony, bo chłopak wszystko doskonale zrozumiał. Zadał właściwe pytanie. To jedno pytanie, które należało teraz postawić.

– Nie, Cristian. Nie znaleziono. Wraz z życiem Gloriany morderca zabrał ze sobą również i ten przedmiot. Ten, kto jest w jego posiadaniu, ten ma wszystko.

Moim ulubionym miejscem nie jest ani Times Square w Nowym Jorku, ani wieża Eiffela w Paryżu, ani nawet zamożna dzielnica w Buenos Aires, w której się wychowałam. Moim ulubionym miejscem na ziemi jest mój wiklinowy bujany fotel, który stoi wprost naprzeciwko morza na plaży w Montañicie, w Ekwadorze.

Kiedy kupiłam bar na plaży, był całkowicie zniszczony. Szeroki prostokąt ziemi z ceglanymi, gołymi ścianami i dachem w połowie pokrytym papą, a w drugiej połowie – liśćmi palmowymi. Wylana cementem podłoga nie była nawet wyrównana i leżała bezpośrednio na piasku. Od razu poczułam się w tym zapchlonym miejscu jak w domu. Czulałam się zupełnie tak samo, wymięta, zniszczona, pusta w środku. Przemiana tego miejsca w coś, gdzie można było zamieszkać, była wyzwaniem nieco bardziej skomplikowanym niż postawienie fundamentów. Dzisiaj, wiele lat później, mogę być dumna, że to miejsce jest tak piękne.

„Sówka” dość szybko stała się ulubionym miejscem na słonecznej ekwadorskiej trasie turystycznej. Naleśniki w argentyńskim stylu okazały się wielkim sukcesem. Nie mamy tu argentyńskiego dulce de leche, dlatego używam cajety de Celaya, którą łączę z ciepłą i puszystą masą z mąki, jajek i mleka.

Na terenie za barem zbudowałam prawie własnymi rękami swój nowy dom. To przestronne i jasne pomieszczenie. Duże łóżko, sosnowy stolik nocny i kilka poduszek to wszystko, co mam. Nie potrzebuję niczego więcej.

Miejscowy stolarz zrobił dla mnie sześć stołów, które stoją w „Sówce”, jego żona uszyła mi kwieciste obrusy z materiału na zasłony. Obydwoje niedawno umarli, najpierw ona, potem on. Kiedy ich poznałam, byli już dość starzy. To było dokładnie dwadzieścia lat temu.

Wiklinowy fotel, moje ulubione miejsce na ziemi, był prezentem od dzieci tego starszego małżeństwa, kiedy przyjechali z Guayaquil aż tutaj, żeby przejąć to, co zostało po domu ich rodziców. „Byłaś dobrą sąsiadką”, powiedzieli mi z wyczuwalnym w głosie wzruszeniem. Przyjęłam ich prezent, ale puściłam ich komplement pomimo uszu. Wcale nie byłam dobrą sąsiadką.

Spędzam większość czasu, bujając się w fotelu i patrząc na morze. Rano czekam na przybycie pierwszych turystów mających zamiar zjeść śniadanie na plaży, a popołudniu po ekscytującej walce z falami przybywają tu wygłodniaли i pachnący solą morską surferzy. A w nocy zwijam się w kłębek i patrzę w gwiazdy, dopóki senność nie przypomni mi, że już pora pójść do łóżka. Od czasu do czasu nawiedzają mnie zjawy przebrane za wspomnienia z przeszłości. Na początku próbowałam ich unikać, wstawałam z fotela i biegłam jak opętana do brzegu morza. Teraz się nie ruszam, a nawet je pozdrawiam. „Witamy w Montañicie”, mówię do nich szeptem. Nauczyłam się z nimi żyć. Nawet Gloriana i jej okrutne krzyki wydają mi się mniej dręczące.

Tego ranka właściciel baru z sokami i koktajlami przyszedł do mnie aż do „Sówki”. Mimo dzielącego nas dystansu dostrzegłam, że ledwo stawia kroki na suchym piasku. Słońce odbijało się wyjątkowo pięknie na skórze jego ramion. Jakby popychała go jakaś nadludzka siła, szedł, wstrzymując powietrze, a pot spływał mu po policzkach. Kiedy wreszcie przekroczył próg baru, powiedział:

– Minervo, skradziono mi skrzynię bananów. W nocy.

Zdziwiona wzruszyłam ramionami i podniosłam brwi.

– A co to ma do mnie, Jorgillo?

– No... nic – powiedział i wytarł czoło dłonią. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że wstawię kraty w drzwiach. Chcesz, żebym załatwił kraty też dla ciebie?

Rzuciłam okiem na ziemię, żeby móc szybko ocenić sytuację. Chciałam zachować dystans, jak to miałam w zwyczaju, ale słowa wyskoczyły ze mnie niespodziewanie jak jakieś dzikie zwierzę.

– Jorgillo, jak ci się podoba siedzenie za kratami, to już twój wybór. Nigdy, ale to przenigdy nie zobaczysz mnie za kratami! – zaczęłam wykrzykiwać, nie zdając sobie sprawy z tego, co właściwie robię. – I wypieprzaj stąd tak szybko, jak tutaj przyszedłeś. Słyszysz, co do ciebie mówię?

Jorgillo wywrócił oczami, odwrócił się na pięcie i odszedł, zlorzecząc coś pod nosem.

– Jakaś nawiedzona jest ta Argentynka. Skaranie boskie z tą kobietą.

Tymczasem kulę się w swoim fotelu i patrzę, jak robotnik montuje żelazne pręty w lokalu Jorgillo. Zakłada tam grube, czarne, przerażające kraty. Dobrze postąpiłam, odrzucając jego dziwną propozycję. Jak tylko na nie patrzę, zaczynam się trząść. Podejrzewam, że każdy, kto kiedykolwiek siedział w więzieniu, na widok krat będzie czuł, jak mu się flaki w środku przewracają. I tak, mnie też osadzono w więzieniu.

Wciąż pamiętam wilgotny zapach podłogi w klitce, do której mnie wsadzili. Pilnująca mnie policjantka za każdym razem pytała o to samo: „Zabiłaś swoją najlepszą przyjaciółkę? Dlaczego ją zamordowałaś?”. A ja w odpowiedzi tylko patrzyłam na nią z obrzydzeniem. Nie miałam zamiaru wypowiedzieć ani jednego słowa, które mogłoby zamienić ją w gwiazdę jednego z tych telewizyjnych szmatławców lub najbardziej przykłądną sąsiadkę u ulubionego fryzjera, gdzie tak fatalnie tleniono jej włosy.

Zwijam się w coraz ciasniejszy kłębek w bujanym fotelu. Bardzo długo nie myślałam o więzieniu. Słońce zaczyna powoli zachodzić nad Pacyfikiem. Zamykam oczy, oddycham głęboko, a w mojej wyobraźni widzę mężczyznę: wysokiego, szczupłego, atrakcyjnego, z wyrazistymi, niebieskimi oczami, z kasztanowymi włosami i kilkoma siwymi, rozczochranymi kosmykami. Otwieram szybko oczy i przed sobą widzę tylko wzburzone fale uderzające o brzeg morza.

– Francisco Juárez – mówię cicho do siebie.

Wspomnienie śledczego zalewa mnie jak spieniona fala. Nawet czuję w powietrzu jego cytrusowe perfumy. „Jak tam ci się w życiu wiedzie, komisarzu?“, pytam sama siebie. „Być może już nie żyje. Minęło tyle lat”.

Juárez był jedyną lub jedną z nielicznych osób, która mi uwierzyła. Później zdałam sobie sprawę z tego, że zrobił wszystko, żeby moja prawda stała się oficjalną wersją wydarzeń. Nigdy mu za to nie podziękowałam. Ale też wcale tego nie żałuję. Niczego nie żałuję. Dzięki wszystkiemu, co zrobiłam lub przestałam robić, jestem tu, gdzie jestem, a kratki to tylko jakaś fantasmagoria w oknie mojego sąsiada.

Choć w Ekwadorze jest ciepło jak zawsze, mam gęsią skórę i czuję, że muszę się sama przytulić. I właśnie to robię. Zapadam się w fotelu i znowu zamykam oczy. Jestem w stanie usłyszeć dźwięk zamykanych drzwi i głos policjantki gdzieś w oddali, tej samej policjantki, która miała źle zafarbowane na blond włosy.

– Przodem, Juánez, ta gówniara potrzebuje, żeby ktoś ją postawił do pionu. Ciekawe, czy przejdą jej te głupie humory.

– Niech nawet do głowy nikomu nie przyjdzie, żeby podnieść na nią rękę, bo ja też mogę wymierzyć sprawiedliwość.

Ja siedziałam na brzegu nędznej pryczy stojącej w celi. Nie chciałam niczego dotykać. Bałam się, że wina może być zaraźliwa i że wcześniej czy później przyklei się do mnie. I że będzie widoczna nawet na mojej skórze.

Podniosłam głowę i zobaczyłam stojącego za kratami Juáneza. By rozczochrany, miał ciemne sińce pod oczami i czerwone, podrażnione oczy. Nie zauważyłam natomiast, żebym ja się w jakikolwiek sposób zmieniła.

Policjantka o tlenionym na żółto blondzie otworzyła celę, a Juánez wyprosił ją stamtąd jednym nieprzyjacielskim spojrzeniem. Wszedł do środka, chwycił metalowe krzesło i usiadł na nim, zakładając ręce na kolanach.

– Trochę ci się skomplikowały sprawy – powiedział obojętnie.

Odpowiedziałam mu półuśmiechem.

– Chyba nie mnie. Chyba to państwu pokomplikowały się sprawy. Wsadzili państwo do więzienia niewłaściwą osobę.

– Teraz to wiem.

Zaskoczył mnie. Zdziwiona otworzyłam szeroko usta. Nie spodziewałam się, że Juánez odpowie mi w ten sposób. Czy wierzył, że jestem niewinna? Pozwoliłam mu mówić.

– Prokurator Roger i sędzia nadzorczy nie mają żadnych wątpliwości. Twierdzą, że to ty zamordowałaś Glorianę. Dlatego jesteś tutaj. Śledczy Aguada jest przekonany, że zasztyletowałaś ją przed wyjściem do pracy...

Przerwałam mu.

– A co pan sądzi na ten temat, Juárez?

– Nie wierzę ani w wersję prokuratora, ani sędziego, a już najmniej ufam Aguadzie – odpowiedział, unikając bezpośredniej konfrontacji. – Czy o czymś mi nie powiedziałaś? Teraz albo nigdy, Minervo. Nie będziesz miała dużo więcej okazji do zwierzeń – powiedział stanowczo.

– To musiał być jakiś złodziej. Jestem tego pewna. Ktoś wszedł, żeby nas okraść i być może Gloriana rozpoznała złodzieja i dlatego ją zabił – wytłumaczyłam i spojrzałam na Juáneza, żeby wyczuć jego reakcję. – Wydaje mi się, że właśnie tak to wszystko wyglądało.

– Złodziej? Brzmi mało prawdopodobnie. – Zastanowił się przez chwilę, a potem dodał: – Gloriana miała na ręce swojego cartiera, obok leżały telefon komórkowy i portfel z osiemdziesięcioma pesos... Coś mi się nie wydaje, żeby chodziło o kradzież.

Przygryzłam górną wargę, strzelając jednocześnie z placów w obydwu dłoniach.

– A... pieniądze z szuflady? – zapytałam ciszej.

Juárez przysunął krzesło kilka centymetrów do przodu.

– Przepraszam... ale nie usłyszałem dobrze. Co powiedziałaś?

Odpowiedziałam znacznie głośniejszym głosem:

– W szufladzie w stoliku nocnym było dużo pieniędzy, bardzo dużo pieniędzy, jakieś dwa tysiące dolarów. Oszczędzałyśmy na wspólne wakacje na jednej z karaibskich plaż. Znaleźliście te pieniądze?

– Nie, nie ma ich na liście przedmiotów wartościowych. No cóż, Minervo – powiedział Juárez, wstając z krzesła i ustawiając je przy ścianie celi. – Ja już sobie pójdę. Najprawdopodobniej zjawi się tu niedługo twój prawnik. Będzie rozmawiał z tobą o strategii podczas obrony w sądzie.

– Czy znaleziono przedmiot, którym dokonano zbrodni?

– Gdybyśmy go znaleźli, sprawa byłaby już rozwiązana, nie sądzisz?

– Tak, oczywiście.

Obydwoje zamilkliśmy. Poczułam, jak Juánez wbija we mnie wzrok. Wolałam patrzeć w ziemię. Czułam jego przeszywające spojrzenie, kiedy zasypiałam na pryczy w więziennej celi, kuląc kolana do własnej piersi. W północy przestraszyłam się trochę tylko wtedy, gdy usłyszałam trzaśnięcie drzwiami. Juánez opuścił areszt.

Teraz, kiedy wspominam tamtą chwilę, też przyciskam kolana do piersi, ale siedzę wygodnie w bujanym fotelu, patrząc na zachód słońca nad pięknym ekwadorskim morzem. Widok jest zupełnie inny, chociaż pustka – ta sama.

– Minervaaaaaaa! Jestem tutaj!

Krzyk wytrąca mnie ze wspomnień. Spuszczam nogi z fotela i kieruję spojrzenie na brzeg morza. Tapuy przybiega do mnie. Jest coraz bliżej. Słyszę, jak dyszy. Widzę drzenie jego ciała. Ma na sobie niebieskie, stare i wytarte kąpielówki. Odkryta klatka piersiowa pokazuje go takim, jakim jest: szczupłym nastolatkiem z widocznie zarysowanymi mięśniami. Widać, że chłopak przez wiele lat pracował fizycznie i surfował. Jego złota skóra świadczy o tym, że całe życie mieszkał w miejscach, nad którymi świeciło intensywne i okrutne słońce. Czarne włosy są aż sztywne od soli morskiej. Tapuy ma szeroki, dziecięcy uśmiech i tak jak ja zielone oczy.

– Cześć, kochana. – Całuje mnie zniecka w policzek. – Chcę spróbować jednego z tych twoich argentyńskich naleśników, które wszyscy zachwalają.

Wstaję z fotela i pocieram dłońmi o kuchenny fartuch, który noszę codziennie. Nie wiem, dlaczego wykonuję ten niewiele znaczący gest, jakbym chciała osuszyć rękę, chociaż wcale nie są mokre. Na czerwonym fartuchu widnieje malowana ręcznie sówka. Prezent od meksykańskiego turysty, który okradł mnie z resztek czułości, które jeszcze wtedy gromadziłam gdzieś na dnie serca. Nie odkrył tam wiele miłości. Być może dlatego było mi łatwo o tym wszystkim zapomnieć.

– W porządku. Chodźmy do środka i zaraz ci je usmażę.

Chłopak stanął jak zaczarowany i nie ruszał się z miejsca. Nagle uśmiech zniknął mu z twarzy. Patrzę na niego zdziwiona.

– Kochana, mam jeden problem – mówi zakłopotany Tapuy i nagle spuszcza wzrok. – Nie mam pieniędzy... ani jednego nędznego dolara...

Wywracam oczami.

– Słuchaj, Tapuy, to jest bar przy plaży. W żadnym miejscu nie jest napisane, że to stołówka dla biednych – mówię urażona, ale jakieś dziwne ułtucie w żołądku sprawia, że zmieniam zdanie. – No dobrze, już dobrze, zrobię ci jednego naleśnika za darmo, ale w zamian musisz zrobić mi trochę reklamy u surferów.

Na jego twarzy ponownie pojawia się olśniewający uśmiech. Nawet dobrze nie przekroczyliśmy progu „Sówki”, a już zdążył usiąść przy barze, kiedy ja wyjmuję z lodówki mieszankę na naleśniki. Zajmuje mi około dziesięciu minut, żeby ją ubić, usmażyć naleśniki i wysmarować je dulce de cajeta. Kładę je na pięknym talerzu z żółtej ceramiki.

– Masz, spróbuj. – Podkładam mu naleśniki pod sam nos i czekam na jego reakcję.

Tapuy nadgryza pierwszy naleśnik, a oczy napływają mu łzami. Znowu nic nie rozumiem.

– Minervo – bełkocze z pełnymi ustami – to jest przepyszne. Nigdy nie jadłem niczego tak wspaniałego. Chyba jesteś jakąś czarownicą, bo to jest prawdziwa magia.

Je powoli. Chyba chce cieszyć się naleśnikiem odrobinę dłużej. Obracam się, żeby umyć patelnię i posprzątać w kuchni, żeby była gotowa na jutro. Chłopak patrzy na mnie radośnie oparty łokciami o bar. Talerz jest zupełnie pusty, nie ostał się nawet najmniejszy okruszek po naleśniku.

– Jutro przyjeżdża duża grupa turystów. Chcą spróbować swoich sił i ujarzmić nasze fale. Obiecuję ci, że przyprowadzę ich wszystkich, żeby skosztowali tej pyszności. Umowa stoi?

– Dobrze – odpowiadam z uśmiechem na twarzy. Chłopak umie negocjować.

– Słuchaj, Minervo...

– O co teraz chodzi?

– Bardzo podoba mi się twój bar na plaży – mówi, przechadzając się między stolami i przesuwając pieśczośliwie ręką po kwiecistych obrusach – i podoba mi się też jego nazwa i rysunek na twoim fartuchu...

– Widzę też, że polubiłeś moje naleśniki – przerywam mu. – Mam wrażenie, że mógłbyś wylizać cały talerz.

– Nawet to zrobiłem – odpowiada bez zahamowań i zaraz pyta: – Dlaczego tak bardzo fascynują cię sowy?

Nie poruszam się, stoję z talerzem w ręce.

– No cóż... ma to coś wspólnego z moim imieniem. Już ci tłumaczyłam, że to stary rzymski mit.

– Tak, to pamiętam. Czy Minerva w Argentynie oznacza sowę?

Nie mogę się powstrzymać i wybucham śmiechem.

– Nie, to po prostu czysta filozofia – wyjaśniam mu, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – To taka metafora Hegla, niemieckiego filozofa, który łączy boginię mądrości z powstającym duchem.

Patrzę na niego. Chłopak wygląda, jakby niewiele rozumiał. Mimo wszystko mówię dalej:

– Sowa Minervy zaczyna swój lot, gdy zapada zmierzch.

Tapuy zaniemówił. Patrzy na mnie swoimi wielkimi oczami. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś miał aż tak wielkie oczy.

– To tylko taka metafora filozoficzna – próbuję wytłumaczyć.

Jednak wygląda na to, że nie obchodzi go za bardzo moje tłumaczenie, bo patrzy w podłogę. Wygląda, jakby stracił kontakt ze światem.

– No dobrze, Tapuy. Już czas, żebyś sobie poszedł – mówię, bo mam ogromną ochotę pobyć sama, a przekładając pusty talerz z jednej ręki do drugiej, dodaję: – Mam kilka rzeczy do zrobienia.

Wtedy chłopak podnosi nagle spojrzenie i wbija je prosto we mnie. Przyjmuję to wyzwanie. Stoimy jakieś pół metra od siebie. Czuję sól na jego skórze i mogę też dostrzec tę słynną plamkę na oku. Ma rację: dzięki odrobinie wyobraźni można było dopatrzeć się Matki Boskiej na jego wyjątkowo zielonej tęczówce.

– Wiesz co, Minervo? Ja też bardzo lubię sowy.

„O nie. Znowu zaczniesz coś opowiadać”, przechodzi mi przez myśl. Czuję się znudzona.

– No dobrze, porozmawiamy innym razem – mówię, nie ukrywając swojego zmęczenia, ale on ignoruje sygnały i rozpoczyna rozmowę na nowo.

– Mój ojciec zawsze mówił, że sowy chronią nas, bo widzą wszystko, co dzieje się w nocy – opiera całe ciało na stole – a ich rolą było odstraszenie duchów.

– To nieprawda, Tapuy – rzucam bezmyślnie. – Moje duchy trzymam zawsze przy sobie. Sowy nie mają tu nic do roboty.

– A moja akurat tak – odgryza się i patrzy na mnie z zawadiackim uśmiechem na twarzy.

Po raz pierwszy interesuje mnie to, co mówi ten chłopak. Co chce mi powiedzieć?

– Masz sowę w domu? – pytam bardziej z ciekawości niż powodowana jakimkolwiek zdziwieniem.

Chłopak wybucha śmiechem. Patrzę na niego, wyczekując odpowiedzi.

– Nie... cóż... tak.

– To tak czy nie? – pytam jeszcze raz.

Dlaczego Tapuy musi wszystko tak bardzo komplikować? Dlaczego przeciąga rozmowę? Chcę już umyć jego talerz. Nie cierpię tracić czasu w taki sposób.

– Mojego ojca wychowywały zakonnice w Guayaquil – zaczyna wreszcie swoją opowieść, siadając ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. – Matka opuściła go tuż po urodzeniu. Kiedy podrósł i był już praktycznie mężczyzną, zakonnice spakowały ubrania, które przez te wszystkie lata dla niego uszyły, i kilka rzeczy po matce, po czym pożegnały się z nim. – Nagle przerywa historię, prostuje nogi i zaczyna bawić się piaskiem. – W skórzanej torbie znajdował się piękny materiał wyszywany jasnyniebieską nitką, a w niej kryształowa figurka sowy. – Chłopak opuszcza spokojnie dłonie, podnosi głowę i patrzy na mnie przenikliwie. – To figurka przedstawiająca sowę. Jest mała, a nawet bardzo mała. W miejscu oczu inkrustowana zielonymi kamieniami.

Wtedy talerz wypada mi z ręki. Ostatnią rzeczą, którą widzę, jest roztrzaskująca się żółta ceramika.

Minęły dwadzieścia cztery godziny, od kiedy znaleziono ciało Gloriany Márquez zamordowanej we własnym domu, ponieważ kilka godzin wcześniej jakiś nieporadny morderca poderznął jej gardło. Francisco Juárez był pewien tylko jednej rzeczy: Minerva del Valle, choć niewinna, przebywała teraz w więzieniu. To była kompletna porażka policji.

Wrócił do domu po bardzo długim dniu. Jak tylko wszedł do środka, włączył wszystkie światła, żeby się rozbudzić. Musiał pomyśleć nad wieloma rzeczami. Nalał sobie whisky Macallan, zdjął z siebie białą koszulę i rzucił zwinięty w kulę kawałek materiału na podłogę w salonie. Wyszedł na mały balkon, skąd mógł oglądać rozświetlone milionem świateł Buenos Aires i poczuć ciepłą bryzę nadciągającą z rzeki.

Po drugim łyku zaczęło mu się kręcić w głowie. Nie zjadł nic przez cały dzień. „Nie powinien pić alkoholu na pusty żołądek. Mam nadzieję, że to jedyna głupota, jaką zrobiłem przez ostatnie kilka godzin”, pomyślał i usiadł w małym salonie, z którego lubił podziwiać gwiazdy. Postąpił trochę bezmyślnie, otwarcie kwestionując zdanie Aguady, ale nie mógł przepuścić okazji, żeby pokazać, kto rządzi na tym terenie. A teraz Minerva płaci wysoką cenę za jego nieuzasadnioną, gwałtowną reakcję. Pomylił się też, myśląc, że prokurator Roger nadal był młodym, pasjonującym się wymiarem sprawiedliwości chłopakiem. Po latach stał się idącym na ugody szarym biurokratą pracującym w sądzie.

Autopsja Gloriany Márquez mówiła sama za siebie i pozwoliła na wytknięcie braku profesjonalizmu Aguady już na samym początku śledztwa. Stężenie pośmiertne postępuje od szczęki do pozostałych części ciała. Juárez wiedział, że klucz do rozwiązania zagadki morderstwa

znajdował się właśnie tutaj. O której godzinie ją zamordowano? Dopił ostatni łyk whisky i wciąż rozmyślał nad sprawą.

„Aguada twierdzi uparcie, że stężenie pośmiertne wystąpiło u dziewczyny, kiedy znalazł ją leżącą na podłodze w domu – powtarzał w pamięci Juárez. – Według jego szacunków dziewczynę zamordowano więc jakieś osiemnaście do dwudziestu czterech godzin przed znalezieniem ciała”. Wyjął z tylnej kieszeni spodni czarny notatnik ze swoimi zapiskami i zaczął go szybko kartkować, nie przestając snuć kolejnych hipotez. „Jeśli Aguada się nie myli, jedyną osobą, która przebywała w domu, kiedy doszło do zbrodni, była Minerva, więc nie ma żadnej innej możliwości”. Śledczy wyrwał jedną kartkę z notatnika, usiadł w fotelu na balkonie i wziął głęboki oddech.

– Aguada, wcale nie masz racji, wcale nie masz racji – szepnął sam do siebie w samotności swojego mieszkania.

Juárez był przekonany o słuszności wskazówki na kartce, na której czarnym tuszem napisał w pośpiechu: „Miękki nadgarstek, zegarek cartier”. I dalej mówił sam do siebie, tym razem na głos:

– Kiedy podniosłem rękę zmarłej, zauważyłem, że miała na lewym nadgarstku złoty zegarek. – Automatycznie złapał się za nadgarstek. –

Podniosłem jej rękę, a ona opadła zupełnie bezwładnie jak worek ziemniaków. Poruszyłem jej ręką, a ona opadła bezwiednie. Nie była twarda ani sztywna.

Juárez zaczął odczytywać znaki, których nie potrafił zrozumieć zeszłej nocy, stojąc tuż przy zwłokach, bo Aguada oświadczył mu, że dziewczynę zamordowano dobie wcześniej.

– Do kurwy nędzy z tobą, Aguada! – krzyknął.

Gdyby w ciele doszło do stężenia pośmiertnego, nie mógłby poruszyć ręką. Wiedział, że tylko ta informacja mogła uratować skórę Minervie del Valle, bo to przez błędny szacunek godziny śmierci Gloriany jej przyjaciółka siedziała teraz za kratkami. Proces gnicia zwłok jest bardzo prosty. Ciało zaczyna powoli sztywnieć, a jego maksymalne zeszywnienie następuje po dwudziestu czterech godzinach od śmierci, aż w końcu, jakby

pod wpływem magicznego zaklęcia, ciało znowu mięknie. Po trzydziestu sześciu godzinach ciało zmarłego jest na powrót rozluźnione.

Juánez wstał z fotela i nalał sobie whisky. Nie zwracał uwagi na wirujący wokół niego świat. Podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i z pamięci wybrał numer telefonu.

– Cristian Ado, słucham – przywitał go głos po drugiej stronie słuchawki.

– Cześć, to ja, Juánez. – Nie był w stanie zapanować nad rozchwianym głosem. Czuł suchość w ustach. Wypił kolejny łyk whisky. – Czy ciało dziewczyny było schowane do lodówki?

– Tak. Wszystko w porządku?

– Tak, tak – potwierdził śledczy, próbując mówić najwyraźniej, jak potrafił. – Muszę zapytać o coś bardzo ważnego. Jesteś sam? Możesz spokojnie rozmawiać?

– Tak, oczywiście – odpowiedział zaskoczony chłopak. Nigdy nie przepuszczał, że mógłby usłyszeć Juáneza, tego wielkiego i znanego Juáneza, tak pijanego, ale właśnie tak się stało. Po drugiej stronie słuchawki znajdował się ktoś już znacznie wstawiony.

– Jakie było ciało dziewczyny, zanim włożyliście je do lodówki? Oczywiście oprócz tego, że martwe. – Parsknął śmiechem w odpowiedzi na własny słaby żart. Nie było żadnych wątpliwości, że był pijany.

Asystent śledczego zamilknął. Nie rozumiał, jakich informacji potrzebował Juánez, ale z jakiegoś powodu mu ufał.

– No... cóż... Nie było zbyt trudno ją przenieść... – zaczął odpowiadać, ale Juánez natychmiast mu przerwał.

– Jej ciało było twarde? Sztywne?

– Nie – odpowiedział chłopak z ulgą – zupełnie nie. W trakcie autopsji jej ciało stawało się coraz bardziej miękkie. Właśnie zaczynało się gnicić, więc włożyłem do lodówki.

Juánez odstawił niewypitą szklanekę whisky na stoliku przy telefonie. Oparł się o ścianę, przytrzymując się jedną ręką. Czuł, że coraz bardziej kręci mu się w głowie, a musiał jeszcze chwilę popracować.

– Cris, na podstawie tego, co widziałeś, ile czasu upłynęło według ciebie od śmierci dziewczyny?

Wydawało się, że ta cisza trwała całą nieskończoność. Chłopak miał już gotową odpowiedź, ale wiedział też, że będzie musiał zaprzeczyć swojemu szefowi, Aguadzie. Po krótkiej wewnętrznej walce odpowiedział:

– Od trzydziestu trzech do trzydziestu sześciu godzin – odpowiedział pewny siebie chłopak.

– Ile?

– Właśnie tyle, Juárez. Glorianę Márquez zamordowano trzydzieści sześć godzin wcześniej lub odrobinę mniej. Niemożliwe, żeby doszło do zabójstwa później.

Śledczy uśmiechnął się.

– Martwi to jedyni ludzie niesplamieni kłamstwem, chłopaku – powiedział z typowym dla siebie cynizmem i odłożył słuchawkę.

Wziął ostatni łyk Macallana tej nocy. Co prawda chwiejnym krokiem, ale udało mu się dotrzeć do łóżka i rzucić się na nie z twarzą zwróconą do sufitu. Zanim zamknął oczy, pomyślał: „Dziękuję, Gloriano. Spoczywaj w spokoju, dziecko”.

Wkradający się przez okno promień słońca obudził go jak niespodziewane uderzenie w policzek. Bolała go głowa. Musiał zapłacić za płynące z Macallana przyjemności. Wstał niczym robot, poszedł do łazienki i odkręcił wodę pod prysznicem. Wszedł pod strumień zimnej wody. Musiał wrócić jak najszybciej do świata żywych.

W mniej niż pół godziny był gotowy do wyjścia. Założył brązowe lniane spodnie, białą koszulę i wygodne, choć dość zużyte buty. Zmielenie ziaren kawy, zagrzanie wody i przyrządzenie dwóch tostów z żytniego chleba z nasionami lnu zajęło mu około dwóch minut. Czekał go bardzo długi dzień.

Zapach świeżo zmielonej kawy rozjaśnił mu obraz całej sytuacji, który wczoraj przyćmiła mu whisky. Informacja od Cristiana stała się kluczem do całego śledztwa. Aguada nieprawidłowo oszacował godzinę zbrodni i według jego błędnych obliczeń jedyną osobą, która wtedy przebywała z zamordowaną w miejscu zbrodni, była Minerva del Valle, jej przyjaciółka. „Mam Cię, Aguada”, pomyślał Juánez z satysfakcją, przeżuując tost. Drugi raz nalał kawę do filiżanki, wypił ją na stojąco, podziwiając z salonu wspaniały widok na Buenos Aires. Nagle przed oczami stanęła mu Minerva zwinięta w kłębek na więziennej pryczy w areszcie przy komisariacie, w którym została zatrzymana. Kiedy opuszczał więzienie, dziewczyna leżała skulona. Jednak dzięki tamtej krótkiej wizycie udało mu się wyciągnąć z niej kilka informacji. Pomyślał też o Glorianie – martwej, zimnej, leżącej w lodówce w kostnicy przy sądzie. Tak młode, tak piękne, tak bardzo sponiewierane.

Dopił drugą filiżankę kawy, odstawił brudne naczynie do zlewu. Śniadanie w samotności własnego mieszkania pomogło mu na wszystkie

wcześniejsze dolegliwości. Odpoczął i był teraz w stanie zebrać nowe informacje. Nie było czasu do stracenia. Miał kilka poszlak, dzięki którym mógł zacząć składać zbrodnię w całość, ale potrzebował nici przewodniej, żeby stworzyć logiczny ciąg zdarzeń.

Złapał za kluczyki samochodowe i komórkę, które leżały porzucone na fotelu. Zebrało mu się całe mnóstwo nieprzeczytanych wiadomości. Cztery od dziennikarzy ponagających go o nowe informacje. Słowo „natychmiast” prawie zawsze znajdowało się w ich wiadomościach. „Jak im się tak bardzo śpieszy, to niech sobie dzwonią na 911”, pomyślał, kiedy z uśmiechem na twarzy czyścił skrzynkę odbiorczą. Napisał do niego sekretarz sędziego nadzorczego. Informował go o zatrzymaniu Minervy. „Trochę za późno, kolego. Zawsze dowiaduję się o wszystkim wcześniej niż inni. Właśnie na tym polega moja praca, kochany”, pomyślał, wymazując też jego wiadomość. Miał jeszcze sześć nieodebranych połączeń i nagraną na sekretarkę wiadomość głosową, która zwróciła jego uwagę: „Tu mówi Inés María Quesada. To ja jestem winna wszystkiemu, co dotyczy mojej wnuczki”. Juáneza zmroziło. Ton głosu babci Minervy był niezwykle chłodny, twardy, szorstki. Musiał z nią porozmawiać, ale jeszcze nie był gotowy odpowiedzieć na jej wiadomość głosową.

Zaczął przesłuchiwać resztę. Jakiś męski głos wprowadził go w stan alarmowy. Był to prawie szept. Musiał włączyć wiadomość jeszcze raz, żeby zrozumieć kilka wypowiedzianych słów. „Panie, Juáneze, to ja, doktor Matías Aguirre. No... cóż... Wydaje mi się, że jestem w posiadaniu informacji dotyczącej zbrodni na tamtej dziewczynie, którą pokazują w telewizji. Sam nie wiem. Znajdzie mnie pan pod numerem, z którego teraz dzwonię. Dziękuję”.

Juáneze zapisał jego numer. Zwłaszcza ta wiadomość przykuła jego uwagę. Niejaki Aguirre mówił o zbrodni, o której dowiedział się z telewizji i nawet nie znał imienia martwej dziewczyny, ale coś w jego sposobie mówienia, zaskoczyło śledczego. Strach. Zauważył, że mężczyzna czegoś się obawiał.

Zaczął szukać swojego czarnego zeszytu z notatkami i na ostatniej stronie napisał: „Szalona babcia i lekarz strach”. Być może później do nich zadzwoni. Miał ważniejsze rzeczy do zrobienia. Nie mógł tracić czasu na rozmowy przez telefon ani spotkanie się ze wszystkimi, którzy nawiną mu się pod nogi.

Dotarcie do bliźniaka na ulicy Zebruno, „domu zbrodni”, jak nazywały go dzisiaj rano wszystkie dzienniki, zajęło mu jakieś trzydzieści minut. W drzwiach stał policjant z lokalnego komisariatu, jedyna ochrona, którą wyznaczył sędzia nadzorczy. Zwykła procedura.

– Cześć, Juánez – pozdrowił go funkcjonariusz. Po czole spływały mu krople potu. Dzień zapowiadał się na bardzo upalny.

– Cześć, muszę wejść. Muszę przyjrzeć się kilku rzeczom. – Juánez nie prosił go o pozwolenie, bo nigdy tego nie robił.

Policjant odsunął się natychmiast, przytakując jednocześnie głową. Drzwi nie były zamknięte na klucz, a jedyną przeszkodą była plastikowa taśma. Juánez przeciął ją kluczem od samochodu i wszedł do willi. Było tam duszno, śmierdziało stęchlizną. W powietrzu unosił się zapach krwi. Promienie słoneczne wkradały się przez okno do salonu i odkrywały przed Juánezem kurz leżący na stoliku, wazonie z chińskiej porcelany i ramkach zdjęć. Wszystko wyglądało na brudne i opuszczone. Skierował się do kuchni odgradzonej od salonu betonowym blatem, na którym wciąż były widoczne zacieki po spływającej z piętra krwi. Była zaschnięta, nie czerwona, ale brązowa.

Juánez wyjął z kieszeni spodni parę lateksowych rękawiczek. Zakładał je niezwykle powoli, myśląc w tym samym czasie nad nową hipotezą, według której rany na szyi Gloriany powstały w wyniku przecięcia skóry szkłem. I natychmiast przypomniało mu się pytanie, które zadała mu Minerva del Valle na koniec ich krótkiej rozmowy w areszcie: „Czy znaleziono przedmiot, za pomocą którego dokonano zbrodni?”. Nie powiedziała „nóż”, użyła słowa „przedmiot”. Było to wyjątkowo zaskakujące, ale nie pozbawione sensu pytanie.

Otworzył szafkę pod zlewem. Odór zgniłego powietrza sprawił, że musiał zrobić krok w tył. Kosz na śmieci, którego nikt nie opróżnił, nadal stał pod zlewem. Musiał go przeszukać. Włożył rękę, szukając czegoś o twardych krawędziach: częściowo rozbitej butelki, jakiejś puszki. Nie znalazł niczego interesującego. Opakowanie po *yerba mate*, papierki po ciasteczkach *alfajores*, skorupki po jajkach, pusty karton po odtłuszczonej mleku i resztki jedzenia. Zawiązał worek, zamknął kubel i umył rękawiczki płynem, który stał obok kranu.

W szufladach w kuchni zostały tylko łyżki i widelce. Wszystkie noże zostały zarekwirowane przez techników kryminalnych. Jednak wyniki niczego nie wykazały. Żaden z nich nie okazał się narzędziem zbrodni.

Przeszedł powoli przez salon. Nic nie zwróciło jego uwagi. Stał przed krętymi metalowymi schodami, wziął głęboki wdech i zaczął się po nich wspinać. Stopnie trzeszczały pod każdym krokiem. Juánez nie mógł znieść tego irytującego odgłosu. Dotarł do półpiętra. Było obszerne, chociaż wydawało mu się, że sufit znajdował się wyjątkowo nisko. Dziewczyny przekształciły półpiętro w sypialnię. Dwa łóżka, stolik nocny pośrodku i wbudowana szafa stanowiły jedyne wyposażenie i dekorację. Na łóżku, na którym morderca pozbawił życia Márquez, znajdowały się tylko plamy krwi na wysokości głowy. Technicy zabrali również pościel. Wstępne badania DNA wykazały, że znajdowała się tam tylko krew ofiary. Ta informacja nie zaskoczyła Juáneza, bo przecież oczywistą kwestią było to, że nie zraniono nikogo innego. Kiedy ją zaatakowano, dziewczyna spała. Nawet nie dano jej prawa do walki o własne życie. Biedna. Wciąż jednak trwały badania nad próbką genetyczną jakiegoś mężczyzny. Na jednym prześcieradle znaleziono nasienie. Mógł to być morderca, ale mogły to być pozostałości po seksie z nocy przed zbrodnią.

Łóżko Minervy było niepościelone. Zostawiła je tak, kiedy wyszła do pracy i ostatni raz widziała swoją przyjaciółkę Glorianę. „Kiedy wychodziłam z domu, spała w łóżku obok”. Właśnie tak zeznała dziewczyna.

Juánez podszedł na palcach do stolika. Nie chciał naruszyć miejsca zbrodni. Otworzył szufladę. Nie musiał wcale szarpać, żeby ją wyjąć: była wypełniona po brzegi. Nic nie było uporządkowane. Usiadł na łóżku Gloriany i zaczął wyjmować schowane w szufladzie przedmioty. Dwa opakowania prezerwatyw, miętową gumę do żucia, dwa naszyjniki z kolorowych kamyczków, złotą bransoletkę, poradnik dla kobiet, wycinki przepisów kulinarnych z gazet, potwierdzenie płatności kartą kredytową, dwa zielone lakiery do paznokci, szminkę bez zamknięcia, fioletową szkatułkę obitą aksamitem, pognieciony obrazek Dziewicy z Luján, kilka gumek do włosów i plastikowy brokatowy portfelik. Juánez ułożył wszystkie rzeczy na łóżku i zaczął się im przyglądać. Tylko dwa przedmioty zwróciły jego uwagę. Otworzył aksamitną szkatułkę. Była pusta. Myślał, że znajdzie tam jakiś pierścionek, coś wartościowego, ale nie było tam niczego takiego. Nie wiedząc do końca dlaczego, zrobił zdjęcie wnętrza, zamknął szkatułkę i włożył ją z powrotem do szuflady. Chwilę później jego uwagę przykuł portfel. Też pusty. Minerva powiedziała mu, że w tej szufladzie przechowywały dwa tysiące dolarów. Nie było ich tam. Ani pół centa.

Przez kilka minut siedział na łóżku, na tym samym łóżku, na którym śmierć zabrała ze sobą Glorianę Márquez. Upał był nie do wytrzymania. Koszula przykleiła się Juánezowi do ciała. Wytarł grzbietem dłoni pot z czoła i odsunął łóżko blokujące drzwi wychodzące na niewielki balkon.

Przed nocą zabójstwa obficie napadało. Wówczas Juánez oświetlił latarką cementową podłogę na balkonie, ale nie zobaczył żadnych śladów. Jednak teraz, kiedy niemiłosierne słońce wysuszyło podłogę, odkrywając przed jego oczami warstwę kurzu, mógł wyraźnie dostrzec ślady przesuwania jakiegoś przedmiotu po ziemi. Rysunek dwóch równolegle biegnących linii przypominał tatuaż. Juánez usłyszał dzwoneczek dzwoniący w jego wyobraźni. Zamknął oczy, próbując odtworzyć, co mogło wydarzyć się w tej małej przestrzeni. Otworzył gwałtownie drzwi i zaczął z wytężeniem obserwować nowe ślady.

Zbiegł po skrzypiących schodach. Dotarł na parter i rzucił wzrokiem na otoczenie. Kafelki na środku salonu były tak samo brudne jak podłoga na balkonie. „Dobrze, a nawet bardzo dobrze. Podłoga przyda mi się w śledztwie. Jeszcze wszystko się może zmienić”, pomyślał, klękając. Gdyby ktokolwiek wszedł teraz do domu, na pewno by się mocno zdziwił, scena była bowiem dość intrygująca: oto w tym brudnym salonie najlepszy śledczy klęczał na ziemi, jakby modlił się w jakiejś świątyni. Daleki od składania komukolwiek hołdów Juánez sam był zaskoczony porażającą prostotą śladów, które miał przed sobą. Wreszcie był w stanie rzucić światło na tę ponurą tajemnicę morderstwa.

Wstał powoli, ale zaskrzypiało mu w kolanach. „Muszę wrócić na siłownię”, pomyślał, patrząc uważnie na ślady, które odcisnął za podłogę. Były identyczne z tymi z balkonu. Ktoś klęczał za oknem, szpiegując Glorianę i Minervę.

Wbiegł na górę po schodach. Po raz kolejny zazgrzytał zębami, kiedy usłyszał okropne metalowe skrzypienie. Był zlany potem, a upał był nie do zniesienia. Krew pulsowała mu w skroniach, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Miał głowę zajętą innymi sprawami. Jego teoria o śmierci Gloriany Márquez zaczynała nabierać sensu właśnie tutaj, na miejscu zbrodni.

Jeszcze raz zaczął zastanawiać się nad tym małym balkonem: za szybą wciąż było widać ślady kogoś, kto w tajemnicy szpiegował dziewczyny. „Ale jak tam się dostał?”, pytał sam siebie Juánez, wychylając się na zewnątrz. Nie lubił mieć wątpliwości. Z nerwów czuł, że aż pali go w piersi.

Barierka na balkonie wyglądała jakby skonstruował ją ktoś, kto nie przepadał ani za gustownym wykończeniem, ani nie miał na uwadze względów bezpieczeństwa. Był to niespełna metrowy, zaszpachlowany murek. Juánez podszedł bliżej. Przed nim otwierał się widok na ulicę Zebruno. Po lewej stronie wznosiło się ogrodzenie sąsiedniego budynku. A po prawej zauważył szczegół, który zwrócił jego uwagę: dom dziewczyn był połączony z dwupiętrowym budynkiem. Z małego balkonu ich pokoju

można było przejść na taras domu obok, podnosząc tylko nogę nad barierką.

Wykonanie tej niby prostej czynności zajęło Juánezowi kilka sekund i przyprawiło go o ból w kolanie. Taras był szeroki i ładnie wykończony. Drewniane leżaki z niebieskimi poduszeczkami, niski metalowy stolik ze szklanym blatem i kilka brązowych donic z kwiatami sprawiały, że całość prezentowała się naprawdę przytulnie. Podeszedł kilka kroków do przodu, spoglądając na idealnie czystą podłogę. Ktoś musiał ją wcześniej umyć i wypolerować, bo kremowe kafelki aż lśniły czystością. Przeniósł spojrzenie na każdą donicę z osobna. Jaśminy, azalie, niecierpki w tym domu kwitły bardzo obficie. „Tutaj nic nie znajdę”, pomyślał Juánez, podnosząc nogę, żeby przejść na drugą stronę balkonu należącą do mieszkania dziewczyn. Ale nagle dostrzegł coś, co zwróciło jego uwagę: kawałek czerwonego materiału między balkonem a tarasem. Opuścił nogę i wyciągnął rękę, żeby móc go dosięgnąć. Ledwo udało mu się musnąć tkaninę opuszkami palców, wyciągnął więc rękę jeszcze bardziej.

– Mam cię – szepnął Juánez, wypuszczając resztki powietrza z płuc, i zacisnął materiał w pięści.

Otworzył jednocześnie dłoń i usta. Był naprawdę zdziwiony, bo nie chodziło o żaden materiał. To mogło być coś znacznie więcej. Wolną ręką wyciągnął telefon z kieszeni i odruchowo wybrał numer.

– Ordóñez, znajdź wszystkie ślady z mieszkania, które pokrywają się z materiałem genetycznym zamordowanej dziewczyny – rozkazał.

– W porządku, szefie – odpowiedział szybko śledczy. – Znalazłeś coś nowego?

Juánez nic nie odpowiedział. Wolał zachować ostrożność.

– Nie, nic. Zrób tylko to, o co cię proszę, i zadzwoń do mnie.

To tylko majtki. Czerwone majtki. Ale może ta cienka koronka skrywała najokrutniejszą tajemnicę.

Juánez właśnie opuszczał bliźniak, kiedy przypomniał sobie, że w czarnym zeszyte z notatkami zapisał kilka rzeczy, nad którymi jeszcze się porządnie nie zastanowił. Upał uniemożliwiał mu logiczne myślenie. Wsiadł do samochodu i nastawił największą intensywność klimatyzacji. Usiadł na siedzeniu kierowcy i poczekał, aż arktyczne powietrze schłodzi jego ciało i umysł. Odpalił samochód, rozmyślając nad najkrótszą drogą prowadzącą do dzielnicy Belgrano.

Dotarł do willi babci Minervy del Valle w niecałe pół godziny. Budynek wyglądał naprawdę imponująco. Był to pałacyk w stylu francuskim. Sprawiał wrażenie, jakby przeszłość nie odcisnęła na nim żadnego piętna. Inés María Quesada była znacznie szybsza od niego. Nie zdążył nawet wyjść z samochodu, a ona, ubrana cała na czarno, wyjątkowo w wersji *sauté*, stała już przy bramie. Widać było, że coś ją musiało wcześniej zdenerwować. Juánez podszedł bez słowa i wyciągnął przed siebie rękę, żeby się z nią przywitać. Inés zlekceważyła ten gest i spojrzała na niego z góry na dół z wyrzutem.

– Czy mogę wejść? – zapytał śledczy, udając, że poczuł się zawstydzony, chociaż wcale tak nie było.

Inés nawet mu nie odpowiedziała i w okrutnie ponizający sposób odwróciła się do niego plecami. Juánez szedł za kobietą. Po przejściu okazałego i jasnego korytarza znaleźli się w salonie.

– Proszę łaskawie usiąść – zwróciła się do niego jakby w przebłysku uprzejmości, a potem szorstko dodała: – Nie mam zamiaru pana niczym częstować. W tym wieku mogę już sobie oszczędzić tych wszystkich zbędnych uprzejmości, bo i tak nic nie zmieni faktu, że jestem damą.

– Nie ulega to żadnej wątpliwości – odpowiedział Juánez, siadając na kanapie.

Inés zasiadła naprzeciwko niego w fotelu wyłożonym zielonym aksamitem, który idealnie podkreślał kolor jej oczu. „Mogłaby być królową. Brakuje jej tylko korony”, pomyślał Juánez.

– Pani Quesado, otrzymałem pani wiadomość, dlatego tutaj jestem. Słucham panią.

Kobieta spojrzała na niego przeszywającym na wskroś spojrzeniem i założyła nogę na nogę w powalająco elegancki sposób.

– To ja chcę wysłuchać, co ma pan mi do powiedzenia – powiedziała, wstając i ledwo wymawiając te słowa. – Czy pan policjant rozumie, co mam na myśli?

Inés była skutecznym strategiem i umiała wykorzystać przebieg rozmowy, żeby osiągnąć zamierzone cele. Nie zwróciła się do niego po nazwisku ani nie uwzględniła rangi jego stanowiska. Nazwała go *policjantem* z taką pogardą, jaka mogłaby zawstydzić każdą osobę wykonującą ten zawód. Ale Francisco Juánez nie był jakimkolwiek policjantem.

– Pani wnuczka Minerva jest podejrzana o morderstwo swojej przyjaciółki Gloriany. Pani ukochana Minerva, babciu, jest po prostu najzwyczajniej w świecie podejrzana o morderstwo. – Juánez zauważył, że kobieta poruszyła się niespokojnie w fotelu. – Prokurator i sędzia są przekonani, że pani wnuczka jest morderczynią. Czy jej babcia to rozumie? – zapytał stanowczo i dość okrutnie Juánez, chociaż sam uważał, że dziewczyna była niewinna. Duma kobiety została urażona.

Inés puściła mimo uszu ironiczny ton, jakim Juánez wymawiał słowo „babcia”, i natychmiast odplaciła mu pięknym za nadobne.

– Wcale nie obchodzi mnie prokurator. Znam całą rodzinę Roger od zarania dziejów. Ile będzie mnie kosztował sędzia?

Zaskoczyły go jej słowa. Usta same mu się otworzyły ze zdziwienia. Nawet najbardziej skorumpowani prawnicy ani nawet najokrutniejsi

przestępcy nigdy nie byli wobec niego tak wyrachowani i bezczelni.

– Inés, pani propozycja jest wręcz absurdalna.

– Nedorzecznością jest to, że moja wnuczka znajduje się teraz w areszcie. – Spojrzała przez chwilę na podłogę i kontynuowała swoją wypowiedź. – Kiedy byłam bardzo młodziutka, ojciec zapłacił, żeby wypuszczono mnie z aresztu. I potem całe życie zapewniał mnie, że dzięki temu mogłam dalej być szczęśliwą dziewczyną. To była bolesna lekcja, ale nauczyłam się, że każdy człowiek ma swoją cenę. A teraz tak się składa, że to ja mam bardzo, ale to bardzo dużo pieniędzy, więc niech pan lepiej powie, ile kosztuje ten sędzia.

Juánez umierał z ciekawości. Chciał poznać jej historię, ale nie miał czasu na przejmowanie się czyjąś przeszłością. Miał inne ważne rzeczy na głowie.

– No dobrze, Inés, myślę, że wcale nie ma potrzeby podejmować takich drastycznych kroków. Możemy udowodnić, że Minerva jest niewinna...

– Bardzo podoba mi się to „możemy”, panie policjancie – przerwała mu z uśmiechem na ustach i potem zaśmiała się w głos. – Jest pan bardzo inteligentnym mężczyzną. Wie pan doskonale, z kim trzeba się trzymać.

– *Touché* – powiedział Juánez, również odpowiadając jej uśmiechem. – Ale jeśli gramy w tej samej drużynie, muszę poznać prawdę – powiedział stanowczo i po chwili przestał się uśmiechać. – Czy jest jeszcze coś o czym Minerva mi nie powiedziała?

W zupełnej ciszy Inés naląła schłodzonej wody do wysokich kieliszków stojących na niskim stoliku i teatralnym gestem zaprosiła Juáneza. Śledczy przyjął jej zaproszenie.

– Teraz będziemy grać w jednej drużynie – powiedziała kokieteryjnie. – Nie mogę pozwolić, żeby pan policjant mi tu się odwodnił.

– Inés, czy Minerva powiedziała ci o czymś, co mogła przede mną zataić?

– Márquez zasłużyła na śmierć.

Juánez prawie zakrztusił się wodą.

– Tak, tak, panie policjancie. Proszę na mnie tak nie patrzeć. Ta Márquez to była prawdziwa diablica. – Inés nie wymówiła jej imienia, a raczej je wypluła. – Była wulgarna, zarozumiała i zdegenerowana.

Takiego słowa właśnie użyła: „zdegenerowana”.

– Zdegenerowana?

– Tak. Bogaczka czerpiąca przyjemność z poniżania mojej wnuczki. Wiele razy chciałam coś zrobić, ale Minerva nie pozwoliła mi się wtrącać – wyznała i zamilkła na chwilę. – Moja wnuczka uwielbiała Márquez.

– To, co mi pani mówi, komplikuje sytuację Minervy – powiedział, wbijając w nią wzrok – i oczywiście też pani położenie.

Inés María Quesada wyprostowała się i znowu przyjęła królewską pozę.

– Drogi panie policjancie, moja wnuczka nie zamordowała Gloriany – powiedziała bardziej dosadnym tonem. – Mogę panu przyrzec na grób mojej siostry, że bardzo mi żal, że ktoś zabił Márquez, bo sama bym to zrobiła własnymi rękami. Morderca jednak był ode mnie szybszy.

Juánez postanowił nie komentować jej wyznania.

Opuścił willę w Belgrano w ciszy i nabrał pewności tylko co do jednej rzeczy: Inés María Quesada i on nie grali w tej samej drużynie.

Był głodny. Po spotkaniu z Quesadą Juárez poszedł do biura i wykąpał się w łazience, którą wybudowano, kiedy go awansowano. Założył te same spodnie i nową koszulę. Otworzył jedną z szufladek w biurku i wyjął kilka ulotek wegetariańskich restauracji z okolicy. Uważnie prześledził menu, kiedy nagle telefon na jego biurku zaczął wibrować. Nieodebrane połączenie. Na pewno ktoś dzwonił, kiedy akurat się kąpał.

Choć nie nagrano żadnej wiadomości, Juárez wiedział od razu, do kogo należał wyświetlający się na ekranie numer. Doktor Aguirre po raz kolejny próbował się z nim skontaktować. Juárez podjął dwie decyzje: oddzwonić do niego i zamówić tortillę. Zaczął od pierwszej sprawy.

– Doktor Aguirre? – zapytał, zastanawiając się, czy nie dodać jeszcze serowych tacos do tortilli.

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Francisco Juárez, szef Wydziału Kryminalnego – powiedział odruchowo i dodał do zamówienia sałatkę owocową. – Oddzwoniam do pana. Dzwonił pan do mnie już dwa razy.

Po drugiej stronie słuchawki ledwo można było usłyszeć szepcącego lekarza.

– Muszę się z panem zobaczyć... To pilne. – Aguirre drżał. Jakby żałował, że rozmawia. – Czy moglibyśmy to zrobić... teraz?

Nie mógł mu odmówić i zdecydował, że załatwi dwie sprawy za jednym zamachem.

– Dobrze. Czy pasuje panu, żebyśmy spotkali się za pół godziny w restauracji Verde y Sano? – Juárez nie miał zamiaru rezygnować ze swojej tortilli.

– Bar wegetariański? Tak, wiem, o które miejsce chodzi – zamilknął na chwilę i dodał trochę pewniejszym tonem: –Widzimy się tam za pół godziny. Rozpoznam pana. Kilka razy widziałem pana w telewizji.

– Dobrze, widzimy się w restauracji.

Juánez zakończył połączenie z triumfalnym uśmiechem na ustach. Poczł się jednak trochę nieswojo, kiedy zdał sobie sprawę, że jest trochę sławny.

Dojechał do swojego ulubionego baru z wegańskim jedzeniem. Usiadł przy tym samym co zawsze, oddalonym od okien stole na samym końcu lokalu. Tego właśnie nauczył się od innych policjantów. „Nigdy nie wybieraj miejsc położonych blisko drzwi lub okien. Jeśli strzelą do ciebie z zewnątrz, będzie po tobie”, doradzali mu niejednokrotnie, a Juánez stosował się do tych lekcji. Wierzył tym, którzy uniknęli śmierci. Nauczono go też, że na spotkania trzeba przychodzić znacznie wcześniej i tak właśnie zrobił – koniec końców, nie znał wcale doktora Aguirre i nie miał ochoty, żeby ktokolwiek go niemiło zaskoczył.

Popijał sok z grejpfruta z miętą, spoglądając uważnie na każdego wchodzącego do lokalu mężczyznę. Żaden z nich nie zwrócił jego uwagi. Znudzony spojrzął na zegarek. Aguirre spóźniał się już jakieś dziesięć minut. Juánez zamówił swoją tortillę.

Dopiero kiedy już jadł, wreszcie dostrzegł mężczyznę, na którego czekał. Doktor Matías Aguirre stał po drugiej stronie szyby. Nie znał go osobiście, ale nie miał najmniejszych wątpliwości: czekał właśnie na tego wysokiego, jasnowłosego mężczyznę. Trzymał ręce w kieszeni spodni i wyglądał jakby był czymś zmartwiony. Chyba wahał się, czy wejść do środka. Juánez uważnie mu się przyglądał. Nie miał zamiaru po niego wychodzić, ale też nie chciał, żeby uciekł mu sprzed nosa. Aguirre nagle podjął jednak decyzję i wszedł do restauracji. Przebiegł wzrokiem po stołach, a Juánez podniósł rękę. Aguirre wykrzywił usta, jakby ktoś zmusił go do serdecznego uśmiechu, i podszedł do stołu, który wybrał wcześniej śledczy.

– Aguirre? – zapytał Juánez, przewidując odpowiedź, a mężczyzna odpowiedział mu skinieniem głowy. – Proszę usiąść, panie doktorze. Czekałem na pana.

Aguirre usiadł. Widać było, że jest zdenerwowany.

– Doktorze Aguirre – zwrócił się do niego Juárez – jeśli to panu nie przeszkadza, skończę posiłek, słuchając, co ma mi pan do powiedzenia.

– Tak, tak, oczywiście... Ach... – Cały zbladł i zawiądnęło nim przejmujące poczucie beznadziei, kiedy stanął z policjantem twarzą w twarz, ale było już za późno i doskonale o tym wiedział. – Cóż, Juárez, myślę, że mam informację, która może ci się bardzo przydać.

Juárez nadal był zajęty swoim posiłkiem.

– Aguirre, bardzo pana proszę – powiedział, rzucając okiem na zegarek – ja naprawdę nie mam dużo czasu. Słucham pana.

Lekarz wziął głęboki oddech i zaczął swój monolog.

– Jestem psychiatrą. Od wielu lat pracuję w szpitalu psychiatrycznym Los Tilos.

– W wariatkowie? – przerwał mu Juárez.

– No właśnie nie do końca – odpowiedział mu wyraźnie dotknięty Aguirre. – To klinika neuropsychiatryczna.

– Przepraszam, proszę mówić dalej...

– Mam w środku jednego bardzo młodego pacjenta, który przechodzi teraz atak nerwicy. Bardzo wczesnym rankiem przywiózł go do nas jego ojciec. Chłopak był nie do opanowania, musieliśmy podać mu większe niż zazwyczaj dawki leków...

– Aha, czyli był na oddziale więcej niż jeden raz?

– Tak, wiele razy. Przychodzi i odchodzi – powiedział Aguirre, a po krótkiej pauzie dodał: – Ale tym razem jestem przerażony zachowaniem chłopaka. Nie chcę zamęczać pana diagnozami psychiatrycznymi, ale myślę, że jego urojenia mają związek z morderstwem dziewczyny na ulicy Zebruno.

Juárez odłożył widelec na talerz. Po raz pierwszy zainteresował się tym, co mówił do niego mężczyzna.

– Dlaczego pan tak myśli?

– No cóż... Mauro nie przestaje wykrzykiwać słów ze sceny zbrodni, którą ciągle odtwarza.

– Mauro?

– Tak, chłopak nazywa się Mauro Solari.

Teraz w głowie Juáneza zapaliło się więcej niż jedno światelko. „Solari, Solari. Dlaczego do jasnej cholery to nazwisko brzmi tak znajomo?”.

– Proszę mówić dalej – zachęcił go Juánez. – Na czym polega ta scena zbrodni?

– Mój pacjent odtwarza scenę, w której morduje swoją ofiarę – powiedział lekarz i zawahał się, bo poczuł, że po raz pierwszy zdradził Mauro. – Naśladuje głos kobiety krzyczącej: „nie zabijaj mnie, nie zabijaj mnie”. Juánez, to jest naprawdę przerażające.

Kiedy śledczy wysłuchiwał jego historii, jednocześnie miał świadomość, że jego wewnętrzny głos o czymś mu przypominał. Solari, Solari. To nazwisko zaczęło go dręczyć. Lekarz chciał pomóc i wyglądał na zmartwionego, ale napady nerwicowe jakiegoś biednego wariata nieszczególnie interesowały teraz Juáneza. Postanowił ostudzić zapał doktorka, bo przecież musiał zjeść coś na deser.

– I dlatego przyjęliście chłopaka na oddział tak szybko?

– Mauro cierpi na psychozę. Dzięki lekom zdarzają mu się czasem lepsze dni, ale z czasem stał się coraz bardziej agresywny. – Przygnębiony lekarz spoglądał na stół, obracając nerwowo swoją obrączkę. – Jakiś czas temu zaobserwowaliśmy u niego niepokojące zachowania seksualne. Złożono na niego skargi. Raz rozebrał się w drzwiach żeńskiej szkoły, a kiedy indziej masturbował się, podglądając różne kobiety przez okno. To typowe zachowania ekshibicjonistyczne i voyeurystyczne. To patologie seksualne. Chyba pan rozumie.

Juánezewi odebrało nagle apetyt na sałatkę owocową, ale jednocześnie zaczęła go interesować historia chłopaka. W jego wyobraźni zapaliło się jeszcze więcej lampek. Wolał nie wyrażać swojego zaangażowania, żeby nie spłoszyć lekarza.

– A gdzie znajduje się teraz chłopak?

– Na oddziale Los Tilos. Otrzymał sporą dawkę leków.

– Doktorze Aguirre, chcę postawić sprawę jasno – powiedział Juánez tak, aby wyrzucić na nim presję. – Nie mam czasu do stracenia. Dlaczego uważa pan, że historia pana pacjenta ma coś wspólnego z zamordowaną?

Kiedy mężczyzna miał już odpowiedzieć, nagle zadzwonił telefon Juáneza. Śledczy gestem otwartej dłoni poprosił go, żeby poczekał, i odebrał telefon. Dzwonił Ordóñez.

– Ordóñez, mam teraz spotkanie. Mów szybko.

Matías Aguirre był psychiatrą, ale fakt, że sam był podenerwowany, siedząc twarzą w twarz ze śledczym, nie przeszkodził mu skorzystać ze swojej lekarskiej wiedzy i rozszyfrować Francisco Juáneza, którego widywał tyle razy w telewizji. Podczas ich rozmowy wyczuł u niego dużą samokontrolę, ale teraz, gdy rozmawiał przez telefon, mógł dostrzec, jak jego mięśnie twarzy napinają się, oczy zaczynają błyszczeć, a prawa ręka naciska mocno komórkę. „Musiał słuchać teraz o czymś ważnym, o czymś, co właśnie mobilizuje go do działania”, pomyślał psychiatra. Porzucenie roli zeznającego i wejście na nowo, chociażby na chwilę, w rolę lekarza ukoło jego nerwy.

Juánez zakończył rozmowę, powoli odłożył telefon na stół i wbił w niego spojrzenie.

– Jest mi pan winien odpowiedź, doktorze.

– Tak, oczywiście. Zadzwoniłem do pana, ponieważ mój pacjent, który godzinami odtwarzał scenę zbrodni, mieszka przy tej samej przecznicy co zamordowana dziewczyna.

– Nie przy tej samej przecznicy, doktorze – przerwał mu znowu Juánez i wciągnął powietrze. – Pański pacjent, Mauro Solari, mieszka w drugiej części bliźniaka, w którym dokonano zbrodni – uściślił głosem przepelnionym wrogością. – Pana skurwysyński pacjent, doktorze, wszedł przez balkon i zamordował niewinną dziewczynę, zasztyletował ją, a ona nie zdążyła się nawet obronić...

– Juárez, na miłość boską. Mauro Solari to umyślowo chory chłopak. On nie wie, co robi – powiedział Aguirre prawie błagalnym tonem, bo nagle poczuł, jak robi mu się niedobrze i że koniecznie musi stanąć w obronie swojego pacjenta. Spojrzenie śledczego odebrało mu mowę.

– Ten skurwysyn Solari może jest niepoczytalny, ale z kolei pan już nie. – Lekarz zbladł, a Juárez zbliżył się do niego na tyle, na ile pozwalał stół. – Pan podpisywał wypis ze szpitala dla tego zboczeńca, bo poczuł pan wobec niego miłosierdzie, chociaż, jak sam pan oświadczył, ostatnio zrobił się jeszcze bardziej agresywny...

– Nie pozwolę sobie na takie słowa, Juárez – powiedział lekarz, podnosząc ton głosu. – Nigdy nie przypuszczałem, że Mauro mógłby zachować się w tak ekstremalny sposób. Zresztą jak tylko wyczułem, że mógł mieć coś wspólnego z tą zbrodnią, zadzwoniłem do pana...

– Kłamie pan, doktorze Aguirre. Pan zadzwonił do mnie z poczucia winy. To pan postawił tę bestię naprzeciwko niewinnej dziewczyny – wypowiadając te słowa, Juárez wyciągnął sto pesos z portfela i ze wzrokiem wbitym w lekarza rzucił pieniądze na stół. – Pan też jest skurwysynem, a do tego tchórzem.

Śledczy wstał i z trzaśnięciem zamknął za sobą drzwi do restauracji. Doktor Matías Aguirre nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Przyszły mu na myśl wszystkie zasady etyczne jego zawodu. Oczy napłynęły mu łzami. „Jestem tchórzem”, pomyślał, zanim zaczął płakać – było to jedyne, co przyszło mu do głowy.

Juánez prowadził samochód z automatyczną skrzynią biegów. Włożył CD z muzyką klasyczną i wybrał dłuższą trasę, żeby móc pomyśleć. Ordóñez zadzwonił do niego, nie wiedząc, że właśnie dostarczył coś, czego śledczy akurat w tej chwili potrzebował. Oświadczył, że dom z tarasem należy do rodziny Solari, nie przypuszczając nawet, jak istotne było to zdanie. Solari. Juánez zachował to nazwisko gdzieś w otchłani pamięci. Chciało mu się już przypomnieć, kiedy wymienił je doktor Matías Aguirre. Kiedy nad ranem znaleziono martwą Glorianę Márquez, na ulicy Zebruno panował chaos: tłum sąsiadów, policjantów i radiowozów, ale nie było to jedyne niepokojące wydarzenie tamtego dnia. Na kanale policyjnym w samochodowym radiu informowano, że pod numerem 911 ktoś prosił o pomoc. Jakaś rodzina błagała o interwencję lekarską dla mężczyzny, który według nich stracił zupełnie rozum. Kiedy przyjechała karetka, wysiadł z niej lekarz. Podszedł do Juáneza i zapytał, czy cały ten rząd aut policyjnych przyjechał w sprawie rodziny Solari. Teraz, kiedy jechał autostradą, śledczy przypomniawsobie o tej rozmowie.

– Szefie, mam czerwony alarm od rodziny Solari na ulicy Zebruno 1835. Czy to gdzieś tutaj? – zapytał go kierowca karetki.

– Nie, to ulica Zebruno 1833. Zajmujemy się zabójstwem. Twój przypadek to dom obok.

Ta zagubiona w pamięci część układanki była kluczowa. Mauro Solariego przyjęto na oddział tego samego ranka, kiedy odnaleziono martwą Glorianę, co by oznaczało, że w chwili dokonania zbrodni przebywał na wolności.

Juánez prowadził jeszcze przez dłuższą chwilę. Rytm silnika jego samochodu, cytrynowy zapach środka dezynfekującego, chłód klimatyzacji

i samotność, ale przede wszystkim samotność, pomogły mu połączyć w całość poszczególne fragmenty tej historii. Historii zbrodni. Kolejnej historii zbrodni.

„Mam już za dużo przypadków w swoim archiwum”, powiedział mu kiedyś jeden stary, doświadczony policjant; wtedy jego własna młodość i brak obycia sprawiły, że Juárez poczuł, że nie może mu zaprzeczyć. Teraz, kiedy sam czuł to samo, rozumiał starego policjanta, który odłożył odznakę do szuflady, nawet jeśli dla wielu zrobił to o wiele za wcześnie.

Zaparkował samochód na rogu ulicy, przy której stał dom Solarich. Wyciągnął czarny notatnik. Chciał mieć go pod ręką, żeby móc przeanalizować wszystkie dane.

Telefon, który musiał teraz wykonać, był decydujący dla całej sprawy. Nie mógł pomylić się nawet w jednym słowie. Wziął głęboki oddech, żeby dodać sobie animuszu. I prawie bez zastanowienia wybrał numer na komórkę. Prokurator Marcos Roger odebrał i przywitał się z nim zachrypniętym, zaspanym głosem, jakby telefon śledczego wyrwał go wprost z bardzo głębokiego snu.

– Roger, to ja, Juárez. Potrzebuję nakazu przeszukania. Chodzi o przypadek Márquez.

Po drugiej stronie słuchawki usłyszał dość zdziwiony głos mężczyzny.

– O co chodzi? – zapytał prokurator. – Chyba oszalałeś.

– Nie, zwariował ten, który zasztyletował Márquez. A ja mogę pomóc ci w złapaniu mordercy, żebyś potem był wszędzie w wiadomościach – zapewnił go śledczy, a potem dodał ironicznym tonem: – Zostaniesz prawdziwą gwiazdą, Marquitos.

– Już mam za kratkami morderczynię Márquez, a jeszcze jakoś nikt nie biega ze mną o autografy, Juárez.

– Jesteś kiepskim aktorem, Roger. – Cała sytuacja zaczynała powoli działać Juárezowi na nerwy. – Minerva nie ma z tym nic wspólnego. Musisz załatwić mi u sędziego pozwolenie na przeszukanie domu sąsiada.

Coś w jego głosie zwróciło uwagę prokuratora. Juánez ewidentnie nie dzwonił bez wyraźnej przyczyny.

– Co tam niby masz? – zapytał zniechęcony. – Dawaj...

– Mam trochę inną wersję tej historii. Wersję, w której sąsiad wchodzi do mieszkania dziewczyn przez okno i morduje jedną z nich...

– Przystopuj, Juánez. Nikt nie zgwałcił tej dziewczyny – zaprotestował prokurator.

– Nie było gwałtu. Ale sąsiad jest psychopatą przejawiającym niestosowne zachowania seksualne. Podglądał ją przez okno – dokładnie zaraportował wszystko, co pamiętał z południowego spotkania. – Wszedł do pokoju, zamordował dziewczynę i być może też pamięta coś z samego aktu zbrodni.

– A jak możemy to udowodnić? – zapytał logicznie prokurator.

– Znalazłem ślady na balkonie, spróchniały murek między balkonem a tarasem, a poza tym brakuje pieniędzy w szafce nocnej – wyliczył Juánez i wyobraził sobie, że prokurator zapisuje wszystko, bo przecież zawsze tak robił. – Mam też wyniki sekcji zwłok wskazujące, że Minerva, *twoja* zabójczyni, znajdowała się poza miejscem zbrodni w czasie, kiedy dokonano morderstwa, a do tego dochodzą niekompletne dane dotyczące DNA.

– Ach... brzmi całkiem nieźle, Juánez – powiedział Roger z naciskiem, który mógł brzmieć prawie jak przyznanie racji. Zamilkł na chwilę, żeby ocenić sytuację. – Ale to tylko przesłanki.

– Widzę wszystko bardzo jasno. Muszę zamienić te przesłanki w dowody, dlatego trzeba przeszukać dom sąsiada. Tylko dzięki temu będę mógł poprosić cię o coś znacznie ważniejszego.

Prokurator Roger zaśmiał się w głos.

– Czułem to. Do diabła z tobą, Juánez! – wykrzyknął, ale szybko przestał się śmiać. – Skoro to dopiero początek, to o jakie wielkie przysługi chcesz mnie prosić?

– Nakaz aresztowania pacjenta, który przebywa teraz w szpitalu psychiatrycznym, i pobranie jego krwi w celu uzupełnienia danych o DNA, które już zebrałem...

– O jakim DNA mówisz? – wykrzyczał prokurator. – Nie mam niczego takiego w moim raporcie.

Juánez wziął głęboki oddech.

– Nie, niczego nie masz. Na prześcieradle z łózka dziewczyny znajdują się ślady nasienia – wyjaśnił, czując, że po drugiej stronie słuchawki aż się gotuje. – Muszę porównać ten profil genetyczny z DNA sąsiada z psychiatryka.

– Do jasnej cholery. Przecież prowadzisz sobie swoje własne śledztwo! – zaczął krzyczeć jeszcze głośniej. – Robisz ze mnie najgorszego idiotę!

– Ale ty jesteś idiotą, Roger – powiedział Juánez nawet bez podnoszenia głosu. – Wsadziłeś do więzienia tę dziewczynkę, Minervę, bo zebrałeś jakieś cztery gówna warte informacje podrzucone przez tego idiotę Aguadę. Nie zostało mi nic innego jak zacząć węszyć samemu.

Juánez czekał na odpowiedź Marcosa Rogera. Słyszał jego przyspieszony oddech. Wiedział, że musi podjąć decyzję.

– Podpiszę ci nakaz przeszukania – powiedział już trochę spokojniej – ale wcześniej chcę wiedzieć, czy jest jeszcze coś, o czym nie wiem. Nie chcę żadnych niespodzianek, Juánez.

– Nie, nie ma nic więcej – skłamał. – Wyślij mi wiadomość, kiedy będziesz miał podpis sędziego.

Chwilę później zakończył rozmowę z prokuratorem. Nie myślał nawet, żeby opowiedzieć o spotkaniu z psychiatrą Matíasem Aguirre ani o wycieczce na taras Solarich. Nie miał ochoty wysłuchiwać kazania o kodeksie postępowania sądowego. W końcu zawsze uważał, że jest pewnego rodzaju „ramieniem sprawiedliwości”, a nie mózgiem.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Siedział w samochodzie na rogu domu Solarich, czekając, aż prokurator i sędzia wyrażą zgodę na przeszukanie domu. Nie miał planu B. A narzędzie zbrodni, o ile w ogóle

jeszcze istniało, mogło być schowane tylko w domu szaleńca. Bo właśnie tak to widział: przed jego oczami, po drugiej stronie szyby wznosiła się prawdziwa jaskinia mordercy.

Dom wyglądał wręcz nieskazitelnie. Wzbogacony był wypolerowanym drewnianym portykiem, ceglany ogrodzeniem, czarnymi kratami wstawionymi w ogromnym oknie wychodzącym na ulicę i otoczony małym, doskonale oporzędzonym ogródkiem. Wyglądał na typowy dom dobrze ustawionej rodziny z klasy średniej.

Niespodziewanie zadzwoniła komórka.

– Bingo! – powiedział na głos Juánez.

E-mail z kopią nakazu przeszukania i zajęcia domu pobłyskiwał na ekranie telefonu. Wysłał podanie do techników i postanowił chwilę poczekać.

„Cóż, Mauro Solari, niestety już wyłożono wszystkie karty na stół”, pomyślał, nie odrywając spojrzenia od domu.

Kiedy furgonetka Mobilnej Jednostki Kryminalnej zaparkowała niezdarnie przed drzwiami Solarich, Juánez wysiadł z samochodu. Gorące powietrze uderzyło go brutalnie w twarz, ale to zignorował. Przeszukanie i zajęcie posiadłości sprawiało, że czuł się zestresowany, tak jakby za chwilę miał rozebrać piękną kobietę. Musiał pamiętać, że i w tym przypadku trzeba było postępować powoli, niezwykle uważnie i przywiązując uwagę do najmniejszych szczegółów.

Wystarczyło jedno spojrzenie, a cała trójka policjantów zrozumiała jasno, że mieli teraz wejść do domu. Juánez przewodniczył całej operacji. Z prawej towarzyszyła mu śledcza Manuela Pelari. Reszta szła za nim.

Manuela zawsze pachniała fiołkami. Nie wiedział, czy to szampon, czy perfumy, ale przebywanie w jej towarzystwie było zawsze czystą przyjemnością, nie tylko ze względu na jej powalającą urodę, ale również dlatego, że była w stanie przeanalizować sytuację jak nikt inny i nawet zmienić bieg całej sprawy. Była perełką Wydziału Kryminalnego.

Juánez naciśnął dzwonek i czekał przed drzwiami z mocno bijącym sercem. Żadnej odpowiedzi. Ponowił próbę. Wymienił szybkie spojrzenie z Manułą. W ciszy skinęła głową. Nagłe otwarcie drzwi zaskoczyło wszystkich policjantów. Kipiąca ze złości kobieta stanęła przed nimi. Wyglądała jakby broniła nie domu, ale fortecy.

– Czego tutaj szukacie? – zapytała nieuprzejmie.

– Dzień dobry. Francisco Juánez, Wydział Kryminalny. Mam nakaz sądowy, żeby przeszukać państwa dom.

Kiedy wypowiadał swoje imię i nazwisko, równocześnie wyjmował dokumenty z portfela. Kobieta otworzyła szeroko oczy i spojrzała na niego

z pogardą. Czerwonawe włosy podkreślały idealną biel jej skóry. Bawełniana sukienka w kwiaty uwydatniała talię, dzięki czemu wyglądała na dużo młodszą.

– Chyba się państwo pomylili, bo do morderstwa doszło w domu obok. Nie przywitałam się. Dzień dobry – powiedziała stanowczym głosem, próbując szybko zamknąć drzwi. Juánez wsunął stopę przy framudze, żeby nie zdążyła ich zatrzaskać.

– Proszę panią, żeby pozwoliła nam wejść do środka – powiedział, rzucając jej intensywnie spojrzenie. – Dzisiaj akurat zostawiłem całą swoją cierpliwość w domu.

Kobieta poddała się, bo zrozumiała, że w tej sytuacji to nie ona decyduje. Odsunęła się od drzwi i zniechęcona pozwoliła im wejść. Bez żadnych wcześniejszych instrukcji od przełożonego Manuela sama postanowiła zrobić następny potrzebny krok.

– Nazywam się Manuela Pelari, jestem śledczą w Wydziale Kryminalnym – powiedziała uprzejmie. – Proszę się niczego nie obawiać. Liczymy na pani współpracę.

Kobieta się odprężyła, a jej usta zastygły w półuśmiechu. Juánez starał się na nią nie patrzeć. Manuela zdała sobie sprawę z tego, że mieli do czynienia niemal z lwicą broniącą własnego terytorium. Wystarczyło dać jej odczuć, że są w stanie zapewnić jej wsparcie, żeby operacja mogła zakończyć się relatywnym sukcesem.

– Manipulatorka – szepnął jej na ucho Juánez, kiedy wszyscy kierowali się do salonu. Manuela w odpowiedzi uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie.

– Nazywam się Nélide i nie rozumiem, czego państwo tu szukają – powiedziała zaniepokojona kobieta.

Juánez ruszył do ataku.

– Czy Mauro Solari jest pani synem?

Nagle zaczęła jej drżeć górna warga.

– Ach... tak, to mój syn, ale Maurito nie ma...

– Tak, to też już wiem – przerwał jej Juánez. – Czy może mi pani wskazać pokój chłopaka, czy mam sam go sobie sam poszukać?

Milcząca Nélide weszła po schodach w kompletnej ciszy. Manuela i Juánez poszli za nią.

Dom był duży i jasny. Drewniane podłogi i białe ściany sprawiały, że wyglądał na bardzo przyjemne miejsce. Kiedy weszli na piętro, zastała ich tam niemiła niespodzianka. Zmiana w dekoracjach była naprawdę porażająca. Ściany pomalowane sprayem. Niebieskie słońce, żółte chmury i czerwone kwiaty.

– Maurito jest artystą. To jego małe mieszkanie, jego ulubione miejsce – tłumaczyła się, próbując ukryć zażenowanie. Wskazała następnie na identycznie pomalowane drzwi i wyjaśniła: – To jest pokój mojego syna.

Juánez otworzył drzwi. Manuela weszła za nim do środka. Czuć było intensywny zapach odświeżacza powietrza. Okno było zamknięte.

– Nélide – zwróciła się uprzejmie Manuela. – Moglibyśmy włączyć klimatyzację?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała kobieta i spełniła jej życzenie.

Juánez spojrzał na śledczą tylko na ułamek sekundy.

I to wystarczyło.

– Nélide – powiedziała Manuela jeszcze bardziej uprzejmym głosem. – Mogłaby też nas pani zostawić na chwilę samych?

Kobieta wsunęła palce we włosy, mierzwiąc je nerwowo, obróciła się i wyszła.

– Nareszcie sami – powiedział Juánez pół żartem, pół serio.

– Nareszcie sami – powtórzyła uwodzicielsko Manuela. Jej spojrzenie mogłoby roztopić lodowiec.

Śledczy uśmiechnął się. Z Manuelą zawsze było coś na rzeczy, a Juánez miał u niej wiele niespłaconych długów. Nie był to jednak czas, żeby regulować akurat zaległości miłosne. Oboje wiedzieli doskonale, że muszą przeszukiwać pokój Maura Solariego.

Manuela zaczęła od łóżka, z którego ściągnęła pościel. Przetrzepała wszystkie prześcieradła, poduszki i przesunęła dłonią po materacu.

– Nic tu nie ma – stwierdziła.

Juánez sprawdził dwie szuflady w drewnianym stoliku nocnym.

– Kredki, kartki z rysunkami przypominającymi te ze ścian na korytarzu, monety... Nic.

Manuela zajęła się przeglądaniem zdjęć, które leżały na starym i dość zniszczonym łóżku. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że Mauro był podobny do matki. Z pewnością trudno też było ukryć, jak bardzo zniszczyła go choroba. Z umięśnionego nastolatka o radosnym uśmiechu przemienił się w wynędzniałego mężczyznę z zapadniętymi policzkami i nieobecnym spojrzeniem.

Juánez podszedł do niej powoli. Nie chciał jej przerywać, widząc, z jaką uwagą patrzyła na zdjęcia chłopaka. To ona przerwała milczenie.

– Myślisz, że to on zabił tę dziewczynę? – zapytała.

– Nie mam żadnych wątpliwości. Ale muszę znaleźć coś, co usprawiedliwi pobranie próbki krwi, żeby sprawdzić zbieżność materiału genetycznego. Jakąś wskazówkę, dowód...

– Spójrz, Juánez, na wszystkich jego zdjęciach jest jedna rzecz, która zawsze się powtarza – zauważyła Manuela, koncentrując się znowu na zdjęciach.

Bez udzielenia jakiegokolwiek odpowiedzi śledczy tymczasem otworzył szafę. Leżał tam zielony plastikowy worek. Tego właśnie szukał. Na wszystkich zdjęciach Mauro Solari przyciskał go do piersi, jakby to, co znajdowało się w środku, było jego największym skarbem.

Juánez zaczął wyciągać z szafy jedną rzecz za drugą, a potem przekazywał wszystko Manueli, żeby mogła sprawdzić kieszenie i inne zakamarki. Sterta spodni, koszulek i bluz zaczęła piętrzyć się na ziemi. W szafie nic już nie zostało. W worku także niczego nie znalazł. Rozczarowani poszukiwaniami pytająco patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, co robić dalej.

– Wychodzimy? – zapytała Manuela ze wzrokiem skierowanym na drzwi balkonowe.

– Kiedy tylko sobie zażyczysz – odpowiedział Juánez ze swoim najbardziej czarującym uśmiechem.

Śledcza po raz kolejny uśmiechnęła się kokieteryjnie, obróciła się i otworzyła drzwi balkonowe. Wyszła na taras, na którym Juánez był już wcześniej bez żadnego pozwolenia. Słońce świeciło mocno, a ciepło promieniowało ze wszystkich kafelków. Śledczy skierowali się w różne strony w poszukiwaniu najmniejszych szczegółów. Przesunęli leżaki, odstawili na bok donice z kwiatami, ale niczego nie znaleźli.

Manuela związała włosy w kucyk za pomocą gumki, którą nosiła na nadgarstku. Krople potu spływały jej po plecach. Juánez spojrzał na nią z odrobiną pożądania, ale też z niepewnością. Nie wiedział, czy powiedzieć jej o swojej pierwszej wizycie na tarasie. Oczywiście działał wtedy poza prawem. Nie myśląc zbyt długo, podjął decyzję.

– Manu, podejdź tutaj bliżej, proszę – przywołał ją do niskiej barierki oddzielającej taras od balkonu dziewczyn. – Zobacz, jak łatwo można przejść na drugą stronę.

Manuela oparła obie ręce na podeście z cementu, podniosła prawą nogę i bez wysiłku przeskoczyła na drugą stronę. Stojąc na małym balkonie, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– To czyste szaleństwo. Kto może żyć sobie spokojnie, wiedząc, że tak łatwo można naruszyć jego prywatność? To jest jakiś okrutny brak... – śledcza przerwała nagle i wbiła spojrzenie w barierkę między dwiema częściami tarasu.

„Wszystko zrozumiała”, pomyślał Juánez. Jego strategia okazała się niezwykle skuteczna. Teraz już tylko czekał, aż Manuela znajdzie czerwone majtki zostawione przez niego kilka godzin wcześniej na miejscu zdarzenia.

– Juánez, co to ma być? – zapytała głośno, wyciągając przed siebie rękę, w której trzymała majtki.

Manuela spróbowała powtórzyć wcześniejszy skok, ale zahaczyła nogą o listwę między barierkami.

– Manu, daj mi rękę – powiedział Juánez, próbując jej pomóc. – Nie wykręcaj nogi. Jeszcze tylko brakowało, żebyś mi się tu wywróciła.

Dziewczyna jednak szarpnęła gwałtownie stopą, żeby się uwolnić.

– Cholera! – krzyknęli równocześnie.

Jej gwałtowny ruch otworzył jakąś dziurę. Zdali sobie sprawę z tego, że murek nie był w całości pokryty cementem, lecz obity pomalowanymi farbą deskami. Konstrukcja wyglądała na niestabilną i podgnitą.

Jednym zręcznym skokiem Manuela znalazła się przy Juánezie. Żadne z nich nie odrywało oczu od właśnie odkrytego schowka. Pochylili się, żeby zobaczyć, czy w kryjówce coś jest. Juánez oderwał zalegającą, drewnianą listwę. Światło słoneczne odkryło wnętrze tego prowizorycznego zabudowania. W środku leżał zielony worek, dokładnie ten sam, z którym Mauro pojawiał się na wszystkich zdjęciach. Znaleźli jego największy skarb.

Śledczy z Wydziału Kryminalnego robili właśnie zdjęcia tarasu, murku, balkonu dziewczyn i zielonego worka. Musieli skrzętnie odnotować i zebrać informacje na temat każdego potencjalnego śladu, żeby potem przyszedł obrońca Maura Solariego nie był w stanie sprytnie unicestwić jakiegokolwiek dowodu w sprawie.

Manuela wykonywała w ciszy wszystkie protokolarne czynności. Było jej nieprzyjemnie gorąco i bolała ją kostka, ale jej ogromna chęć otworzenia worka i zobaczenia, co znajdowało się w środku, była silniejsza niż te chwilowe niedogodności. Juánez wychwycił to jednym przelotnym spojrzeniem.

– Otwieramy? – zapytał.

W odpowiedzi dziewczyna pochyliła się nad wyrwą w murku. Przypominała małą dziewczynkę szukającą prezentów od Świętego Mikołaja. Juánez uśmiechnął się.

Manuela wyciągnęła ostrożnie worek z kryjówki. Był mokry i cuchnął stęchlizną. Deszcz, który spadł w noc zbrodni, dostał się przez szczeliny do środka, tak że zalegała tam teraz woda. Podparła się ręką o kafelki, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i otworzyła worek.

W środku znajdowały się cztery pary zawilgoconych majtek i jeden biustonosz. Śledcza rozłożyła ostrożnie bieliznę na podłodze. Spojrzała na siedzącego obok Juáneza.

– Wykładał to dziewczynom – orzekła Manuela.

– Tak, przechodził przez murek i podglądał je przez okno. Nie ma żadnych wątpliwości, że niejeden raz nawet wszedł do środka...

– Czy okno w pokoju dziewczyn ma zasuwkę lub kraty? – przerwała mu Manuela.

– Nie, przytrzymuje je tylko łożko. Wystarczy popchnąć, żeby okno się otworzyło. To oczywiste, że Mauro Solari tak robił, żeby powoli zbierać kolejne fetysze – zawyrokował Juánez triumfalnym głosem i skinieniem głowy wskazał na majtki, które Manuela rozłożyła na podłodze. – Przechowywał je jak skarb w tym worku...

– I miał też swoją kryjówkę na zdobycze pod drewnianą pokrywą w tym murku – dokończyła Manuela. – A co z tymi czerwonymi majtkami, które leżały na zewnątrz?

– Najwidoczniej nie miał wystarczająco dużo czasu, żeby je schować. Być może to ostatnie majtki, które w ogóle ukradł, albo...

– Być może zabrał je po tym, jak zamordował Márquez – dopowiedziała Manuela, wzięwszy głęboki oddech i spoglądając na bieliznę. Zawyrokowała: – Uciekał. Podczas ucieczki zgubił pamiątkę z miejsca zbrodni.

Juánez przytaknął. Nie było o czym więcej rozmawiać. Mechanika zbrodni wydawała się przejrzysta. Niezrównoważony umysłowo chłopak, który godzinami szpiegował z ukrycia swoje piękne sąsiadki. Kiedy jego fantazje seksualne stawały się coraz intensywniejsze, pod nieobecność dziewczyn udało mu się kilka razy wślizgnąć do ich domu i wykraść bieliznę, żeby się zaspokoić. Pewnego dnia jednak zapragnął więcej. Jako że samo podglądanie już nie wystarczało, postanowił podjąć działanie. Pragnął dotknąć, zobaczyć i powąchać to, o czym zawsze marzył. Ale żeby wszystko to miało szansę się spełnić, musiał zabić.

Kiedy Manuela chowała bieliznę do przezroczystych reklamówek używanych w Wydziale Kryminalnym do ściągania i przechowywania śladów, Juánez potrząsnął zielonym workiem. Nagle coś wypadło na podłogę. Odgłos uderzającego o kafelki przedmiotu oderwał Manuelę od pakowania. W pełnym słońcu pobłyskiwał kawałek szkła.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytała przestraszona.

Juánez nie odpowiedział. Ręką obciążoną lateksową rękawiczką podniósł kawałek szkła i zaczął mu się uważnie przyglądać.

– Manu, popatrz tutaj – powiedział, zbliżając szkło do oczu śledczej.

– Cholera... – szepnęła kobieta.

Ostra część szkła była ubrudzona, matowa. Nikt nie potrzebował żadnych badań laboratoryjnych, żeby zrozumieć, co mieli właśnie przed oczami.

– Juánez, to krew. Skrzepnięta na szkle krew.

– To narzędzie zbrodni, kochana – powiedział Juánez i wbił w nią wzrok.

– Mamy już wszystko.

Wyszedł z prokuratury z podpisanym przez Rogera nakazem zatrzymania. Mauro Solari został oficjalnie podejrzanym o morderstwo Gloriany Márquez. To była tylko formalność. Przede wszystkim dlatego, że Mauro Solari był hospitalizowany, więc jego tymczasowe aresztowanie było jedynie technicznym detalem. A poza tym sądowa walka o ustalenie, czy był winny, zapowiadała się na bardzo długi proces. Jednak dla Francisco Juáneza nakaz aresztowania, który trzymał teraz w rękach, był czymś więcej niż papierem. Był to dowód dobrze wykonanej pracy, triumfu policyjnego śledztwa nad biurokracją bezmyślnego systemu sądownictwa.

Prokurator Roger nie stawiał zbyt wielu przeszkód. Kiedy Juánez i Manuela stanęli przed jego biurkiem, aby poinformować go o tym, co zostało znalezione podczas przeszukania domu Solarich, wykonał jeden telefon, zamienił kilka słów z sędzią nadzorczym i w niecałe pół godziny podjęto ostateczną decyzję: na scenę wchodził Mauro Solari, natomiast Minerva del Valle z niej schodziła.

Fasada kliniki Los Tilos przypominała pięciogwiazdkowy hotel. Dużo szkła, dużo metalu. Wszystko lśniło. Była wręcz nieskazitelna. Nazwa miejsca została wryta na białej marmurowej tablicy. Nigdzie nie było napisane, że Los Tilos to szpital neuropsychiatryczny. Dyskrecja była równie rażąca, jak wstyd spowijający ten budynek. Osoby z zaburzeniami psychicznymi zamknięto w złotej klatce, usuwając ich z pola widzenia ogółu.

Juánez wcisnął dzwonek i czekał. Stojąca obok niego Manuela jeszcze raz rzuciła okiem na walizeczkę, którą ze sobą przyniosła. To ona miała pobrać krew Mauro Solariemu, żeby porównać jego profil genetyczny

z tym znalezionym na pościeli w łóżku, w którym została zamordowana Gloriana.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Oboje weszli w milczeniu. Klimatyzacja była ustawiona na najwyższy program. Było zimno. Szli długim, perfekcyjnie czystym korytarzem, na którego końcu stało biurko tak białe jak wszystko inne w Los Tilos. Czekająca na nich recepcjonistka w uszytym na miarę garniturze przywitała ich uśmiechem rodem z reklamy telewizyjnej.

– W czym mogę państwu pomóc? – zapytała.

– Francisco Juárez. Wydział Kryminalny. A to śledcza Manuela Pelari. Przyszliśmy, żeby zobaczyć się z pacjentem Maurem Solarim.

Zanim recepcjonistka zdążyła cokolwiek powiedzieć, nagle przez boczne drzwi wszedł doktor Matías Aguirre.

– Co tam u pana, Juárez? – przywitał go lekarz, nie uzyskując jednak od śledczego żadnej odpowiedzi. – Jestem już na bieżąco z całą sytuacją. Proszę przejść do mojego gabinetu.

– Nie przyszedłem tu na pogawędkę terapeutyczną. Chcemy zobaczyć Solariego – odpowiedział natychmiast Juárez.

– To też już wiem. Ale chciałbym zamienić z państwem kilka słów.

W powietrzu dało się odczuć rosnące napięcie. Manuela zajęła się rozluźnieniem atmosfery.

– W porządku, doktorze – powiedziała słodkim głosem. – Tylko kilka minut. Nie mamy czasu do stracenia.

Aguirre przytaknął, obrócił się i skierował w głąb korytarza. Juárez i Manuela szli za nim w ciszy.

Gabinet psychiatryczny różnił się pod dosłownie wszystkimi względami od reszty szpitala. Nie był pomalowany na białą. Brakowało też typowych metalowych elementów, które można znaleźć w innych pomieszczeniach. Było tu bardzo przytulnie. Wszystko było wyłożone drewnem. Na ścianach wisiały obrazy i makatki. Biblioteka zajmowała całą główną ścianę,

a oprócz książek na półkach stały też ramki ze zdjęciami. Na wszystkich prezentował się doktor Aguirre.

– Kim są stojące obok pana osoby? – zapytała Manuela, analizując uważnie wszystkie fotografie.

– To moi pacjenci. Lubię mieć ich przy sobie – odpowiedział.

– Przebywają na oddziale? – ponagliła Manuela.

– Nie, stawiam tu zdjęcia tylko tych pacjentów, których udało mi się wyleczyć – oświadczył gorzko. – W końcu wszyscy lubimy pochwalić się naszymi osiągnięciami, prawda?

Juánez mu przerwał:

– Problemem są akurat pana porażki, doktorze Aguirre.

– Juánez, niech pan się trochę zlituje... – poprosił psychiatrę.

– Byłoby sprawiedliwie, gdyby Gloriana Márquez też mogła poprosić o litość – powiedział podniesionym głosem. – A tymczasem jakiś nieudacznik nie okazał jej ani trochę.

Manuela postanowiła im przerwać.

– Panowie, bardzo was proszę – powiedziała. – Zostawmy tę dyskusję na inną okazję. Co chce nam pan powiedzieć, doktorze Aguirre?

Lekarz spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Jak już wiecie, Mauro Solari cierpi na poważną psychozę. Jest leczony farmakologicznie i stanowi niebezpieczeństwo dla siebie i innych...

– Tak, tak, Gloriana mogła się o tym przekonać na własnej skórze – dodał ironicznie Juánez, a Manuela spojrzała na niego z wyrzutem.

Aguirre zignorował jego uszczypliwość i mówił dalej:

– Nie jest w stanie zeznawać. Już przygotowałem stosowny formularz dla prokuratury – wyjaśnił i podał Juánezowi teczkę z dokumentami. –

Mogę przeczytać państwu swoją diagnozę. Mauro Solari jest niepoczytalny, nie potrafi odróżnić dobra od zła.

Juánez z ogromną dociekliwością przeglądał cztery kartki raportu. Manuela w tym czasie podtrzymywała rozmowę z lekarzem.

– Doktorze, interesuje nas potwierdzenie tożsamości sprawcy. Jesteśmy pewni, że pański pacjent zamordował naszą ofiarę. Pobierzemy mu krew, żeby zweryfikować, czy jego profil genetyczny pasuje do pobranych przez nas próbek DNA – oświadczyła, wbijając w niego wzrok. – To od pana zależy, czy Mauro Solari zgnije w jakiejś ponurej dziurze w pierdłu, czy w jakiejś ponurej dziurze w psychiatriku...

Juánez rzucił teczkę na biurko.

– Gloriana zgnije w jakiejś ponurej dziurze w ziemi, w trumnie, Aguirre.

Przez kilka chwil nikt nic nie mówił. Psychiatra spuścił głowę i spojrzał na biurko.

Po raz kolejny Manuela zajęła się rozluźnieniem atmosfery.

– Pójdziemy zobaczyć pacjenta? – zapytała ku uldze Aguirre.

Szli przez korytarze kliniki. Ta cisza mogłaby doprowadzić do szaleństwa każdego. Weszli do windy. Na drugim piętrze, gdzie znajdowali się pacjenci, od razu można było dostrzec gigantyczną różnicę. Przeszli od razu do dużej sali z wieloma stołami i krzesłami. Miejsce przypominało restaurację. Znaczna część pacjentów prowadziła między sobą swobodne rozmowy, a niektórzy grali w domino. Inni tańczyli w rytm cumbii dobiegającej z powieszonego na ścianie telewizora.

– To wszyscy pacjenci, których mamy na oddziale – wyjaśnił Aguirre.

– Czy wszyscy są szaleni? – zapytała Manuela.

– Nie, szaleństwo to termin względny i nie używamy go w diagnostyce. Tutaj mamy pacjentów z depresją, osoby cierpiące na stany lękowe, zmagające się z uzależnieniami...

– I jednego mordercę – przerwał mu Juánez, który nie przepuszczał żadnej okazji, żeby wygarnąć psychiatrze jego fatalny błąd.

Aguirre zignorował komentarz śledczego i kontynuował spacer po Los Tilos, jakby była to wycieczka z przewodnikiem po muzeum.

– Większość naszych pacjentów spędza dzień w tym miejscu, a na noc wraca do domu. Tylko niektórzy pozostają na oddziale na stałe. Mauro był pacjentem ambulatoryjnym. Nie zjawiał się tu nawet przez kilka miesięcy...

– Aguirre przerwał nagle swoją opowieść, bo właśnie doszli do pokoju Mauro Solariego. Psychiatra popchnął drzwi.

– Drzwi nie są zamykane na klucz? – zapytała Manuela.

– Nie. Nie istnieje zagrożenie, żeby pacjent uciekł – wyjaśnił, wskazując na zamek. – Otwierają się od zewnątrz. Nie można otworzyć ich od środka. Ten rodzaj drzwi używa się tylko w takich miejscach jak nasz szpital.

Juánez nie zwracał uwagi ani na Manuełę, ani na Aguirre. Zaskoczyło go to, co miał właśnie przed oczami. Pokój chłopaka miał bardzo surowy wystrój: pojedyncze łóżko, stolik nocny i jedna metalowa półka. Jednak żadna z tych rzeczy nie wydała mu się ważna.

– Do jasnej cholery... – szepnęła Manuela.

Ściany pokoju były pomazane sprayem. Rysunki były prawie identyczne z tymi, które chłopak namalował chaotycznie w korytarzu własnego domu, w którym mieszkał z rodzicami.

– Malarstwo pomaga Mauro się zrelaksować – wyjaśnił psychiatra. – Zawsze maluje na ścianach. Ozdabia swoją przestrzeń. To jego sposób na komunikowanie się ze światem.

Manuela podeszła do jednego z graffiti i oparła na nim rękę jakby w geście współczucia. Spojrzeniem przywołała Juáneza.

– Zwróciłeś uwagę na ten obrazek?

– Tak – odpowiedział śledczy. – To zwykły skurwysyn.

Rysunek na jednej ścianie był naprawdę przerażający. Przedstawiał dziewczynę o ciemnych i długich włosach. Była naga, a całe jej ciało było zamalowane czerwoną farbą.

– Brakuje jej oczu – szepnęła Manuela.

Dziewczyna zamiast oczu miała dwie ciemne dziury. Byli tak zaskoczeni, że dopiero po pewnym czasie zauważyli najważniejszą rzecz: to, że nikogo nie było w łóżku. W pokoju nie było Solariego.

– A Solari? – zapytał podirytowany Juánez.

– Przebywa w tak zwanym *shock-roomie* – odpowiedział Aguirre. – Podjąłem tę ryzykowną decyzję, żeby móc państwa tu przyprowadzić,

żebyście mogli przekonać się, kto tak naprawdę jest po drugiej stronie. Mauro jest poważnie chory.

Juánez machnął gwałtownie ręką. Nie miał zamiaru znosić dłużej psychiatry.

Kiedy opuścili pokój chłopaka, przeszli zaledwie kilka metrów do specjalnego pokoju, w którym podawano mu lekarstwa. Aguirre pchnął drzwi i przytrzymał je przez chwilę, tak żeby Juánez i Manuela mogli wejść do środka.

Pomieszczenie było całkowicie aseptyczne, jak na intensywnej terapii. Pośrodku stało ogromne łóżko. Juánez podszedł powoli, nie odrywając wzroku od Mauro Solariego, który nagi, przykryty do pasa jedynie białym prześcieradłem siedział wsparty na poduszkach. Jego skóra była bardzo biała. Wyraźnie odznaczały się wszystkie żyły.

– Jest przytomny? – zapytała Manuela.

Jego spojrzenie było całkowicie nieuchwytnie. Wyglądał, jakby obejmował spojrzeniem wszystko, nie skupiając się na żadnym konkretnym przedmiocie. Mimo że poruszał ustami, żaden dźwięk się z nich nie wydobywał.

– Tak – odpowiedział psychiatra. – Jest przytomny, ale nie jest w stanie określić własnego położenia w czasie i przestrzeni.

Manuela otworzyła walizkę, założyła rękawiczki i przygotowała igłę, żeby pobrać Mauro krew. Juánez podszedł do łóżka, żeby nawiązać z chłopakiem kontakt wzrokowy, ale bez skutku. Chłopak przebywał w zupełnie innym miejscu. Był nieosiągalny.

– Mauro – powiedział Juánez – słyszysz mnie?

Aguirre mu przerwał.

– Mauro słyszy, widzi i jest w stanie odczuwać, ale nie potrafi nawiązać kontaktu z rzeczywistością – powtórzył, po czym podszedł do chłopaka

i z ogromną czułością pogłaskał go po głowie. – Nigdy nie był w tak złym stanie.

Juánez nie odrywał wzroku od chłopaka i jeszcze raz spróbował do niego przemówić.

– Czy dziewczyna, którą namalowałeś na ścianie, to Gloriana?

Mauro przestał poruszać ustami i zacisnął pięści. Aguirre położył rękę na jego ramieniu, żeby nad nim zapanować. Juánez ponowił pytanie.

– Namalowałeś Glorianę?

Mauro nagle odwzajemnił jego spojrzenie i bez zastanowienia odpowiedział.

– Biedna dziewczyna. Była taka dobra.

Jego silny głos ambiwalentnie współgrał z wychudzonym ciałem i twarzą.

– Mauro, dlaczego ją zabiłeś?

– Biedna, biedna. – Chłopak złapał jedną z poduszek, na której się podpierał, i zaczął obsesyjnie błędzić po niej dłonią.

Manuela przyglądała się uważnie całej scenie. Czuła ogromne obrzydzenia na samą myśl, że tymi samymi rękoma Mauro Solari obłapiał, a potem poderżnął gardło niewinnej dziewczynie. Ani myślała pozostać choć chwilę dłużej w jego towarzystwie.

– Juánez, muszę pobrać krew do badania – powiedziała z wyczuwalną odrazą w głosie.

Śledczy zrozumiał, że Manuela nie czuła się komfortowo.

– Aguirre, musimy się wkłuć. Nie chcę żadnych niespodzianek – powiedział.

Psychiatra przejął inicjatywę.

– Pelari, podejdź proszę bliżej. Nic pani nie grozi – zapewnił. – Mauro jest przyzwyczajony do pobierania krwi.

Lekarz nie kłamał. Mauro nawet się nie wzdrygnął, kiedy śledcza wyprostowała jego ramię, żeby pobrać krew. Chłopak wciąż ugniatał ręką

poduszkę, jakby nic się wokół niego nie działo.

– Aguirre – zaczął Juánez – my sobie stąd pójdziemy, ale chcę panu tylko przypomnieć, że pański pacjent jest objęty aresztem. W drzwiach kliniki stoi policjant, który dopilnuje, żeby przestrzegano jego zasad.

– W porządku – powiedział lekarz. – Odprowadzę państwa do wyjścia.

Psychiatra otworzył drzwi. Juánez wyszedł pierwszy. Zamknięcie walizki zajęło Manueli zaledwie kilka sekund. Kiedy podniosła głowę, nie mogła się powstrzymać i spojrzała na Mauro. Dostała gęziej skórki. Chłopak patrzył wprost na nią lubieżnym spojrzeniem.

– Do zobaczenia, Minervo – powiedział grubym głosem nieprzypominającym żadnego dźwięku, który byłby w stanie wydać z siebie człowiek.

Juánez zauważył, że Manuela drży. Wyjął jej z ręki walizkę i popchnął, żeby jak najszybciej opuściła pokój. Wyszli z kliniki Los Tilos w milczeniu.

W samochodzie Juáneza grała muzyka klasyczna. Manuela oparła głowę o chłodną szybę i zamknęła oczy. Nie rozmawiali od czasu wyjścia ze szpitala. Juánez prowadząc, czasami spoglądał na koleżankę. Spotkanie z Solarim było zatrważające dla obojga, ale jeszcze bardziej dla niej, która nieświadomie wywołała u Mauro dziwne zachowanie.

– Minerva del Valle jest w niebezpieczeństwie – orzekła z zamkniętymi oczami.

– Być może to właśnie jej szukał – dodał Juánez. – W noc zbrodni, kiedy poznałem Minervę, powiedziałem jej, że musi mi udowodnić, dlaczego to nie ona leży martwa na podłodze.

Manuela otworzyła szeroko oczy i wyprostowała się.

– Myślę, że możesz mieć rację. Mauro Solari szukał Minervy, a przypadek zdecydował o tym, że akurat nie było jej wtedy w domu – stwierdziła z poczuciem pewności i spojrzała na niego, marszcząc brwi. – Gloriana była tylko przypadkową ofiarą jego seksualnej fantazji.

– Wyglądasz na całkiem przekonaną. Co takiego przegapiłem?

– Mural.

Śledczy ściszył muzykę, żeby wysłuchać Manueli.

– Słucham – zachęcił.

– Mauro Solari namalował w swoim pokoju w Los Tilos jakąś dziewczynę, ale to nie Gloriana Márquez. Ta pozbawiona oczu dziewczyna to Minerva del Valle.

– Skąd ta pewność?

– Márquez była blondynką. Dziewczyna namalowana na ścianie ma ciemne włosy, tak jak Minerva.

Juánez nic nie odpowiedział. Z powrotem włączył muzykę. Manuela oparła głowę o szybę. W zupełnej ciszy, każde ze swoimi przemyśleniami jechali przed siebie.

Siedziała na metalowym krześle w całkowitej samotności. Czuła się brudna i miała ściśnięty żołądek. Otaczający ją zapach przyprawiał o mdłości. Każda kolejna minuta wydawała się miesiącami, stuleciami. Na próżno chciała sprawdzić godzinę na zegarku. Odebrano jej nawet możliwości sprawdzenia czasu. Nie wiedziała, czy jest zła, czy chce się jej płakać, czy może wszystko naraz. Nagle zerwała się na równe nogi i zaczęła wierzgać nogami. Najpierw jedna, potem druga noga. Oparła czoło o ścianę, wzięła głęboki oddech i westchnęła z jękiem.

Jak długo będą ją jeszcze trzymać w zamknięciu? Ile czasu minęło, odkąd nic nie mówiąc, umieścili ją w tym pokoju o wymiarach dwa na dwa? Pomyślała, że mogłaby zacząć łomotać głośno w drzwi lub po prostu je skopać, żeby narobić trochę hałasu. Jednak wcale nie było takiej potrzeby. Zupełnie jakby ktoś podsłuchiwał jej myśli, drzwi zostały nagle otwarte.

– Cześć, Minervo.

Minerva del Valle poczuła się nagle zupełnie inaczej. Przestała być zdesperowaną dziewczyną sprzed kilku sekund, bo właśnie założyła swoją maskę zuchwałości, która pasowała do niej idealnie.

– Chcę sobie stąd pójść – powiedziała prawie królewskim tonem, którym posługiwała się również jej babcia.

– Jak sobie pani życzy, moja królowo – odpowiedział ironicznie Juánez.

Minerva spojrzała na niego z pogardą i podjęła:

– Dlaczego wyciągnęliście mnie z celi? Nic nie rozumiem.

– Jesteś wolna. Możesz pójść do domu.

Przez chwilę Juánez myślał, że udało mu się wzruszyć dziewczynę, ale się pomylił. Źle zinterpretował jej zielone spojrzenie.

– No cóż... Czas najwyższy, żeby zdano sobie sprawę z błędu, który popełniono. Mam nadzieję, że weźmiecie się za swoją pracę i schwytaście mordercę Gloriany.

Juánez włożył ręce do kieszeni w spodniach i poczuł ogromny spokój.

– Już go schwytaliśmy – powiedział, zanim zdążyła zacząć kolejne zdanie. Po co było to ukrywać, skoro nikt nie miał żadnych wątpliwości?

Minerva cała zeszywniała. Poszerzyły jej się źrenice, a górna warga zaczęła drżeć.

– Tak? Kogo złapano? – zapytała ściszym głosem.

– Znasz Mauro Solariego?

Nawet gdyby chciała, dziewczyna nie byłaby w stanie szerzej otworzyć oczu.

– Nie – odpowiedziała pewna siebie.

– Mauro Solari to twój sąsiad. Chłopak, który mieszka w drugiej części bliźniaka.

Minerva zaniemówiła, ale Juánez mówił dalej.

– Myślimy, że Solari wszedł przez okno do pokoju i zamordował Glorianę. W jego domu znaleźliśmy zakrwawione szkło. Śledcza nie ma najmniejszych wątpliwości: to krew twojej przyjaciółki – opowiadał Juánez, a Minerva patrzyła na niego z ogromną uwagą. Czekamy na analizę materiału genetycznego, ale dzięki temu, co już znaleźliśmy, myślę, że jesteśmy na dobrej drodze.

– Nie mogę w to uwierzyć – odpowiedziała zdziwiona Minerva.

– Nie zauważyłaś może, żeby ostatnio zaczęła wam znikać bielizna?

– Bielizna? – zamyśliła się. – Nie, chyba nie. Dlaczego?

– U twojego sąsiada znaleźliśmy worek z bielizną. Podejrzewamy, że to może być wasza własność. Ale nie musisz się teraz o to martwić, pokażemy ci ją, żebyś potwierdziła informacje.

Minerva wyglądała, jakby straciła wszelkie zainteresowanie tym, co objaśniał jej Juánez.

– Chcę już sobie pójść z tego gównianego miejsca – powiedziała, po czym rozkazała: – Natychmiast mnie stąd zabierz.

Juánez rzucił reklamówkę na metalowy stolik.

– Twoje rzeczy, Minervo. Drzwi są otwarte. Do zobaczenia.

Śledczy obrócił się i wyszedł. Kiedy była już sama, Minerva poczuła spokój. Juánez potrafił ją zdenerwować.

Zbliżyła się do stołu i otworzyła torebkę. Wyciągała swoje rzeczy. Założyła zegarek na bransoletce, spięła włosy gumką, a następnie otworzyła portfel: dokumenty i pieniądze były na swoim miejscu.

Rozejrzała się wokół. Pomieszczenie było małe i opustoszałe. Każdy uciekłby z niego biegiem, żeby móc wreszcie cieszyć się wolnością, ale Minerva nie była jak inni. Obawiała się tego, co mogła zastać na zewnątrz. Spojrzenia innych nigdy za bardzo jej nie obchodziły, ale teraz rzeczy miały się inaczej. Będzie wytykana palcami, ludzie będą mówić za jej plecami: „Patrz, patrz, tam idzie ta, która zabiła swoją przyjaciółkę”.

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową. Chciała wymazać te obrazy. Nachyliła się nad stołem, żeby spakować rzeczy do małego plecaka. Pora wyjść.

„To mój plecak, Lunga”.

Minerva podskoczyła i rzuciła rzeczami, jakby ją poparzyły. Odwróciła się. Była sama, ale nagle usłyszała szyderczy śmiech. Nie miała wątpliwości. To był śmiech Gloriany.

– Ty szmato – szepnęła, kiedy pewnym ruchem jeszcze raz sięgnęła po plecak, który zaczęła dopakowywać, usiłując zapanować nad wewnętrznymi głosami.

Mocno poruszona usiadła na metalowym krześle i schowała głowę między rękami.

„Jeszcze dostaniesz za swoje, ty gówniana Lungo”, powiedział słyszalny tylko dla Minervy głos.

Podniosła głowę i patrząc pustym spojrzeniem przed siebie, odpowiedziała:

– Co ty nie powiesz, Lunga, ty zasrana idiotko.

Znowu usłyszała donośny śmiech. Minerva obiema rękami zatkała uszy. Po raz pierwszy zobaczyła ducha Márquez. Nie wiedziała jeszcze, że to zaledwie pierwszy z wielu razy.

Minerva była o wiele spokojniejsza, kiedy wreszcie opuściła areszt. Na końcu korytarza czekała na nią policjantka, która otworzyła jej wychodzące na ulicę drzwi. Wzięła głęboki oddech, by napełnić płuca powietrzem wolności, i zamknęła oczy. Otworzywszy je, była już na zewnątrz. Po raz pierwszy poczuła, że nie musi ukrywać łez i po prostu zaczęła płakać. Bez zastanowienia pobiegła przytulić czekającą na nią babcię Inés.

Pięknie razem wyglądały. Chodziły w tak samo dostojny sposób. Szły przez życie, jakby cały świat był im coś winien. Inés nadużywała swojej bezkarności, którą zyskała dzięki latom doświadczenia, Minerva była nie dość, że bezkarna, to piękna.

Patrząc na nie z okna samochodu, Juánez nie mógł powstrzymać wzruszenia. Miały tylko siebie. Zaskoczyła go czułość, z jaką zareagował na prawie mu obce kobiety. Po długim uścisku Inés i Minerva wsiadły do czekającego na rogu aresztu samochodu. Dzwonek telefonu wytrącił go z obserwacji tej wzruszającej sceny. Uśmiechnął się na widok tego, kto dzwoni.

– Jak się ma najpiękniejsza pani śledcza? – zapytał, rozkładając się wygodnie w fotelu kierowcy.

– Juánez, mam kilka danych od techników z laboratorium, które mogą cię zainteresować. – Manuela Pelari puściła komplementy Juáneza mimo uszu.

– Słucham cię.

– Znalezione na łóżku krew należy do ofiary, a nasienie – do Maura Solariego...

– W porządku – przerwał jej Juánez. – Cieszę się, że dane laboratoryjne pasują do naszej hipotezy roboczej. Sędziowie już dawno stchórzyli. Jeśli nie mają żadnego naukowego potwierdzenia, zniszczą wszystkie hipotezy.

Manuela omówiła resztę wyników, nie zwracając uwagi na teorie Juáneza dotyczące starych i nowych metod. Była profesjonalistką i nie zależało jej na odgrywaniu Sherlocka Holmesa.

– Ślady, które znaleźliśmy na kawałku szkła schowanym w reklamówce, to także krew. I jest to krew Gloriany Márquez. – Śledczy uśmiechnął się.

– Wszystko się zgadza, Manu. – Włączył klimatyzację i puścił muzykę klasyczną w samochodzie. – Ta sprawa może zostać uznana za zamkniętą.

– Mam więcej danych. Chcesz wiedzieć jakich? – zapytała.

Ton jej głosu zirytował Juáneza. Wyczuł, że jest oziębła i zachowuje rezerwę. Nie rozumiał, o co jej chodziło. Niczym nie przypominała delikatnej bieglej drżącej pod napastliwym spojrzeniem Maura Solariego.

– Co się dzieje, kochanie? Zamieniam się w słuch.

– Majtki, które znajdowały się w reklamówce Solariego, posiadają ten sam profil genetyczny. Wszystkie należą do ofiary...

Juánez przerwał jej zaciekawiony:

– Czyli wykradał bieliznę Glorianie.

– Nie tylko jej.

– Mów dalej – poprosił Juánez.

– Czerwone majtki, które leżały poza reklamówką, mają inny profil genetyczny. Należą do Minervy del Valle.

Śledczy był zaskoczony. On też był przekonany, że Mauro Solari próbował wrzucić majtki do swojej skrytki podczas ucieczki z miejsca zdarzenia, ale z pośpiechu nie udało mu się ich schować do worka. Manuela przestała czytać bezosobowe analizy i zaczęła zastanawiać się nad realnym przebiegiem zbrodni.

– Ja też myślałam, że Mauro nie udało się schować na czas bielizny, ale ciekawe, że zdążył ukryć szkło, którym poderżnął gardło Gloriany...

Manuela wypowiedziała dokładnie to, o czym myślał Juánez. Jej logiczny wywód zadowolił policjanta.

– A może porozmawiamy twarzą w twarz?

– Za godzinę u mnie w domu – bez zahamowań odpowiedziała Manuela.

– Musisz się przekonać, jak dobrze gotuję.

Juánez zakończył rozmowę z uśmiechem od ucha do ucha. Zły humor zniknął jak za sprawą magicznej różdżki. Czary Manueli Pelari były naprawdę skuteczne.

W pomieszczeniu pachniało wanilią. W niecałe pół godziny Manuela ułożyła papiery w stos i położyła je na fotelu, zmieniła ręczniki w łazience, zapaliła świece zapachowe, otworzyła okno wychodzące na taras i pokroiła warzywa, które dodała potem do pełnoziarnistego ryżu, który właśnie gotował się na ogniu.

Wiedziała, że Francisco Juárez był wegetarianinem. Właściwie wiedziała o tym nie tylko ona, ale cały wydział od tego czasu, kiedy śledczy zwołał zebranie w auli policyjnej, żeby zacząć wszystkich przekonywać do zalet zdrowego odżywiania. Wielu funkcjonariuszy wyśmiało ten pomysł i dopisali to dziwactwo do całej listy niecodziennych pomysłów ich szanowanego, ale jednak ekscentrycznego szefa. Manuela nie śmiała się z niego i znała prawie na pamięć każde słowo wypowiedziane przez Juáneza. Tamtego popołudnia młoda i piękna śledcza z Wydziału Kryminalnego mogłaby przysiąc, że zapłonęło w niej niepoahamowane pożądanie. Przez cały ten czas uczucie to trwało w niej niezmienione.

Jako profesjonalistka wiedziała dobrze, że w śledztwie nigdy nie powtarzają się raz dane szanse na osiągnięcie zamierzonych rezultatów. I nie miała zamiaru stracić swojej okazji. Uważała, że w miłości działają te same wytyczne, które znała ze spraw kryminalnych: najpierw należy poddać osobę szczegółowej obserwacji, potem opracować hipotezy dotyczące możliwości i dojść do pewności, że jeśli wykluczymy wszystko, co niemożliwe, to, co mało prawdopodobne, musi być prawdą.

Po uporządkowaniu domu zajęła się samą sobą. Niczym prawdziwa biegła wybrała strój, jak najprecyzyjniej umiała. Postawiła na sukienkę z delikatnego, jasnoniebieskiego materiału z ani głębokim, ani zachowawczym dekoltem i sandały z kolorowymi kamyczkami. Całość

dopełniały jej jedwabiste, miodowe włosy opadające poniżej ramion. Kilka kropli fiołkowych perfum i już była gotowa. Wcale nie musiała się za bardzo stroić, bo Juánez nigdy nie widział jej po cywilnemu. Odezwał się dzwonek, a serce zaczęło jej bić jak szalone. Spojrzała jeszcze raz w lustro, wygładziła sukienkę, wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi jednym pociągnięciem.

Francisco Juánez też przygotował się na tę okazję. Wyglądał o wiele młodziej. Dżinsy, adidasy na gumowej podeszwie i turkusowa koszula idealnie podkreślająca kolor jego oczu. Z najbardziej uwodzicielskim uśmiechem, na który potrafił się w tej chwili zdobyć, podniósł wysoko przed siebie butelkę wina.

– Jakiś mężczyzna chce mnie upić – powiedziała Manuela, udając zaniepokojoną.

– Radzę pani zadzwonić na 911. Tam pewno będą wiedzieli, jak pani pomóc.

Wszedł do mieszkania Manuely, śmiejąc się nerwowo. Juánez otworzył wino, a ona w tym czasie kończyła podsmażać warzywa i ryż w woku. Śledczy spoglądał na nią w ciszy z kieliszkiem wina w ręku. Miał przed sobą kogoś zupełnie nieosiągalnego. Życie równoległe do jego własnego, którego nie mógł mieć. Młodą kobietę, prawie dziewczynę, z którą spędzi tę noc. Jedną noc, nic więcej.

Manuela czuła na sobie uważne spojrzenie Juáneza oceniające jej ciało. Poczuli się niezręcznie i zrobiło jej się gorąco, ale wołała nic po sobie nie zdradzać. Co by nie mówić, przecież była przeszkolona, żeby znosić gorsze sytuacje. Obróciła się z ogromnym uśmiechem na twarzy, trzymając w obydwu dłoniach ceramiczne turkusowe naczynie. Pachniało niesamowicie. Usiedli przy aneksie kuchennym, a Juánez jeszcze raz napełnił kieliszki. Rozmawiali na jakieś błahe tematy, cieszyli się jedzeniem, winem i własnym towarzystwem.

– Dziwi mnie, że taka młoda, śliczna i inteligentna dziewczyna nikogo nie ma – rzucił Juánez pokrępowany wcześniej wypitym winem.

– Być może nie znalazłam nikogo, kto spełniałby moje oczekiwania – powiedziała kokieteryjnie Manuela.

Oboje się zaśmiali. Juánez też czuł się niezręcznie. Wszystkie umiejętności, którymi mógł się pochwalić w zakresie zmarłych nie znaczyły zupełnie nic, kiedy wkraczał na ścieżki miłości, albo tak jak teraz miał zamiar podbić kobiece serce.

– Ale chyba ty też nie masz dziewczyny? A może jednak jakąś masz?

– Nie, nie mam – odpowiedział natychmiast. – Ja mam marne szanse na romansowanie. Jestem już staruszkiem.

Śledczy spojrzał na nią i wywrócił oczami w geście bezradności. On był łowcą, a ona – jego ofiarą. Mimo że był prawie dwadzieścia lat starszy, trudno było wyczuć jakąkolwiek różnicę wieku.

– To może starszy pan będzie na tyle miły, żeby zaserwować mi kieliszek wina? – skierowała się do niego, otwarcie z nim flirtując.

Juánez zaśmiał się w głos. Coraz bardziej zaczynała mu się podobać kobieta, którą teraz miał okazję odkryć, a która wcześniej skrywała się za maską zdystansowanej i nieczulej śledczej Manueli Pelari. Nie odrywając od niej oczu, nalał im obojgu. Potrzebował kwiatowych bodźców wina. Nigdy nie miał romansu z żadną ze współpracownic, ale po tylu lat wysługi chyba mógł sobie pozwolić na pewne odstępstwa.

– Co wiesz o Minervie del Valle? – zapytała Manuela.

Juánez miał wrażenie, jakby wylano mu na głowę kubel zimnej wody. Wystarczyło zaledwie jedno pytanie Manueli, a zupełnie stracił nastrój.

– Już jest na wolności. Podejrzewam, że w domu swojej babci – odpowiedział urażony.

– Przydzieliłeś jej ochronę? – ponagliła Manuela.

– Manuela... – pomyślał Juánez, chcąc zmienić temat, ale jego rozmówczyni była niezmiernie uparta. – Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Manuela zauważyła, że to, co powiedziała, nie spodobało się Juánezowi, ale wcale się tym nie przejęła.

– Kiedy ty i ja pijemy sobie tu wino, Minervie może się coś stać. To ja tu niczego nie rozumiem. Jak możesz być tak spokojny?

Jego zły humor przemienił się w zdenerwowanie.

– O czym teraz mówisz? – zapytał. Nie został żaden ślad po jego uwodzicielskim spojrzeniu. – Szaleniec jest uwięziony w psychiatryku, a Minerva może cieszyć się wolnością w domu. Skończyło się. Koniec historii.

Manuela wiedziała doskonale, kiedy trzeba było się wycofać i zazwyczaj podejmowała ten krok, kiedy musiała zdecydować na temat bardzo ważnej sprawy. To nie była odpowiednia pora.

– Przepraszam – powiedziała ze swoim najbardziej seksownym uśmiechem. – Porozmawiajmy o czymś innym.

Juánez odłożył kieliszek na aneks kuchenny, podszedł do niej i bez żadnego słowa po prostu ją pocałował. Ona natychmiast odpowiedziała. Juánez trochę się odsunął, chcąc się jej przyjrzeć. Była tak piękna i młoda, że obawiał się, że wybudzi się z tego snu i że wszystko okaże się tylko zwykłym majakiem.

– Coś nie tak? – zapytała Manuela.

Odpowiedział jej nieśmiałym uśmiechem. Właśnie wtedy to ona postanowiła przejąć inicjatywę. Nie odrywając od niego wzroku, zdjęła sukienkę. Nie wstydziała się stanąć w samej bieliźnie przed własnym szefem.

Juánez pieścił delikatnie jej ramiona, ręce i szyję. Ona zamknęła oczy i pozwoliła, żeby doświadczony ręką śledczego robiły to, na co miał ochotę.

– Jesteś taka piękna... – szepnął.

Chrypliwy głos policjanta wyostrzył jeszcze bardziej wszystkie zmysły Manuli. Zupełnie jakby zawładnęła nią jego energia, przyparła go do cementowego aneksu kuchennego. Zdjęła z niego koszulę, nie przestając namiętnie całować, aż w końcu go rozebrała.

– Może udamy się do jakiegoś wygodniejszego miejsca, kochana? – zapytał, ściągając jej majtki. Nie chciał, żeby nawet milimetr materiału

oddzielał go od jej ciała.

– Oczywiście, szefie. Wszystko, czego pan pragnie, jest dla mnie rozkazem – odpowiedziała przepętnionym słodczą głosem.

Zabrali butelkę wina i kieliszki do łóżka. Juánez czuł się jak nastolatek. Ciało i pośpiech Manueli zadziały jak wehikuł czasu.

Pocałunki, seks, wino. Kilka słów i zaczęli całą zabawę od nowa. Po kilku godzinach oboje byli wykończeni. Juánez zasypiał powoli w ramionach tej przepięknej dziewczyny. Jego męska duma została połączona, bo to ona zasnęła jako pierwsza. Wszystko było tak, jak być powinno. On nadal był jej szefem.

Otworzył gwałtownie oczy. Przez kilka sekund nie wiedział, gdzie jest. Spojrzał w prawo i ją zobaczył. Manuela spała słodko, a jej miodowe włosy błyszcząły na poduszce. To był bardzo przyjemny widok. Noc okazała się niezwykle szalona i namiętna, a ona – niezwykłą kochanką. „To dla mnie zbyt wiele”, pomyślał, zakreślając palcem okręgi na nagim ramieniu dziewczyny.

– Dzień dobry, szefie – wyszeptała zaspana.

Juánez zbliżył się, przykrył jej prześcieradłem i mocno ją przytulił. Nie było w tym nic seksualnego, co Manuela od razu wyczuła.

– Coś nie tak, Juánez? – zapytała.

– Nie, nie. Spędziłem z tobą wspaniałą noc i chcę ci za to podziękować.

Odwzajemniła mocny uścisk.

– To brzmi jak pożegnanie – powiedziała.

Juánez wolał nic nie odpowiedzieć. Wybrał milczenie. Pogłaskał jej plecy z niezwykłą czułością. To była jego odpowiedź.

– Zrobię kawę – powiedziała Manuela, oswobadzając się z jego uścisku. Wstała z łóżka i skierowała się do małej kuchni.

Juánez nie był w stanie się powstrzymać i jeszcze raz przebiegł wzrokiem po jej ciele. Tym razem jeszcze pewniejszy wypowiedanych do samego

siebie słów wymamrotał: „To dla mnie zbyt wiele”.

Jej urok by powalający. Przygotowywanie śniadania nago było jedną z najbardziej uwodzicielskich rzeczy, jaką Juánez miał okazję ostatnio zobaczyć. W tej chwili Manuela mogłaby z nim zrobić, co tylko by sobie zażyczyła.

– Szefie, tosty są już gotowe.

– Dziękuję, kochana. – Uśmiechnął się, siedząc jeszcze w łóżku. – Chyba będziesz musiała założyć jakiś szlafrok albo koszulkę. Ja już jestem starszym panem i skacze mi ciśnienie...

– To mogłoby być zabójstwo idealne. Nie byłoby żadnych dowodów przeciwko mnie – powiedziała Manuela, eksponując swoje piękne ciało. – Co za wspaniały pomysł...

Juánez zaśmiał się w głos.

– Jeśli będziesz obchodzić się ze śledczymi w taki sposób, możesz stać się największą seryjną morderczynią w całej historii argentyńskiej kryminalistyki. Nie musisz się o to martwić.

– Nie mogłabym zrobić tego samego z nikim innym. Wystarczy mi obecny zakres władzy – powiedziała, podkreślając swoją nagość – dlatego rozkazuję panu zjeść ze mną śniadanie.

Juánez wstał i założył spodnie. Nie miał takiej śmiałości jak Manuela. Z biegiem lat traci się odwagę.

Na śniadanie wypili kawę, sok pomarańczowy, zjedli tosty z serem. Wzięli prysznic przy akompaniamencie piosenek Bon Jovi. Juánez nalegał, żeby włączyć jakiś utwór muzyki klasycznej, ale nie był w stanie sprzeciwić się nagiej Manueli.

Kiedy szukał ubrań z poprzedniego wieczoru, które w przypiływie namiętności porzucił po całym mieszkaniu, zdał sobie sprawę, że jego telefon był wyłączony. Przypomniał sobie też chwilę, w której nacisnął czerwony klawisz na komórce. Zakładając koszulkę i skarpetki, włączył urządzenie. Miał kilka wiadomości i nieodebranych połączeń. Nie udało mu się ich jednak odsłuchać. Manuela stała zawinięta w ręcznik

naprzeciwko telewizora. Coś przykuło jej uwagę. Jednym krokiem znalazł się tuż obok niej. Nie mógł uwierzyć w to, co mówiono w wiadomościach. Poczul ścisnięcie w brzuchu i gorzki posmak w ustach, a po chwili także wzrok Manueli skierowany prosto w niego. Nie miał odwagi, żeby go odwzajemnić. Śledcza bowiem nie pomyliła się: powinien był zapewnić Minervie del Valle jakąś ochronę.

We wszystkich wiadomościach powtarzano: „Morderca z północnej dzielnicy przebywa na wolności”. Mauro Solari zbiegł ze szpitala psychiatrycznego Los Tilos. Prokurator Marcos Roger oraz sędzia nadzorczy zachowywali się, jakby postradali zmysły i desperacko chcieli zatrzymać wszystkich podejrzanych, a nie zbiegłego. Nakazali przeszukać klinikę i nagrać materiał z tej operacji. Ekipa telewizyjna dotarła pod drzwi szpitala, żeby sprawiać wrażenie, że władza sądownicza może być efektywna. Ale było już za późno. Szaleńca tam nie było. Matías Aguirre łapał się za głowę i płakał w głoś, kiedy dziesiątki najlepszych policjantów zaczęło przeszukiwać wszystkie pomieszczenia w Los Tilos. Strażnik więzienny był w takim samym szoku jak psychiatra: powtarzał każdemu, kto jeszcze był na tyle uprzejmy, żeby go wysłuchać, że nikt nie wyszedł przez drzwi, których on pilnował.

Francisco Juárez wszedł do szpitala jak w ogień. Dziennikarze natychmiast się na niego rzucili, kiedy zorientowali się, że jest w budynku.

– Juárez, kto odpowiada za to, co się wydarzyło? Jesteśmy wystawieni na bezpośrednie zagrożenie?

– Nie mam zamiaru teraz odpowiadać na żadne pytania. W tej chwili musimy zająć się naszą pracą.

Po szpitalu krążyły przypadkowe osoby. Ludzie krzyczeli i biegali z jednego miejsca na drugie. Lekarze usiłowali uspokoić krewnych pacjentów, którzy przyjechali do szpitala oburzeni, że nikt ich nie powiadomił o przebywającym w zakładzie mordercy. Policjanci obstawiający drzwi odsunęli się, żeby przepuścić Juáneza, który bez pukania wpadł do gabinetu doktora Aguirre. Lekarz miał opuchniętą twarz i czerwone oczy, ale to wcale nie przejęło śledczego.

– Gdzie go, skurwysynie, schowałeś? – wykrzyczał.

– Nigdzie go nie przetrzymuję – próbował wyjaśnić, ale po raz trzeci tego dnia wybuchnął płaczem. – Przysięgam ci, że nie wiem, gdzie jest.

– Przestań ryczeć, do cholery, bo jeden mój telefon, a wylądujesz w pierdłu – jak opętany zaczął krzyczeć Juánez. – Mów do kurwy nędzy!

Aguirre zakrztusił się własnymi łzami.

– Przysięgam ci, że nic nie wiem. Wczesnym rankiem zadzwoniła do mnie pielęgniarka i powiedziała mi, że Mauro zniknął – wyjaśnił, biorąc głęboki oddech. – Pobiegiem tam i pierwsze, co zrobiłem, to zadzwoniłem do ciebie.

Nie kłamał. Jedno z nieodebranych połączeń na komórce Juáneza pochodziło od Aguirre. Po raz pierwszy śledczy pożałował wspaniałej nocy z Manuelą.

– Chyba się nie pomylę, jeśli założę, że Mauro Solari nie jest najwyższym postawionym wariatem w tym szpitalu.

– Nie – odpowiedział lekarz – wcale się nie mylisz. Mauro Solari jest chrześniakiem Alberta Echepare, szefa całego szpitala.

Juánez opuścił gabinet tak samo gwałtownie, jak wszedł. Zbiegł po schodach i stanął twarzą w twarz z sekretarką patrzącą na niego z przerażeniem.

– Gdzie jest Echepare?!

Dziewczyna odpowiedziała coś pod nosem.

– Ach... nie widziałam go dzisiaj. Ale tam znajduje się jego biuro – dodała, wskazując na srebrne drzwi.

Juánez obrócił się i otworzył je jednym kopnięciem. Za drzwiami stało imponujące biuro ze szkła i metalu. Siedzący przy nim Alberto Echepare spoglądał na śledczego bez żadnego zdziwienia. Czekał na niego.

– Zapraszam pana, Francisco Juánezie. Uprzedzono mnie co prawda, że jest pan charakterny – powiedział, rzucając okiem na drzwi, po czym dodał: – ale nigdy nie przypuszczałem, że aż w takim stopniu.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby rozmawiać o moim temperamencie. Gdzie jest ten wariat?

Echepare wstał ze skózanego, czarnego fotela. Był dużo niższy od Juáneza, ale mimo to jego sylwetka wzbudzała szacunek. Obdarzony był wyjątkową charyzmą, niezwykłą umiejętnością kierowania innymi ludźmi. Na Juáneza wcale to jednak nie działało.

– Powtórzę ci, Echepare – powiedział rozwścieczony. – Twój chrześniak jest niebezpieczną bestią. Teraz przebywa na wolności, a ja jestem pewien, że zrobił pan dużo, żeby tak się właśnie stało.

– Chwileczkę – powiedział Echepare, podnosząc jedną dłoń. – Nikt nie dba o Mauro tak jak ja. Nigdy nie podjąłbym decyzji, która mogłaby postawić go w niebezpiecznej sytuacji, a Mauro stanowczo nie jest w stanie przebywać samemu na wolności.

– Dokładnie – przerwał mu Juánez. – Gdzie więc go trzymasz?

Echepare zamilknął. Obrócił się i spojrzał za okno. Na dole, na ulicy, zebrało się jeszcze więcej dziennikarzy. Nie ulegało wątpliwości, że znaleźli swoją wiadomość dnia.

– Mauro nie zabił tej dziewczyny. To, co wyprawiacie, to czyste szaleństwo – powiedział łamiącym się głosem.

– Nie obchodzi mnie pańskie zdanie. Dowody są niepodważalne. Mauro Solari jest mordercą.

– Nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego – zapewnił i spojrzał na niego szklistymi oczami. Zaczęły mu drżeć usta. – Chłopak jest chory, to prawda, ale nikogo nie zabił.

– Echepare, musimy się wreszcie zrozumieć – powiedział Juánez. – W zasadzie jest już po panu i tym gównianym szpitaliku. Pozwoliliście, żeby jeden z waszych pacjentów poderznął gardło młodej dziewczynie, żeby zaspokoić swoje seksualne fantazje. A gdyby jeszcze tego było mało, przed chwilą zwał wam bez żadnego większego problemu. Dwa razy wypuściliście mordercę na ulice.

Alberto Echepare wbił wzrok w ziemię, kiedy wysłuchiwał uważnie tego, co miał do powiedzenia Juárez. Kiedy podniósł wzrok, śledczego już nie było. Został sam z własnymi lękami, ale przede wszystkim – z wyrzutami sumienia.

Dowiedziawszy się tylko o ucieczce Mauro Solariego, Juánez przeszedł obojętnie koło ochroniarza Los Tilos i wysłał Manuelę, żeby zajęła się Minervą. Ostatecznie to właśnie ona jako jedyna zrozumiała, że dziewczyna mogła znajdować się w niebezpieczeństwie.

Chociaż Manuela Pelari urodziła się w zamożnym domu tak jak Minerva, nieudane interesy jej ojca postawiły ich rodzinę w trudnej sytuacji finansowej, jeszcze kiedy była małą dziewczynką. Musiała ciężko pracować, żeby móc płacić za studia kryminalistyczne. Już dawno zapomniała o dawnym bogactwie. A jednak dom Inés Marii Quesady jej nie onieśmielał, bo przypominał trochę dużą posiadłość, w której dorastała. Zarówno właścicielka domu, jak i jej wnuczka wiedziały o wszystkim, co wydarzyło się w Los Tilos. Juánez zadzwonił wówczas do Inés i kazał jej trzymać Minervę pod kluczem i nie wpuszczać nikogo do domu. Zapowiedział też wizytę Manueli.

– Kochana, napijesz się herbaty? – zapytała Inés, z góry na dół taksując Manuelę wzrokiem.

– Coś się stało? Widzę, że zajmuje panią to, jak wyglądam – powiedziała otwarcie Manuela. – I tak, poproszę białą sypaną herbatę.

Inés uśmiechnęła się, nie ukrywając swojego zdziwienia. Nie była przyzwyczajona do tego, żeby ktokolwiek stawiał jej opór.

– Biała sypana herbata – powiedziała Inés i jeszcze raz spojrzała na nią oceniająco. – Widzę, że znasz się na herbatkach. My, znawcy herbaty, jesteśmy zazwyczaj bardzo eleganckimi ludźmi. A co do twojego wyglądu... no, cóż.

Po raz pierwszy od wielu lat Manuela poczuła się ponizona. Wołała zmienić temat.

– Inés, dopóki nie schwytemy Mauro Solariego, zarówno ty, jak i twoja wnuczka pozostaniecie pod opieką policji – wyjaśniła, zasiadając w przepięknym fotelu. – Taki jest nakaz sądowy. Możecie odmówić, ale radzę wam, żebyście tego nie robiły.

Staruszka słuchała jej uważnie, obracając niesamowitym akwamarynem osadzonym w pierścieniu. Podniosła oczy znad swojej biżuterii, spojrzała na marmurowe schody i uśmiechnęła się. Manuela zamilkła. Schodziła właśnie tamtędy wysoka i wyprostowana dziewczyna. Światło, które wpadało do domu przez ogromne okna, oświetlało jej czarne, długie i błyszczące włosy sięgające do ramion. Spodnie i kamizelka wyglądały na uszyte na miarę. Ale to jej zielone oczy zwróciły uwagę Manueli. Te przepiękne oczy, które Mauro Solari wymazał ze swojego graffiti. Bo dziewczyna przez niego namalowana to Minerva. Kiedy stała zaledwie kilka metrów od niej, wreszcie znalazła tego potwierdzenie.

W obecności wnuczki babcia natychmiast zmieniła sposób bycia. Pod wpływem Minery surowa i staroświecka Inés nabrała nagle nieoczekiwanej miękkości.

– Minervo, to policjantka Manuela Pelari – powiedziała, wyciągając palec wskazujący. – Przysłał ją Juárez. Wygląda na to, że zabójca Gloriany zbiegł i teraz muszą zapewnić nam ochronę.

Minerva podeszła do fotela, w którym siedziała Manuela, i stanęła obok. Nie odrywała od niej swoich zielonych oczu. Śledcza zaczęła czuć się niekomfortowo.

– Dlaczego uważacie, że ten szaleniec mógłby zrobić nam krzywdę? – zapytała dziewczyna.

Manuela wyprostowała się i zdecydowała odpowiedzieć bardziej stanowczym tonem głosu. Nie miała zamiaru być stłamszona przez towarzyszące jej kobiety.

– Wydaje mi się, że... No cóż, uważamy, że Mauro Solari wszedł do waszego mieszkania, bo tak naprawdę szukał właśnie ciebie. To był

przypadek, że Gloriana znalazła się na twoim miejscu – wyjaśniła i zamilkła na chwilę, żeby zobaczyć ich reakcję. – Ty byłeś celem mordercy. To ciebie szukał.

Minerva del Valle zaśmiała się pogardliwie w głos.

– Co za szaleństwo! Na miłość boską! – wykrzyknęła z uśmiechem na twarzy, ale prawie natychmiast spoważniała. – Chcę, żeby wszyscy zostawili mnie wreszcie w spokoju. Już mam was dosyć. Nie chcę żadnej ochrony.

– Minervo, nie bądź porywcza – zainteresowała jej babcia. – Nie mam zamiaru narażać twojego życia. W przeciwieństwie do Márquez ono akurat coś znaczy.

Manuela Pelari prawie zadławiła się herbatą. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Szybko zareagowała:

– Życie Gloriany Márquez też miało swoją wartość, pani Quesada...

Inés przerwała jej, rzucając arktycznie chłodne spojrzenie:

– Kochana, nikt nie pytał cię o zdanie. I lepiej bądź wdzięczna, że nie postawiłyśmy cię przy drzwiach w pełnym słońcu, żebyś stamtąd nas pilnowała.

Minerva przerwała wypowiedź babki, żeby rozluźnić atmosferę.

– Manuelo, bardzo cię przepraszam. Przez to, co teraz się dzieje, jesteśmy obie bardzo zdenerwowane – powiedziała i znowu założyła maskę uśmiechu, z którą się tutaj pojawiła. – Moja babcia ma rację. Oczywiście zgadzam się na ochronę.

Śledcza przyjęła przeprosiny zwykłym skinieniem głowy. Nie miała zamiaru dłużej z nimi rozmawiać. Odłożyła porcelanową filiżankę na srebrną tacę. Chwilę później zaskoczył ją dźwięk telefonu. Spojrzała na ekran i miała ochotę krzyczeć z radości. To Juánez.

– Manuela, stoję przed willą. Już postawiłem jednego policjanta przy drzwiach. Możesz opuścić budynek – powiedział.

– Dobrze.

Śledcza wstała z fotela.

– Pójdę już – powiedziała, patrząc na Minervę i Inés. – Właśnie przyjechał policjant, który będzie was pilnował.

Kobiety podniosły się jednocześnie. Naprawdę były do siebie bardzo podobne.

– Kochana, odprowadzimy cię do samych drzwi – powiedziała staruszka, idąc z nią przez korytarz. Minerva też poszła za nimi.

Kiedy we trzy doszły do bramy, Inés wyciągnęła beznamiętnie rękę. Manuela z grzeczności podała jej dłoń, a potem spojrzała na Minervę.

– Dbaj o siebie. Wszystko będzie dobrze – powiedziała i obróciła się, by opuścić willę, kiedy nagle za plecami usłyszała monotony głos Minervy del Valle.

– Ty też dbaj o siebie, Manuelo. Jesteś bardzo podobna do Márquez, a szalenciec jest na wolności.

Kiedy opuszczała posiadłość, serce biło jej jak oszalałe. Zobaczyła Juáneza opartego o radiowóz i policjanta przysłanego tutaj na służbę. Podbiegła do Juáneza i go przytuliła. Nie obchodziło jej, czy ten drugi funkcjonariusz zobaczy ją w ramionach szefa.

– Widzę, że wizyta u królowej i księżniczki nie należała do najprzyjemniejszych – powiedział, gładząc jej plecy.

– Poczułam się jak Kopciuszek.

Juánez wywrócił oczami, odsunął ją od własnej piersi i wreszcie spojrzał w oczy.

– Manu, to bardzo specyficzne kobiety. Wyrachowane, traktujące innych z pogardą, ale przede wszystkim bardzo się boją.

– Nawet najgorszy kryminalista bałby się stanąć naprzeciwko tych dwóch harpii. To prawdziwe diablice.

Obydwoje się uśmiechnęli.

– Czy wiadomo coś o tym szaleńcu? – zapytała Manuela.

– Jeszcze nic. Przeszukują jego dom. Wysłaliśmy też policjantów, żeby zrobili to samo w posiadłości dyrektora Los Tilos. Ktoś musiał mu pomóc. Niemożliwe, żeby uciekł sam.

Manuela przytakiwała mu w ciszy. Juánez nie mógł zrobić nic więcej. Policja poszukiwała Solariego. Sprawa Gloriany wydawała się zamknięta, a dwie najgorsze kobiety, jakie miała okazję spotkać w całym swoim życiu, przebywały w areszcie domowym.

– Juánez, pójdę już sobie – powiedziała i spojrzała na niego kokieteryjnie. – Jeśli masz ochotę, możesz potem do mnie wpaść i dokończymy wczorajsze wino.

– To nie jest taki zły pomysł – odpowiedział. – Zadzwoń do ciebie.

Manuela przeszła przez ulicę. Zanim wsiadła do samochodu, obróciła się i krzyknęła:

– Juánez, mogę ci zadać jedno pytanie? Czy ja jestem podobna do Gloriany Márquez?

Juánez spojrział na nią ze zdziwieniem. Widział Márquez tylko martwą.

– Chyba zwariowałaś. Wsiadaj do samochodu i jedź do domu odpocząć. Zadzwoń do ciebie później.

Patrzył, jak Manuela wsiadała do auta, zapinała pas bezpieczeństwa i powoli odjeżdżała spod willi. Nigdy wcześniej nawet przez chwilę o tym nie pomyślał, ale owszem, Manuela Pelari była dość podobna do Gloriany Márquez. Ciało, kolor włosów, jasnoniebieskie oczy, szczery uśmiech i dołeczki w policzkach. Potrząsnął głową, żeby odrzucić od siebie te nakładające się obrazy. Porównywanie zwłok z pełną życia Manuellą przyprawiało go o zawroty głowy.

– Cześć, Juánez. Masz zamiar jeszcze długo stać tutaj?

Minerva del Valle wyszła na ulicę, żeby z nim porozmawiać. Wyglądała zupełnie inaczej. Zahukana dziewczyna, którą widział kilka dni temu, stała się już odległym wspomnieniem. Śledczy zaprosił ją, żeby weszła do samochodu. Rozsiadłszy się na fotelu pasażera, nie przestawała mówić. W ciągu kilku minut opowiedziała mu o swoich przejściach w areszcie dla kobiet, o strachu, jakiego doświadczyła jej babcia, gdy dowiedziała się, że szalenciec uciekł, a nawet podziękowała z ironią za miłe spotkanie z Manuellą. Juánez w pewnym momencie jej przerwał:

– Minervo, zawołaj proszę babcię. Muszę z wami porozmawiać.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, ale wyszła z samochodu i wykonała polecenie. Kilka minut później wszyscy siedzieli w salonie. Juánez zaczął mówić powoli i z powagą.

– Sprawy wcale nie mają się zbyt dobrze. Jak już wiecie, Solari uciekł ze szpitala...

– To szalenciec – przerwała mu Inés. – Nie może uciec daleko. Zaraz go złapią i wsadzą na zawsze do więzienia.

– Nie, Inés. Nigdy nie wyląduje w więzieniu, bo ma zaburzenia psychiczne – zaznaczył, a staruszka zaczęła go słuchać. – Co najwyżej wyślą go do zamkniętego zakładu, tylko trochę bardziej strzeżonego niż Los Tilos.

– Cóż... Márquez już jest martwa – powiedziała kobieta. – Na pewno ona sama sprowokowała tego biednego wariata. To by było na tyle.

Juáneza nie tyle zaskoczyły prymitywne poglądy kobiety, co zachowanie Minery, która w milczeniu akceptowała nedorzeczną teorię babci. Manuela miała rację: te dwie kobiety były wcielonymi diabolicami.

– Inés, Mauro Solari szukał Minery – powiedział, nie odrywając od niej wzroku – i nie mam najmniejszych wątpliwości, że nadal chce ją znaleźć. Jak tylko nadarzy się okazja, stawi się u waszych drzwi. Szuka twojej wnuczki. Czy wyrażam się jasno?

Inés zaczęła się bawić swoim pięknym pierścieniem. Chciała ochronić osobę, która kochała nad życie. Minerva, z poważniejszym niż zazwyczaj wyrazem twarzy, patrzyła na nią w zaciekawieniu. Wiedziała, że jej przyszłość zależała od babci. Kiedy wreszcie przestała obracać pierścieniem, kobieta podniosła wzrok. Jej oczy, tak samo zielone jak oczy wnuczki, zaszyły łzami. Wzięła głęboki oddech i zdecydowanym tonem oznajmiła:

– Proszę być spokojnym, Juáneze. – A potem spojrzała na swoją wnuczkę.
– Minerva jutro z samego rana wsiądzie do samolotu lecącego do Ekwadoru.

Śledczy i dziewczyna zamilkli. Ani on, ani ona nie podejrzewali istnienia takiego akurat scenariusza. Nie docenili rozmachu Inés Maríi Quesady.

– Proszę, nie patrzcie tak na mnie, jestem stara, ale dobrze wiem, co robię – zapewniała, kiedy po jej pomarszczonych policzkach zaczęły spływać łzy. – Ekwador jest moim ostatnim schronieniem.

Po przyswojeniu tej nowości Juánez wstał i wyszedł. Kobiety miały zbyt wiele do przedyskutowania. Nikt nie mógł podważyć decyzji Quesady i on też nie miał zamiaru próbować tego zrobić. A zresztą serce podpowiadało mu, że faktycznie był to najlepszy sposób, żeby uchronić Minervę.

Podszedł sam do wyjścia, bo żadna z nich nie zaproponowała, że mu potowarzyszy. Po raz ostatni rzucił okiem na poruszającą scenę mającą miejsce w salonie: klęcząca Minerva chowała głowę w babcinej spódnicy, a Inés z kompletnie zagubionym spojrzeniem głaskała dziewczynę po głowie. Wyglądały, jakby już się ze sobą żegnały. Wtedy po raz ostatni widział Minervę.

Po raz dziesiąty wybrała numer telefonu komórkowego Juáneza, ale od razu włączała się automatyczna sekretarka. Dzwoniła do niego, żeby powiedzieć, że już wraca do domu. Minęły dwie godziny, a on nadal się nie pojawiał. Manuela Pelari nie chciała wyjść na stereotypową, proszącą się o uwagę dziewczynę, ale naprawdę się martwiła. „Na pewno spóźnia się, bo wyskoczyło mu jakieś spotkanie na sam koniec dnia”, pomyślała, żeby uspokoić niechciane myśli.

Po raz piąty spojrzała na siebie w lustrze, po raz czwarty zamieszała sałatkę, włączyła telewizor, żeby potem znowu go wyłączyć, nastawiła muzykę, zapaliła waniliowe świece, poszła do łazienki, żeby ocenić, czy ładnie wygląda. Ale Juáneez się nie zjawiał. Wzięła raz jeszcze telefon do ręki i napisała mu wiadomość: „Juáneez, zaczynam się martwić. Zadzwoń do mnie, jak tylko będziesz mógł. Dzięki”.

Nalała sobie kieliszek wina i od razu wszystko wypiała. Pomyślała, że może śledczy pożałował spędzonej z nią nocy i nie miał ochoty znowu się z nią zobaczyć. Pokiwała przecząco głową. „Niemożliwe, że nie zadzwonił mnie przynajmniej uprzedzić”, powiedziała sama do siebie.

Nagle zdała sobie sprawę, że nie ma prywatnego numeru Juáneza, na co uśmiechnęła się ze smutkiem. Znała na pamięć każdą część jego ciała, wiedziała, gdzie go dotykać, żeby dać mu największą przyjemność, a jednocześnie nie znała jego numeru. Poczowała się winna.

Spojrzała na zegarek: czas nieubłagalnie upływał. Nie miała żadnych wieści. Mogła zrobić jeszcze jedną rzecz, ale jak tylko o niej myślała, czuła, że cała czerwieni się ze wstydu. Już wyobrażała sobie złośliwe ploteczki, które mogłaby na siebie ściągnąć, gdyby zadzwoniła o tej porze do biura Juáneza, żeby poprosić o jego prywatny numer.

Wyłączyła muzykę i zgasiła świece, po czym nalała jeszcze jeden kieliszek wina, żeby dodać sobie odwagi. Wraz z upływem czasu coraz mniej upokarzającym pomysłem wydawało się wykonanie telefonu na komendę. Strach pozwala na takie ustępstwa. Wzięła głęboki oddech i wybrała numer telefonu.

– Dobry wieczór, komenda policji.

– Dobry wieczór. Tu Manuela Pelari, ekspertka medycyny sądowej – przedstawiła się jak zwykle, a potem zawahała przez chwilę, żałując, że nie przygotowała jakiegoś zdania wprowadzającego. – Szukam Francisca Juáneza. Potrzebuję skonsultować z nim jedną kwestię co do śledztwa, które wspólnie prowadzimy...

Ale nie była w stanie nic więcej powiedzieć, bo osoba po drugiej stronie słuchawki natychmiast jej przerwała:

– Pelari, bardzo przykro mi panią o tym poinformować, ale Juáneez uległ wypadkowi.

Zabrakło jej powietrza. Musiała usiąść na podłodze. Nagle zmiękły jej nogi. Dyspozytorka kontynuowała swoje wyjaśnienia:

– Zderzył się z drzewem. Znajduje się na oddziale w szpitalu...

– Jak on się ma? – zapytała, zdając sobie sprawę, że płacze.

– Nie mogę podać pani więcej informacji. Taki otrzymałam rozkaz. Ale jeśli się pani o niego martwi, proponuję, żeby udała się pani do szpitala policyjnego.

I raptownie zakończyła rozmowę. Manuela siedziała na podłodze i cała drżała. Była w stanie zareagować dopiero po kilku minutach. Wstała, chwyciła kluczyki od samochodu i wyszła z domu.

Dotarła do szpitala w niecałe pół godziny. Zostawiła za sobą źle zaparkowany samochód i weszła do ambulatorium. Znała to miejsce jak własną kieszeń, bo wielokrotnie odwiedzała kolegów poszkodowanych w trakcie służby. Znała też doskonale kostnicę kliniki, ale o tym wołała teraz nie myśleć.

Lekarka dyżurna poinformowała ją, że Francisco Juárez przechodzi właśnie operację w sali na drugim piętrze. Wbiegła tam po schodach. Nie chciała czekać ani sekundy na windę.

W małej poczekalni przed drzwiami sali operacyjnej było pełno ludzi. Byli to koledzy Juáneza. Oczy zaszły jej mgłą, a serce biło jak szalone. Łzy w oczach najtwardszych policjantów były najgorszym z możliwych znaków. Manuela zdała sobie sprawę, jak poważna jest cała sytuacja. Ktoś złapał ją mocno za ramię. Był to Ordoñez, ulubiony współpracownik Juáneza.

– Ordoñez, błagam cię, powiedz mi prawdę – zaczęła go prosić.

– Nie jest dobrze. Lekarz mówi, że dostał zawału podczas prowadzenia samochodu – poinformował Manuełę, na co ta złapała się za głowę. Młody policjant mówił dalej: – Stracił kontrolę nad pojazdem i zderzył się z drzewem...

– Ale jak on się ma? – zapytała jeszcze raz śledcza.

– Gdybyś zobaczyła samochód, nie mogłabyś uwierzyć, że wciąż jeszcze żyje, to prawdziwy cud – powiedział, spoglądając jednym okiem na salę operacyjną. – Właśnie go operują. Doznał wielu obrażeń.

Manuela wzięła głęboki oddech, próbując powstrzymać łzy.

– Co możemy zrobić? Tylko nie mów mi, że mam się pomodlić. Ja już od dawna zarzuciłam modlitwy – zastrzegła zdesperowana.

Ordoñez uznał, że w tej sytuacji może ją tylko objąć. Manuela mu na to pozwoliła.

– Musisz poczekać, Manu – odpowiedział. – Nie masz innego wyjścia.

Wypadek Francisca Juána był na okładkach wszystkich gazet i otwierał wiadomości telewizyjne przez kilka dobrych dni. Koledzy, sąsiedzi i rodziny ofiar, funkcjonariusze, a nawet ministrowie wypowiadali się przed kamerami, żeby wychwalać zasługi najstynniejszego policjanta w Buenos Aires. Przypominało to trochę stypę za życia. Wprowadzony w śpiączkę farmakologiczną Juárez jeszcze nie umarł. Lekarze zadbali o to, żeby jego ciało, które nie mogło pozwolić sobie na dodatkowe koszty energetyczne, funkcjonowało na najniższych obrotach.

Manuela odwiedzała szpital każdego ranka, żeby go zobaczyć, a potem wracała pod wieczór pocałować na dobranoc. Lekarze na oddziale intensywnej terapii przymykali oko na jej przedłużające się wizyty i pozwalali zostać dłużej niż innym odwiedzającym.

– Mów do niego – poradził jej neurolog. – Słyszysz cię.

– Mówię do niego, nawet mu śpiewam – zapewniła Manuela, wyciągając z torebki przenośne radio.– Przyniosłam, żeby mógł posłuchać muzyki klasycznej. Być może to mu pomoże.

– Na pewno – skwapliwie przytaknął lekarz.

Miał już właśnie odejść, ale zwlekał z opuszczeniem sali, bo odniósł wrażenie, że to właśnie ona miała prawo otrzymać wiadomość skierowaną do bliskich policjanta.

– Dzisiaj przestaniemy podawać mu leki utrzymujące go w śpiączce.

Oczy dziewczyny całe rozbłysnęły. To była pierwsza radosna wiadomość po tylu dniach cierpienia i niepewności.

– Mam nadzieję, że będę mogła być przy nim, kiedy się wybudzi.

Lekarz uścisnął czule jej dłonie i uśmiechnął się.

– Decyzja została już podjęta. Jak tylko zaczniesz odzyskiwać przytomność, będziesz pierwszą osobą, z którą się skontaktujemy.

Manuela zaczęła płakać, ale tym razem były to łzy pełne wdzięczności i nadziei.

Pieczenie w piersi było nie do zniesienia. Chciał otworzyć oczy, ale nie był w stanie, bo ołowiane powieki nie ustępowały. Czuł, że zdrętwiał mu język. I jakiś ostry dźwięk... „Co to za piekielny gwizd?”, pomyślał.

Od czasu do czasu słyszał głosy, mruki, szepty. Niejednokrotnie próbował przekazać mówiącym do niego osobom, żeby nie odchodzili. Chciał im wytłumaczyć, że przecież on cały czas przy nich był. Nie mógł jednak. Po raz kolejny zostawał sam pośrodku dziwnej nicości. Chociaż coś się zmieniło. Wszystko go bolało i zaczynało mu być niewygodnie. Koncentrując się na własnych stopach, nagle poczuł, że odzyskuje czucie w palcach. Serce zaczęło mu szybciej bić.

– Słyszysz mnie?

Juánez przestraszył się. To był głos człowieka. Nie był w stanie określić, czy był to mężczyzna, czy kobieta, ale ktoś do niego wyraźnie mówił. Chciał powiedzieć, że słyszy, ale po raz kolejny nie mógł nic odpowiedzieć.

– Juánez, jeśli mnie słyszysz, ściśnij moją rękę. Moją rękę.

Skupił uwagę na rękach. Na prawej ręce. Potem na lewej. Przez chwilę nie czuł zupełnie nic aż do chwili, gdy zaskoczyło go pulsujące w dłoni ciepło. I wtedy jego prawa ręka ścisnęła czyjąś dłoń z całej siły, jaką był w stanie z siebie wykrzesać.

– Bardzo dobrze, Juánez. Witaj wśród żywych!

Dzięki temu prostemu gestowi Juánez narodził się na nowo. Tak jak sobie to wyobrażał, Manuela była przy nim. Właśnie wtedy, kiedy jej najbardziej potrzebował.

Przez prawie dwa miesiące leki sprawiały, że czuł się, jakby był otoczony gęstą mgłą. Był i czuł. Nic więcej. Odczuwał ciepło, zimno, ochotę, żeby się roześmiać, płakać, ale przede wszystkim czuł się bardzo senny. Nie potrafił jednak precyzyjnie rozpoznać swojego otoczenia. Wydawał się przebywać na innej płaszczyźnie świadomości.

Wypadek był naprawdę ciężki. Francisco Juárez nie mógł chodzić. Miał połamane nogi i stłuczone biodro. Operacje zakończyły się sukcesem, ale rehabilitacja była długa i żmudna, mogła potrwać rok, a nawet i dłużej. Dwa razy dziennie terapeuci zabierali go z pokoju na szpitalną siłownię, żeby, jak mówili pół żartem, pół serio, wycisnąć z niego siódme poty.

– Jak poszły ci dzisiaj ćwiczenia? – zapytała zaciekawiona Manuela, jak tylko weszła do sali.

– Z pomocą chodzika stawiam już pewniejsze kroki, a dzisiaj stałem przez dziesięć minut bez niczyjej pomocy – odpowiedział spokojnie, doceniając swoje własne małe postępy.

Manuela spojrzała na niego z dumą. Wzruszało ją samozaparcie Juáneza. Kiedy była przy nim, nie zamierzała zmarnować ani sekundy, bo w obliczu tego, że może go stracić, zdała sobie sprawę, że jest w nim zakochana. Przyjaciółce wyznała wówczas, że kiedy usłyszała o śpiączce Juáneza, doszło do niej, że to mężczyzna jej życia. Gdy zaś lekarze oświadczyli jej, że powrót do zdrowia może być trudny i że jej ukochany miał przed sobą miesiące w szpitalnym reżimie, Manuela wzruszyła ramionami i bez wahania zrobiła to, co jako jedyne uważała wtedy za słuszne: udała się do sklepu z wyposażeniem domu, gdzie kupiła wazon, bo miała zamiar codziennie przynosić mu świeże kwiaty, kolorowy dywanik pod łóżko, żółte zasłony i całe mnóstwo waniliowych świeczek. W zaledwie kilka godzin nieprzyjazna sala przemieniła się w przytulny kącik. Nazwali ją gniazdkiem miłości.

Juánez pozwolił, żeby Manuela się nim zajęła. Dzięki niej miał ochotę uczyć się od nowa stawiać kroki, ale przede wszystkim bardzo chciał wrócić do domu. Jednak wciąż czekała go bardzo długa droga.

– Przyszłam, żeby dać ci buziaka przed podwieczorkiem – powiedziała Manuela. – Uciekam na chwilę do pracy i wrócę na kolację. Dasz mi przepustkę?

– Zastanowię się nad tym – odpowiedział Juánez, bo spodobało mu się to nawiązanie do ich pracy.

Pielęgniarka weszła do sali, niosąc wielką tacę z dzbankiem na herbatę, karafką z sokiem pomarańczowym i cudownie pachnącym budyniem. Manuela wykorzystała to, że kobieta weszła do pomieszczenia, żeby opuścić je w dokładnie tym samym momencie. Pocałowała Juáneza i obiecała wrócić jak najszybciej.

– Sama to przyrządziłam, Juánez – powiedziała Nélida, wskazując na budyń.

– Ach... Bardzo ci dziękuję, bo te tosty z dżemem, które robicie dla chorych, to jakiś koszmar.

– Cicho – rzuciła pielęgniarka, udając, że się na niego gniewa – kucharce należy się trochę więcej szacunku.

Juánez rozłożył ręce. Nie mógł nic więcej zrobić. Nélida była przeuroczą osobą, ale była też znana ze swojego silnego charakteru.

Dwa nieśmiałe uderzenia w drzwi wystarczyły, żeby oboje zamilkli.

– Czy czeka pan na kogoś, Juánez? – zapytała po chwili.

– Nie.

Pielęgniarka podeszła i otworzyła drzwi. Po drugiej stronie stała starsza kobieta mierząca ją wzrokiem od stóp do głów.

– Przyszłam odwiedzić pana Francisca Juáneza.

– Proszę wejść – powiedziała zawstydzona Nélida.

Juánez wychylił się, żeby zobaczyć, kto przyszedł go odwiedzić. Skręciło go w żołądku. Przed jego oczami stanęła Inés María Quesada.

Wyglądała olśniewająco jak zawsze. Sukienka w kolorze mahoni, czerwona chustka, idealnie uczesane włosy i te błyszczące, zielone oczy.

– Co u pana, panie policjancie? – zapytała z niezwykle uprzejmym uśmiechem na ustach.

– Co za niespodzianka, Inés – powiedział szczerze zdziwiony Juánez.

Nélida tymczasem wyszła po cichu.

– Ma pani ochotę na filiżankę herbaty? – zaproponował śledczy. – Niestety będzie pani musiała sama się obsłużyć. Kilka minut temu była tu Manuela, która mi pomaga, ale już poszła. Nie minęła się pani z nią na korytarzu?

– Nie – odpowiedziała Inés, nie komentując tego, co powiedział. Potem uśmiechnęła się do niego z wrodzoną elegancją i podała mu filiżankę. – Proszę.

Juánez wziął od niej filiżankę i podziękował.

Staruszka usiadła w miękkim fotelu, który Manuela postawiła przy jego łóżku. W ciszy, jakby praktykowała jakiś sekretny rytuał, wypija swoją herbatę.

Juánez nadal czuł, że skręca go w żołądku. Od dnia wypadku nie myślał o morderstwie Gloriany. Wymazał ją ze swojej pamięci. Fakt, że Inés była teraz tak blisko niego, sprawił, że wszystkie wspomnienia nagle powróciły. Przygnębiła go myśl o tym, że tak długo przebywał zamknięty w szpitalu, próbując dojść do siebie. Poczuł, że ma gęsią skórę i że do oczu cisną mu się łzy. Ta przygoda ze śmiercią odkryła nieznane mu dotąd pokłady wrażliwości i wcale mu się to nie podobało.

Inés odłożyła filiżankę na stolik nocny i w końcu przerwała ciszę.

– Cieszę się, że został pan po tej stronie, z nami. Bardzo bym żałowała pańskiej śmierci – powiedziała z uśmiechem. – Mówię to panu prosto z serca.

– Dziękuję, Inés. Widocznie to nie była moja kolej – odpowiedział Juánez, uważnie jej się przyglądając. Przez sekundę wydawała mu się nawet wzruszona.

– Przyszłam, żeby panu podziękować.

Juánez położył filiżankę po drugiej stronie stolika i wychylił się do przodu. Inés Quesada komukolwiek wdzięczna... wydawało mu się to tak mało prawdopodobne, że tylko się do niej uśmiechnął.

– Proszę się nie śmiać, panie policjancie. Ta sytuacja wcale nie wydaje mi się zbyt przyjemna – powiedziała, patrząc w podłogę. – Dzięki panu moja wnuczka Minerva nie gnije teraz gdzieś w więzieniu.

– Co u Minervy? – podjął śledczy.

– Wszystko dobrze – zaskakująco twardo odpowiedziała kobieta.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy Juánez poczuł na nowo, że jest śledczym. Myślał, że już zapomniał, jak to jest, ale był w błędzie. W głowie natychmiast zapaliła mu się lampka ostrzegawcza. Uśpiona przez tyle czasu zmora nagle wybudziła się z letargu.

– Porozmawiajmy o Minervie – odważył się zacząć.

Kobieta spojrzała na własne dłonie i zaczęła bawić się pierścionkiem z czerwonym kamyczkiem. Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Po tym wszystkim Minerva wyprowadziła się do Ekwadoru.

– Ekwador... – szepnął Juánez – jej ostatnie schronienie.

– Moje ostatnie schronienie – powtórzyła kobieta, kiwając głową.

Inés zamilkła, patrząc na niego z całkowicie zagubionym spojrzeniem. Juánez, jak każdy pies policyjny, nie tracił raz złapanego tropu.

– Kiedy wyjechała pani wnuczka? – zapytał.

– Odprowadziłam ją na samolot jeszcze w dniu pańskiego wypadku – powiedziała i spojrzała na niego poważnie. – Minerva o niczym nie wie.

Kiedy wiadomość pojawiła się w mediach, nie było już jej w kraju.

Juánez jej przerwał:

– Dlaczego Ekwador?

– A dlaczego nie? – oddała szybko pytanie.

– Nie odwracaj kota ogonem, Inés.

Kobieta spojrzała na niego, ważąc słowa. Powoli zdjęła czerwoną chustkę z głowy, złożyła ją bardzo skrupulatnie i zawiesiła materiał na oparciu fotela. Swoimi starczymi rękami wygładziła dół sukienki. W zupełnym spokoju wzięła głęboki oddech i wreszcie przemówiła.

– Wysłałam Minervę do Ekwadoru, żeby szczęście lub przeznaczenie, jak pan woli, połączyło wreszcie rzeczy, które w przeszłości nigdy nie powinny były zostać rozdzielone.

Inés przerwała swoją wypowiedź, czekając na pytania z jego strony. Ale ich nie było. Juánez zrobił to, co powinien: zachował ciszę. Kobieta, wdzięczna za ten gest, ponowiła swoje wyjaśnienia:

– Miałam piętnaście lat, kiedy zakochałam się jedyny raz w życiu. Byłam najpiękniejszą i najbogatszą dziewczyną w tym mieście. A mężczyzna, który skradł moje serce, również był piękny, ale niestety bardzo ubogi – powiedziała, wykrzywiając usta. – Grzech, za który musiałam potem zapłacić. To była bardzo wysoka cena.

– Nie wiedziałem, że pani mąż pochodził z ubogiej rodziny.

Inés wbiła w niego spojrzenie.

– Ależ ja nie mówię o swoim mężu. Miłość mojego życia przytrafiła mi się, zanim wyszłam za mąż. Nazywał się Hilario Robledo i był wolnym duchem, filozofem, który nie mógł sobie wybrać chyba lepszego miejsca na śmierć. Moja matka nazywała go po prostu chamem.

– Historia jak z powieści...

– Zupełnie nie. Historie miłosne tworzą się między dwojgiem ludzi, a w tej parze kochałam tylko ja. Ten pseudofilozof tylko pragnął majątku – powiedziała ostro i poruszyła ręką, jakby odpędzała złe duchy przeszłości.

– Moja matka, Lourdes, nienawidziła go i namówiła mojego ojca, żeby zajął

się tą sprawą. zaproponował mu pewną kwotę, którą ten głupiec przyjął z wielką radością.

– Bardzo mi przykro, Inés. Ale nadal niczego nie rozumiem.

Kobieta spuściła wzrok na podłogę. Zaczął jej drzeć głos.

– Zaszłam w ciążę z Hilario Robeldo.

Juánez natychmiast się wyprostował. Poczul ukłucie w biodrze, ale nie za bardzo się nim przejął. Historia zaczynała go coraz bardziej intrygować.

– Z tego, co mi wiadomo, ma pani tylko jedną córkę. Mamę Minervy.

– To moje drugie dziecko, które urodziło się, kiedy byłam już mężatką – powiedziała i prawie szeptem dodała: – Moje pierwsze dziecko urodziło się w Ekwadorze.

Ostatnie schronienie, Ekwador. Powoli wszystkie elementy zaczynały układać się w logiczną całość. Juánez po raz kolejny zamilknął. Nie chciał powiedzieć czegoś nie na miejscu.

– Kiedy zrozumiałam, że jestem w ciąży, nie miałam już innego wyjścia i musiałam porozmawiać z matką. Uderzyła mnie w twarz tak mocno, że aż wygięło mi szyję – powiedziała i dotknęła policzka, jakby nadal palił ją z bólu. – Nie wahając się ani przez chwilę, matka podjęła od razu decyzję i wysłała mnie bardzo, bardzo daleko, żebym tam urodziła swojego bękarta. Tak właśnie nazwała moje dziecko.

– Do Ekwadoru...

– Tak, wysłali mnie do klasztoru w Guayaquil. Moja rodzina łożyła duże sumy na Kościół w naszym kraju, więc domyślałam się, że była to forma odwdzięczenia się za regularne wsparcie finansowe. Nigdy nie odważyłam się zapytać.

– I co się stało z dzieckiem?

– Urodziło się tam. Zakonnice odebrały poród – powiedziała i wzięła głęboki oddech. – Był przy mnie tylko jeden dzień. Zmuszono mnie do jak najszybszego powrotu do Buenos Aires. I wysłuchałam tego rozkazu.

– Niczego się potem pani nie dowiedziała o swoim synu? – zapytał Juánez, próbując ukryć oburzenie.

– Kiedy wróciłam do Argentyny, moja siostra Sarita Raquel rozchorowała się i umarła. – Pierwsze łzy spłynęły po policzkach Inés. – Nie miałam zbyt wiele siły, żeby myśleć o synu, dziecku, którego nigdy tak naprawdę nie chciałam mieć. Pustka po utracie siostry była tak wielka, że zajęła całe moje serce. Ale po jakimś czasie skontaktowałam się jednak z zakonem. Powiedziano mi, że mój syn ma się dobrze i że zamieszkał z rodziną w Ekwadorze, w miejscowości Baños.

Juánez zaczął rozumieć coraz więcej i dlatego postanowił zadać więcej pytań.

– Dlatego wybrałaś Ekwador dla Minery?

– Tak. Już to panu powiedziałam na początku tej rozmowy, Juánez. Jestem już stara i mam nadzieję, że to miejsce...

Przerwała i zawiesiła głos.

– Czy Minerva wie o tym wszystkim? – podjął śledczy.

– Nie, w żadnym wypadku – powiedziała, wycierając łzy w czerwoną serwetkę. – Już panu powiedziałam: miejsce może okazać się odpowiednie lub nie. Minerva zupełnie nic nie wie.

– Co ma być, to będzie... – powiedział.

– Dokładnie. To właśnie będzie – uśmiechnęła się Inés.

Oboje zamyślili się w milczeniu. Inés zgodnie ze swoim zwyczajem zaczęła bawić się pierścionkiem. Juánez oparł się wygodnie na poduszkach, żeby się zrelaksować.

– Dziękuję za zaufanie, Inés.

– Nie ma za co. Pan zaufał mojej wnuczce. Proszę przyjąć moje zwierzenie jako akt wdzięczności z mojej strony.

Nie mieli o czym więcej rozmawiać. Inés wstała, zawiązała chustkę wokół szyi, dokładnie tak powoli, jak wcześniej ją zdjęła. Wyglądała, jakby spadł jej kamień z serca. Na pewno uwolniła się od okropnego ciężaru, który dźwigała przez te wszystkie lata. Juánez śledził uważnie każdy ruch tej niezwykłej kobiety.

Inés sięgnęła po małą brązową torebkę i z trudem otworzyła srebrne zapięcie. Gestem godnym królowej wyciągnęła fioletową szkatułkę. Juánez zmarszczył brwi i potrząsnął ze zdziwienia głową. Zrozumiał, że to jakiś znak, kolejna poszlaka. Wbił w nią wzrok. Uśmiechnięta kobieta zrobiła parę kroków do łóżka, na którym położyła pudełeczko. Nie odrywając od niej wzroku, śledczy zaczął:

– Znalazłem taką samą obitą aksamitem, fioletową szkatułkę w szufladzie w pokoju Gloriany i Minervy.

Juánez spojrzał uważnie na Inés. Chciał usłyszeć, co ma do powiedzenia. Kobieta wzruszyła ramionami.

– Możliwe, że tak. Minerva ma taką samą. Może ją pan otworzyć, jeśli ma pan ochotę – powiedziała zachęcająco, wykonując jednocześnie zapraszający gest ręką. Dodała: – To prezent.

Juánez bardzo powoli otworzył pudełko. Na jedwabnej poduszeczce leżała kryształowa, rzeźbiona sowa o długości około siedmiu centymetrów. W miejscu oczu miała inkrustowane zielone kamienie. Juánez wyjął ją i zaczął się przyglądać.

– Jest wspaniała, Inés.

– Jej oczy to prawdziwe szmaragdy – wyjaśniła i usiadła na jednym brzegu łóżka. – To ma dla mnie naprawdę ogromną wartość.

Śledczy odłożył figurkę do szkatułki i spojrzał w zielone oczy kobiety, tak samo intensywnie zielone jak szlachetne kamienie.

– Bardzo dziękuję pani za tak miły upominek. To dla mnie naprawdę ogromny przywilej. Nie wiem, czy mogę w ogóle to przyjąć.

Inés machnęła ręką.

– Juánez, niech się pan nie wygłupia. Bardzo by mi zależało na tym, żeby to w pana rękach znalazła się ostatnia z mojej kolekcji sówka.

– To jest ich więcej? – zapytał mężczyzna.

– Tak – odpowiedziała szybko.

– Inés, czuję, że czegoś mi pani nie powiedziała.

Kobieta zamilkła. Ostrożnie wyjęła Juánezowi szkatułkę z rąk, otworzyła ją i spojrzała na figurkę z takim wyrazem twarzy i uwagą, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

– Hilario Robeldo, ten cham, który wymienił moją miłość na pieniądze mojego ojca, był filozofem. Jego jedynym majątkiem były trzy fioletowe, wyłożone aksamitem szkatułki należące od lat do jego rodziny – powiedziała, podnosząc wzrok, żeby spojrzeć Juánezowi w oczy. – W każdym pudełku znajduje się kryształowa figurka sowy. Wszystkie trzy są identyczne.

– A pozostałe szkatułki?

Inés, teraz już całkiem podirytowana, rzuciła mu gniewne spojrzenie. Nie lubiła, kiedy ktoś jej przerywał. Kontynuowała opowieść, nie zwracając uwagi na pytanie śledczego.

– Ostatniej nocy, kiedy widziałam się z Hilario, poszłam do pensjonatu, w którym mieszkał. Chyba znajdował się gdzieś w pobliżu San Telmo. W tym brudnym pokoju powiedział mi, że wszystko między nami skończone. Właśnie tam podarował mi te trzy szkatułki. Włożył je do kartonu.

– A może Hilario naprawdę panią kochał.

Inés kiwnęła przecząco głową.

– Nie, w żadnym wypadku, mój drogi. To było poczucie winy, czyste poczucie winy. Ten kłamca miał już wówczas w kieszeni pieniądze rodziny Quesada – odpowiedziała, a potem wstała z łóżka i wygładziła sukienkę. – Jakiś ostatni gest uczciwości popchnął go do tego, żeby podarować mi swoje rodzinne pamiątki. Ale to był tylko jakiś zbłąkany wyrzut sumienia.

– A pozostałe sowy? – Juánez ponowił pytanie.

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Ale jest pan uparty, panie policjancie. Jedną sówkę ma moja wnuczka Minerva...

– Ach, dlatego tamta szkatułka była pusta – pomyślał na głos Juánez. – Tak, słucham panią...

– Mówiłam panu, że Minerva ma jedną z nich. Tu mamy drugą – powiedziała, wskazując na figurkę leżącą na jego piersi. – A trzecia...

Inés przerwała mu w pół zdania i powtórnie zasiadła na fotelu przy łóżku. Ze szklanki stojącej na stoliku nocnym upiła łyk wody, po czym dokończyła:

– Trzecią sówkę zostawiłam mojemu dziecku w Ekwadorze – powiedziała, a oczy znowu napłynęły jej łzami. – Zrobiłam mu na drutach niebieski kocyk i zostawiłam tę figurkę. Koniec końców to jedyna rzecz, którą mógł otrzymać od swojego ojca...

– I swojej mamy – wyszeptał Juánez.

– I swojej mamy – potwierdziła Inés.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Juánez prawie znieruchomiał, poruszony historią, którą opowiedziała mu ta żelazna dama. Inés patrzyła na własne dłonie i obracała kamieniem w pierścionku. To ona przerwała milczenie, żeby zrobić to, co zostało do zrobienia: pożegnać się.

– Już pójdę, panie policjancie. Dobrze wiedzieć, że ostał się pan przy życiu – powiedziała, wstając z fotela.

– Inés – zaczął, a kobieta spojrzała na niego – dziękuję ci za sówkę. Ale przede wszystkim dziękuję za zaufanie. Czy pani tu jeszcze wróci? – zapytał.

– Nie, nie wrócę – odpowiedziała bez wahania. – Nie umiałabym spojrzeć panu w oczy. Czasami, panie policjancie, zaufanie prowadzi do niechcianych zwierzeń. A ja wolę pozostać elegancką i tajemniczą kobietą.

Juánez uśmiechnął się. Czuł jednocześnie wdzięczność i współczucie. Wolałby móc myśleć, że jeszcze kiedyś zobaczy Inés Marię Quesadę, ale chciał uszanować jedno z jej być może ostatnich życzeń: chciała pozostać elegancką i tajemniczą kobietą.

Opuściła salę tak samo dyskretnie, jak się w niej pojawiła. Kiedy śledczy został sam, wyciągnął kryształową sówkę z aksamitnej szkatułki. Przez kilka minut uważnie jej się przyglądał. Był to niezwykle przedmiot, pełen

wspomnień i łez, a jednocześnie – dowód zdrady. Poczul rozpierającą go od środka dumę. Jego praca pomogła mu stać się trzecią najważniejszą osobą w życiu tak niezwykłej kobiety jak Inés. Położył się wygodnie na poduszce i powoli poczul, że oczy same mu się zamykają. Był zmęczony. To było popołudnie pełne emocji. I chociaż to nie on je przeżywał, czuł, że bardzo go to wykończyło. Jego ciało zaczynało się rozprężyć, a chwilę później wreszcie zasnął.

Być może nie minęło za dużo czasu, a może właśnie bardzo dużo. To mogła być godzina lub dwie. Juánez obudził się gwałtownie, bo coś ewidentnie go gniotło. Poruszył swoimi sfatygowanymi kolanami. Ale to nie jego nogi zmalretowane wypadkiem i operacjami były źródłem bólu. Poruszył też biodrem. To też nie to, co powodowało to dziwne klucie. Po kilku sekundach go olśniło i zdał sobie sprawę, że ból pochodzi z prawego ramienia. Usiadł z niemałymi trudem. Każdy ruch wciąż był dla niego torturą. Palcami u lewej ręki dotknął miejsca klucia. „Skąd to klucie, do cholery?“, pomyślał, ale szybko się zorientował: kryształowa sowa. Zasnął na niej. Wyciągnął ją ostrożnie i położył po drugiej stronie łóżka.

Zaświecił lampkę nocną. Chciał zobaczyć miejsce ucisku. Chociaż nie widział dokładnie, nie miał żadnych wątpliwości. To, że zasnął na kryształowej figurce, doprowadziło do powstania rany. Ciosane szkło potrafi być bardzo ostre. Usiadł i przechylił głowę w stronę ramienia. Został mu ślad. Serce zaczęło mu mocniej bić.

– Nie, przecież to niemożliwe – szepnął. – Przecież to niemożliwe.

Przetarł oczy i jeszcze raz spojrział na ranę. Chociaż bardziej wyglądało to na odgniecenie, a nie ranę. Jak tatuaż. Sówka odbiła mu się na skórze. Zakręciło mu się w głowie.

Gdyby nie leżał w łóżku, musiałby usiąść, żeby się nie przewrócić. Teraz nie było miejsca na żadne wątpliwości. Zamknął oczy tak mocno, że aż zabolowały go powieki. Przed jego oczami pojawiła się twarz Cristiana Ado, asystenta śledczego Aguady. Wspomnienie było tak precyzyjne, że nawet był w stanie poczuć zapach kostnicy, mieszanek krwi i płynu dezynfekującego. „Morderca zabrał ze sobą narzędzie zbrodni. Kto jest w posiadaniu tego przedmiotu, ten ma wszystko”, powiedział Cristian, kiedy odkryli coś w rodzaju tatuażu na nodze zamordowanej Gloriany Márquez. Zabójca przesunął ciało dziewczyny, żeby zabrać przedmiot odcisnięty na ciele ofiary. Ten tłumaczący wszystko przedmiot właśnie odbił też znamię na jego własnej skórze. To ta niepozorna sówka skrywała o wiele więcej tajemnic, niż wcześniej mógł przypuszczać.

„Tylko trzy osoby mają tę sówkę – pomyślał Juánez – porzucony przez własną matkę w Ekwadorze lata temu chłopak, poturbowany śledczy i Minerva. Minerva del Valle”. Wściekły rzucił figurką o ścianę i usłyszał odgłos rozbijającego się na setki kawałków szkła. Położył się i zasłonił twarz ramieniem.

Leżał całkowicie sparalizowany i zdekoncentrowany. Czuł się okropnie. Odkrycie własnych błędów pozbawiło go wszelkich sił. Pomyślał, że jest żalospną imitacją jakiegoś superbohatera z postrzępioną i wyblakłą peleryną, na co na jego usta mimo woli wystąpił smutny uśmiech.

Mimo że słyszał nieprzerwanie jeżdżące po korytarzach we wszystkie strony wózki pielęgniarek, do jego uszu doszła jedna rozmowa. Był to głos

Manueli rozmawiającej z jego lekarzem, doktorem Marini.

– Powrót do sprawności fizycznej może być wolny, ale silna wola Francisco na pewno pomoże mu osiągnąć zamierzone rezultaty – powiedział Marini.

Juánez nie potrafił sobie przypomnieć nikogo – poza zaprzyjaźnioną dziennikarką, która dzwoniła do niego po informacje – kto zwracałby się do niego po imieniu. „Francisco” brzmiało dziwnie obco, jakby chodziło o kogoś zupełnie innego. Z tego też powodu Juánez nigdy nie poprawił lekarza. Wolał podzielić swoje życie na dwa etapy: jego wcześniejsze życie przed wypadkiem i terażniejszość.

– Panie doktorze, martwi mnie jego serce. – Głos Manueli brzmiał, jakby naprawdę bała się o jego zdrowie. – Praca Juáneza stawia go bezustannie w stresujących sytuacjach.

Lekarz przerwał jej wypowiedź. Juánez z dużym wysiłkiem wreszcie usiadł na łóżku i przechylił ciało do przodu, żeby wszystko słyszeć. Na szczęście nie mógł dostrzec przestraszonej twarzy doktora Mariniego, kiedy udzielał Manueli odpowiedzi.

– Musimy być ze sobą szczerzy – powiedział i zamilknął na chwilę, żeby przemyśleć to, co miał powiedzieć. – Francisco nie może wrócić do żadnej pracy, w której byłby narażony na takie sytuacje. Jego serce zostało w znacznym stopniu uszkodzone. Decyzja o powrocie do policji mogłaby go zabić. Wcześniej czy później. Nie umiem dokładnie powiedzieć kiedy.

– Doktorze Marini... – oczy Manueli napłynęły łzami – śledztwa stanowią dla Juáneza sens życia. To byłoby dla niego zbyt trudne.

– Decyzja należy do Francisca. On już będzie wiedział, co powinien zrobić, a przede wszystkim, jak szybko zamierza umrzeć – powiedział lekarz, kładąc jej jedną rękę na ramieniu. – Musisz zrozumieć, że nic nie zależy od nas.

Po drugiej stronie drzwi Juánez zamknął właśnie oczy i oparł głowę o ścianę. Nie chciał już słyszeć niczego więcej, zupełnie wystarczyło mu to, co usłyszał. Wszystko zostało już powiedziane.

Poczuł gorące łzy spływające mu po policzkach. Płakał nad samym sobą. Płakał nad Glorianą. I nad tym biednym chłopakiem, Maurem Solarim. Płakał też nad nią. Nad morderczynią – Minervą.

Gloriana Márquez dotarła do domu zaledwie kilka minut po północy. Weszła do mieszkania, które dzieliła ze swoją przyjaciółką Minervą. Trzasnęła drzwiami, rzuciła torebkę na podłogę i zaczęła płakać. Przed chwilą pokłóciła się ze służącą swojego chłopaka. A że tamten nie miał za grosz charakteru, nawet jej nie obronił. Nie zamierzała spocząć, dopóki rodzina Linares nie zwolni tej źle wychowanej Peruwianki, która flirtowała bezczelnie z Rodrigo.

Skierowała się do kuchni, otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę piwa. Musiała napić się czegoś orzeźwiającego. Nieumyte naczynia wypełniały zlew, a znalezienie czystej szklanki zajęło jej dobrą chwilę.

Wypiła piwo od razu. Musiała zamknąć oczy, kiedy alkohol zaczął palić ją w gardle. Umyła naczynia i szmatką nasączoną płynem przetrła blat. Miała już dosyć życia w brudzie.

Z butelką w dłoni weszła po schodach na górę. Skrzypienie metalowych stopni wprawiło ją w jeszcze gorszy nastrój. Usiadła na łóżku i odłożyła piwo na szafkę nocną. Musiała zrobić coś ze swoim chłopakiem, swoim życiem, ale przede wszystkim – z Minervą. Nie mogła jej dłużej znosić.

Kiedy wprowadziły się tutaj razem, myślała, że będą codziennie imprezować. Ale wcale tak nie było. „Skończona dziwka, najgorsza osoba na świecie”, mruknęła sama do siebie, ściągając sandały.

Wyciągnęła szufladę szafki nocnej i zaczęła wertować jej zawartość. Jak to miała w zwyczaju, przeliczyła banknoty w różowym plastikowym portfelu. Kwota się zgadzała, niczego nie brakowało. Bała się, że Minerva zacznie wyciągać ich zaoszczędzone pieniądze, żeby spłacić jeden ze swoich wielu długów.

Zdjęła spódnicę i została tylko w niebieskiej koszulce. Rozważała wzięcie prysznic, ale była za bardzo zdenerwowana.

Usiadła na łóżku, opierając plecy o ścianę. Kiedy nastawiała budzik, usłyszała, jak na dole otwierają się drzwi. Wzięła głęboki oddech i wywróciła oczami. Właśnie wróciła Minerva.

– Gloriana, jesteś na górze? – krzyknęła.

– Gdybym teraz spała, tobyś mnie właśnie obudziła, Lunga – odpowiedziała jej opryskliwie.

– Nie nazywaj mnie tak – odpowiedziała jej obrażona Minerva.

Gloriana wzięła głęboki oddech. Odłożyła gwałtownie budzik na stolik nocny i usiadła na łóżku. Już nie wiedziała, czy bardziej denerwowało ją skrzypienie metalowych schodów, po których wchodziła Minerva, czy ona sama.

– Co ci jest? – zapytała Minerva, siadając na łóżku.

– Ta pieprzona czarnucha, służąca Rodrigo chce się z nim przespać. Pokłóciłyśmy się – odpowiedziała Gloriana.

Minerva odpowiedziała jej ironicznym uśmiechem. Poprawiła poduszki.

– Ach, Gloriana, Gloriana. Na pewno już go bzyknęła. Zapomnij o tym.

Zapadło milczenie. Obie patrzyły na siebie, rozważając, w jaki sposób można by najbardziej skrzywdzić przyjaciółkę. Minerva doskonale wiedziała, jak sprawić, żeby Gloriana czuła się jeszcze mniej pewna siebie. Ale sama wcale nie czuła się lepiej.

– Lunga, jesteś mi winna kupę kasy. Lepiej pomyśl, skąd ją wytrzaśniesz. Znudziło mi się bycie twoim bankomatem.

– Nie nazywaj mnie ciągle „Lunga” – szepnęła Minerva, zaciskając zęby.

Gloriana usiadła jeszcze raz na łóżku i sięgnęła do szuflady w stoliku nocnym. Minerva wyprostowała się i spojrzała na nią.

– Czego szukasz?

Gloriana nie odpowiedziała skupiona na przewracaniu zawartości szuflady. Otworzyła aksamitną szkatułkę, pusząc się przed współlokatorką.

Wiedziała, że właśnie tam znajdował się jej jedyny skarb. Była też świadoma tego, że miała nad nią przewagę.

– Lunguita, dopóki nie oddasz mi pieniędzy, ja zatrzymam sobie tę głównianą sówkę...

Minerva przerwała jej najbardziej oziębłym głosem, na jaki była się w stanie zdobyć.

– Już wystarczy, idiotko. Odlóż to na miejsce – rozkazała stanowczo. – Koniec żartów. Zostaw moje rzeczy.

Blondynka zaśmiała się w głos.

– To są niby twoje rzeczy? Lepiej się nad tym zastanów. To moja kasa, więc lepiej mi ją szybko oddaj.

Tym razem nie miała na tyle odwagi, żeby nazwać ją Lunga. Wściekłość, która emanowała z zielonych oczu Minervy, przerażała ją, ale starała się tego nie okazywać.

– Ty oddasz mi kasę, a ja oddam ci sówkę – powiedziała. – To chyba uczciwy układ.

Minerva zerwała się nagle na nogi i wyrwała jej szkatułkę z rąk. Blondynkę zamurowało.

– Dobrze, dobrze – powiedziała, podnosząc ustępliwie ręce. – Po prostu oddaj mi kasę. I nie rób z siebie wariatki.

Minerva schowała szkatułkę, wyjęła silikonową nakładkę, którą Gloriana zakładała na noc, i rzuciła ją jej w twarz.

– Połóż się już spać, ty dziwko. Nie mam zamiaru dłużej cię wysłuchiwać.

Gloriana spuściła oczy i założyła nakładkę na zęby. Czasami bała się przyjaciółki. Pomyślała, że mogłaby pójść spać do rodziców, ale była już tak zmęczona, że postanowiła jednak zostać.

Niekiedy błędy mogą kosztować naprawdę wiele. Czasami nawet trudno sobie wyobrazić, jak wiele. Gloriana Márquez nie była w stanie przewidzieć konsekwencji swojej decyzji. Nie mogła wiedzieć, co wydarzy się, jeśli

zostanie w domu. Przecież tak naprawdę nie zdawała sobie z niczego sprawy. Na własne nieszczęście.

Minerva zerwała się nagle z łóżka. Bolały ją ramiona i szyja. Spędziła noc na kanapie w salonie. Nie była w stanie znieść tego, że Gloriana oddychała głośno w łóżku obok. Poruszyła głowę, próbując rozciągnąć przykurczone mięśnie. Rzuciła okiem na zegarek na bransolecie. Została jej jeszcze godzina do tego, żeby zadzwonił budzik Gloriany. Musiała wyjść wcześniej. Nie miała zamiaru z nią rozmawiać. Postanowiła poprosić babcię o pieniądze. Nienawidziła, kiedy Inés musiała jej pomagać, ale nie miała innego wyjścia.

Poszła do kuchni i wypła łyk wody prosto z butelki stojącej w lodówce. Grzbietem dłoni wytarła usta. Zauważyła, że Gloriana umyła naczynia. Uśmiechnęła się mimowolnie. Te małe sukcesy nad współlokatorką sprawiały jej ogromną przyjemność, chociaż w głębi duszy czuła się naprawdę źle. Czuła, że jest tylko zwykłą dziewczyną.

Weszła powoli po schodach. Nie chciała narobić hałasu. Weszła do łazienki i wzięła szybki prysznic. Ubrania, które miała na sobie włożyła do reklamówki z supermarketu. Kiedy zakładała czystą bieliznę, zaplanowała wszystko oddać później do pralni. Wybrała czerwone koronkowe majtki. W kilka chwil dobrała lekką sukienkę w kwiatki i pasujące do niej sandały. Dzień zapowiadał się na bardzo upalny.

Spojrzała na zegarek. Za pół godziny miała wybić dziesiąta. W agencji reklamowej pracowało się dzisiaj z domu. Nie trzeba było przychodzić do biura. Mimo wszystko Minerva zamierzała tam pójść, żeby uporządkować dokumenty i skończyć pracę nad projektem zaproszeń dla operatora sieci komórkowej, który organizował imprezę na plaży Pinamar. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, być może będzie mogła pojechać z nimi nad morze.

Przejrzała się w lustrze w łazience. Miała cienie pod oczami i była dość blada. Uczesała długie proste włosy, założyła cienką, skórzaną opaskę i zamaskowała ciemne plamy pod oczami, a na usta nałożyła błyszczący. Kiedy sprawdzała efekty swojej porannej metamorfozy, poczuła ucisk w brzuchu. Wróciło do niej wspomnienie wczorajszej kłótni.

„Co za szmata”, szepnęła.

Wyszła z łazienki i podeszła aż do łóżka Gloriany. Dziewczyna spała głębokim snem. Pośród pościeli widać było tylko nieład miodowych włosów. Minerva ostrożnie otworzyła szufladę w szafce nocnej. Nie chciała obudzić swojej przyjaciółki. W końcu znalazła to, czego szukała. Poczowała ogromną ulgę. Aksamitna szkatułka leżała na swoim miejscu. Wzięła ją do rąk z należytych szacunkiem. Był to najcenniejszy prezent, jaki otrzymała od swojej babci. Przypomniała sobie dzień, kiedy ją dostała. Minęło już piętnaście lat od tamtej chwili. Inés otworzyła wtedy swoją zaczarowaną szafę.

– Minervo, nadszedł czas, żebyś otrzymała mój amulet.

– Co to jest amulet? – zapytała dziewczynka.

– Taki przedmiot, który będzie cię chronił od złego. Coś, co przepędzi wszystkie złe duchy.

Kiedy Minerva zobaczyła kryształową sówkę po raz pierwszy, rozplakała się ze szczęścia. Była tak cudowna, że bała się, że się zbije i że amulet przestanie działać. Babcia uspokoiła ją. Przytuliwszy mocno, zostawiła ją samą ze szklaną sówką. Ciekawość pchnęła małą Minervę do otwarcia w sekrecie szafy babci, gdzie na jednej ze szklanych półek stały dwie takie same fioletowe aksamitne szkatułki. Otworzyła je. W pierwszej znajdowała się druga sówka, ale druga była pusta.

– Babciu, brakuje jednej sówki. Zgubiła ci się? – zapytała dziewczynka.

– Nie, podarowałam ją komuś, kto potrzebował anioła stróża...

Minerva nie odważyła się zadać więcej pytań. Oczy babci zaszyły łzami, co niezmiernie ją zaskoczyło, a nawet przestraszyło. Mimo swojego wieku, wiedziała, kiedy trzeba było zachować milczenie. I właśnie tak postąpiła.

Minerva nawet jako dorosła kobieta wzruszała się, wspominając tamtą chwilę. Bo kryształowa sówka była czymś więcej niż tylko pięknym przedmiotem. W niej gromadziły się wszystkie wspólnie spędzone z babcią chwile, wspomnienia związane z najważniejszą w życiu osobą, jedyną, którą tak naprawdę kochała.

Potrząsnęła głową. Gloriana dalej spała. Obróciła się i teraz spała na plecach. Minerva otworzyła szkatułkę i zamarła z przerażenia. „Pierdolona dziwka!”. Kryształowa sówka zniknęła. Pudełko było puste.

Miała ochotę obudzić swoją współlokatorkę. Miała ochotę ją pobić, ale się powstrzymała. Zeszła po schodach i będąc już w salonie, znalazła torebkę Gloriany. Chciała sprawdzić, co było w środku. Weszła jeszcze raz po schodach, próbując nie narobić hałasu, stąpając po metalowych stopniach. Sprawdziła szkatułkę na biżuterię, w której obydwie trzymały swoje rzeczy, ale nic nie znalazła. Opróżniła różowy plecak, z którym Gloriana chodziła na siłownię.

Stała na środku pokoju, a serce napełniło się złością i nienawiścią. Była pewna, że jej współlokatorka sprzedała kryształową figurkę, żeby odzyskać pożyczone przez nią pieniądze. Przypomniała sobie, jak Glorianie zabłysnęły oczy, kiedy powiedziała jej, że oczy sówki to prawdziwe szmaragdy. Odniosła wrażenie, jakby krew zaczęła płynąć szybciej w jej żyłach. Czuła palenie na policzkach i pulsowanie w skroniach, a oczy zaszyły jej mgłą. Otworzyła i zamknęła oczy kilka razy, żeby w ogóle odzyskać wzrok.

Widziała tylko śpiącą Márquez. Miała na sobie niebieską koszulkę i czarne majtki. Jej włosy przypominały wodospad spadający po poduszce. Przepiękny, złoty wodospad Gloriany.

Powoli podeszła do zagłówek łóżka. Trzęsły jej się ręce. To była czysta i wręcz cielesna nienawiść. Spojrzała na szafkę nocną. Ich wspólne zdjęcie, plastikowy budzik i butelka piwa. Jakby ktoś wcześniej ustawił całą tę scenę. Chwyciła za butelkę i rozbiła ją o ziemię. Gloriana nieznacznie się poruszyła, ale nie obudziła się. Spała głęboko. Przez sekundę wydawało jej się, że czas stanął w miejscu.

Położyła rozbite szkło na podłodze. Bardzo ostrożnie chwyciła za zwinięte w nogach prześcieradło i prawie z nabożeństwem przykryła ciało przyjaciółki. Wystawały tylko jej piękne, złote włosy.

Potem chwyciła za największy kawałek szkła. Po raz kolejny oczy zaszyły jej mgłą. Drżało jej całe ciało, ale nie dłonie, które wydawały się wiedzieć, co mają robić. Jakiś instynkt, o który nigdy by się sama nie podejrzewała, kazał jej wskoczyć jednym susem na Glorianę. Usiadła na śpiącej dziewczynie. Jedną ręką zatkała jej usta i nos, drugą poprowadziła ostrze.

Zaskoczyła ją jej własna diabelska siła: złoty wodospad włosów ledwo się poruszył. Poczowała tylko, jak szkło przecięło szyję Márquez i jak ciepła ciecz spłynęła nagle po jej dłoni. Uśmiechnęła się. To było bardzo przyjemne uczucie.

Siedziała spokojnie, patrząc jak czerwona plama rozlewa się po poduszce. Delikatnie zdjęła obydwie ręce z ciała przyjaciółki i przez chwilę siedziała na niej z rękoma w górze.

I nagle zaczął dzwonić budzik. Była dziesiąta rano. Zeszła z ciała Gloriany i czystą ręką wyłączyła budzik. Márquez już go nie potrzebowała. Nic jej już nie obudzi. Minerva uśmiechnęła się. Poruszyła ręką Gloriany tak, żeby móc wyciągnąć prześcieradło i wytarła nim krew ze swojej ręki i ramienia. I znowu się uśmiechnęła. Jej palce odbiły się na łydce przyjaciółki. Jej czerwone palce.

Poszła do łazienki i spojrzała na siebie w lustrze. Była ciekawa, czy coś się w niej nie zmieniło po śmierci Gloriany. Poczowała żal porażki. Wyglądała zupełnie tak samo jak wcześniej.

Kiedy wróciła do pokoju, serce stanęło jej z przerażenia. Gdyby zobaczyła teraz Glorianę tańczącą reggaeton, pewnie wystraszyłaby się dużo mniej. Jakiś mężczyzna patrzył na nią zza balkonowych drzwi. Przykucnął, opierając ręce na szkłe. Nie ruszał się. Oboje wymienili spojrzenia.

Mężczyzna miał na sobie tylko jeansy. Przyszedł do nich półnagi. Jego tors zasłaniała tylko zielona, plastikowa reklamówka.

Minerva wzięła głęboki oddech i spojrzała na łóżko, na którym leżały zwłoki Gloriany. Przez chwilę przestała o nich w ogóle myśleć. Uspokoila się, kiedy nabrała pewności, że zielone szkło nadal spoczywa na materacu. Obliczyła, że w zasięgu trzech kroków znajdowała się potencjalna broń. A przecież zaledwie kilka minut wcześniej przekonała się, że ten kawałek szkła był naprawdę skuteczny.

Mężczyzna uśmiechnął się. Tym uśmiechem odmłodził się o jakieś dziesięć lat. Wyglądał jak duże dziecko. Minerva nie potrzebowała trzech kroków, bo dwa wystarczyły, żeby dosięgnąć szkła. Podniosła rękę, żeby chłopak zrozumiał, że była gotowa do ataku. I właśnie wtedy on przestał się uśmiechać, zdjął ręce z szyby i włożył je do kieszeni spodni. Nie poruszał się, opuścił głowę i klęknął przed nią.

Minerva nie była w stanie zachować spokoju. Nie bała się jego reakcji. Ostatecznie tylko ona w tym pokoju okazała się dotychczas niebezpieczną osobą. Mimo wszystko bała się, że chłopak mógł coś zobaczyć. „Świadek był mi, kurwa, potrzebny”, wycodziła między zębami.

Bardzo powoli podeszła do drzwi balkonowych. Chłopak nawet się nie poruszył. Minerva przesunęła łóżko, które blokowało drzwi. Musiała je popchnąć z całej siły, bo na łóżku leżało martwe ciało Márquez, a w dodatku jej ruchy były ograniczone, bo w jednej ręce trzymała kawałek szkła, którego nie zamierzała wypuścić z dłoni.

Kiedy drzwi się otworzyły, chłopak podniósł głowę i znowu się do niej uśmiechnął.

– Kim jesteś? – zapytała stanowczym głosem Minerva.

– Mauro.

– Co tutaj robisz?

– Patrzę na piękne dziewczyny – odpowiedział zawstydzony.

Minerva nie potrzebowała ani chwili więcej, żeby przekonać się, że niejaki Mauro jest niezrównoważony. Jego spojrzenie, pojawiający się w nieadekwatnych momentach uśmiech i całkowicie wybiórcze odpowiedzi nie pozostawiały wątpliwości.

– Cóż – powiedziała – a teraz sobie stąd pójdziesz. Bo moja przyjaciółka teraz śpi. Rozumiesz?

Mauro kręcił głową z lewej na prawą.

– Wcale nie śpi. Jest cała we krwi – zauważył i spojrzał na nią poważnie.

– Ty wycisnąłeś z niej krew.

„Kurwa jego mać”, pomyślała Minerva. Musiała coś z tym zrobić. Gorzej już być nie mogło.

– Mauro – powiedziała najśłodszym głosem, na jaki umiała się w tej sytuacji zdobyć – czego tak właściwie chcesz? Po co przyszedłeś?

– Po majtki – powiedział bez wahania.

Zanim Minerva zareagowała, chłopak otworzył worek i zaczął wyciągać z niego bieliznę. Były tam majtki Gloriany, a wśród rzeczy rozpoznała nawet swój własny biustonosz.

– Masz nasze rzeczy. Ukradłeś je.

– Nie! – powiedział chłopak, a potem położył palec wskazujący na ustach.

– Cicho. Niczego nikomu nie mów.

Minerva zdała sobie sprawę, że tutaj go ma.

– Ja nic nie powiem, o ile ty też się nie wygadasz. Umowa stoi?

– Nie, nie ma umowy.

Mauro natychmiast stanął na równe nogi. Minerva cofnęła się o jeden krok. Tym razem się przestraszyła. Niewiele się nad tym zastanawiając, wskazała na szybę i krzyknęła:

– Stój, idioto! Stój! Jak tu tylko podejdziesz, poderżnę ci gardło!

– Szyja blondynki – powiedział, patrząc na zwłoki Gloriany. – Chcę wejść i zobaczyć więcej.

Minerva nie mogła nic zrobić. Mauro nie tylko był od niej wyższy, ale też wyraźnie bardziej szalony. I miał w zanadrzu najsilniejszą broń: niczego się nie bał.

Pozwoliła mu wejść. Nadal zaciskała szkło w dłoni. Chłopak podszedł do ciała Márquez i go dotknął. Minerva powstrzymywała się, żeby nie wymiotować. Musiała zamknąć oczy. Nie mogła znieść tego widoku. Chłopak pieścił nagie uda jej martwej przyjaciółki.

– Mauro, wystarczy – poprosiła i wzięła głęboki oddech. – Daj jej spać.

Chłopak zgodził się i spojrzał na nią z góry na dół. Przestał zachowywać się jak niewinny chłopczyk. Teraz patrzył na nią perwersyjnym spojrzeniem. Nic nie pozostało po jego dziecięcym głosiku, stał się szorstki i zuchwały. Ta nagła zmiana przyprawiła ją o mdłości.

– Ale ty nie śpisz – powiedział chłopak, powoli się do niej zbliżając. – Chcę twoje majtki.

– Otwórz szufladę – szepnęła Minerva.

– Nie. Chcę te, które masz na sobie.

Dziewczyna poczuła, jak gorycz zaczyna podnosić się aż do samego gardła. Chciała wymiotować, ale udało jej się powstrzymać. Nie mogła teraz pokazać słabości.

– W porządku, Maurito – spróbowała użyć najbardziej ponętnej głosu.

– Dostaniesz to, czego chcesz, ale w zamian będziesz musiał być cicho. Nikomu nie możesz niczego powiedzieć. Tutaj do niczego nie doszło.

Chłopak uśmiechnął się i jeszcze raz położył palec wskazujący na ustach.

– Cicho – szepnął.

Minerva już podjęła decyzję. Jeśli to miała być cena, którą musi zapłacić, warto było to zrobić. Nawet jej babcia zawsze powtarzała, że Márquez jest nic niewarta.

Dziewczyna zbliżyła się do ciała swojej koleżanki. Nie musiała nic więcej tłumaczyć. Mauro zrozumiał jej wyjaśnienie, chociaż nie wypowiedziała ani jednego słowa.

Minerva chwyciła Glorianę za kostki, a Mauro musiał zająć się najgorszą częścią całej operacji. Włożył ręce pod pachy dziewczyny i podniósł jej ciało. We dwójkę przenieśli zwłoki na podłogę. W międzyczasie Mauro pobrudził nagi tors i jeansy krwią. Minerva uśmiechnęła się do samej siebie.

Teraz przyszedł czas na najtrudniejsze wyzwanie, ale tak samo jak za każdym innym razem, kiedy walczyła o swoje, nie przeszkadzało jej, że się pobrudzi. Mauro ściągnął spodnie i położył się w łóżku Gloriany. Położył głowę na poduszce. Zupełnie nieświadomy, zostawiał jeszcze więcej śladów na miejscu zbrodni.

Minerva uśmiechnęła się ochoczo, ściągając z siebie niebieską sukienkę. Chłopakowi zabłyszczały oczy. Wcale nie obchodziło go ciało Minervy. Patrzył tylko na jej czerwone, koronkowe majtki.

Dziewczyna usiadła na nagim ciele Mauro. Zamknęła oczy i zaczęła myśleć o czymś zupełnie innym. Chciała jak najszybciej opuścić to miejsce, a przede wszystkim to łóżko. Chociaż jej ręce robiły to, co powinny, jej głowa znajdowała się w zupełnie innym miejscu.

Prawie natychmiast osiągnął erekcję. I nie przestawał dotykać ciała Minervy. Przez tyle dni marzył o tym, żeby uprawiać z nimi seks, odważając się do teraz tylko je podglądać. Minerva ledwo czuła jego mokre ręce nerwowo obłapiające jej ciało. Wcale jej to nie obchodziło. Jej plan działał i nic nie mogło pójść nie po jej myśli. Wszystko zależało od jej silnej woli.

W pewnym momencie chłopak obrócił ją gwałtownie na drugą stronę, przyłgnął do niej biodrami i zaczął pocierać o nią swoim ciałem. Ledwo udawało jej się powstrzymać wymioty, ale wiedziała, że to konieczne. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Mauro ma zamiar na niej usiąść. Chciał ściągnąć z niej majtki. Tylko to go interesowało. Jej czerwone majtki.

Z jej bielizną w ręce Mauro położył się na Minevrze i bez pytania o zgodę spenetrował ją. Ona w tym czasie zamknęła oczy. Nie chciała wykonać żadnego ruchu. Wiedziała, że jedyne, co może ją w tej sytuacji uratować, to jej stalowe nerwy.

Obróciła głowę, a chłopak w tym czasie cały czas na nią napierał. Jego zapach i jęki prawie doprowadziły ją do szaleństwa. Jej ciało poruszało się w rytm, który narzucił jej Mauro. W pewnej chwili podniosła wzrok z ziemi i spojrzała na bok łóżka, bo kątem oka zobaczyła coś błyszczącego. Uniosła trochę głowę. Chłopak poruszał się w niej, ale ona była skoncentrowana na czymś zupełnie innym. Spod nogi zamordowanej Gloriany wystawało coś świeżącego. Kawalek szkła. Jej sówka. „Dziękuję, babciu. Teraz mam swojego anioła stróża. Mój amulet jest przy mnie”, pomyślała.

Nagle zaskoczył ją krzyk Mauro. Dopiero, kiedy poczuła, jak spocone ciało chłopaka się rozluźnia, zrozumiała, o co chodzi. Musiała wziąć sprawy we własne ręce.

– Mauro, wyjdź już stąd, proszę. Jest mi strasznie gorąco – powiedziała.

Chłopak wypełnił rozkaz. Na powrót stał się tym dużym i posłusznym chłopcem. Natomiast Minerva wydawała kolejne polecenia.

– Proszę cię tylko, żebyś się wytarł w prześcieradło.

Mauro zrobił to, o co go prosiła. Teraz jego materiał genetyczny znajdował się praktycznie wszędzie. Minerva nie martwiła się własnymi śladami, bo przecież tu mieszkała. Ale chłopak nie będzie miał jak usprawiedliwić swojej obecności w tym miejscu. Minerva wstała z łóżka i założyła pogniecioną sukienkę rzuconą na podłogę. Mauro też założył spodnie, nie odrywając wzroku od zwłok Gloriany, zupełnie jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu.

– Mauro, teraz pójdziesz sobie stąd tak samo, jak tutaj wszedłeś.

Chłopak spojrzał na nią.

– Mogę wziąć to ze sobą? – zapytał, podnosząc czerwone majtki Minervy, które trzymał w dłoni.

– No pewnie – odpowiedziała z uśmiechem od ucha do ucha.

– Weź też swoją reklamówkę. Lepiej, żebyś jej nie zapomniał.

Mauro podniósł ją, przycisnął do piersi i wyszedł na mały balkon z czerwonymi majtkami w dłoni. Minerva wychyliła się za nim. Chciała sprawdzić, którądy wszedł.

Zobaczyła, jak z łatwością przeskakuje przez niski murek. Mogła też dostrzec, jak chłopak pochyla się po swojej stronie i chowa reklamówkę pod drewnianą klapą.

Uśmiechnęła się. Chyba mogła powiedzieć, że była z siebie dumna. Miała wystarczająco dużo czasu, żeby do schowanego worka Mauro schować kawałek szkła, którym poderżnęła gardło Márquez.

„Zawarliśmy bardzo korzystny pakt. To był szalony poranek. Zostawiłeś swoje nasienie na prześcieradle i w dodatku zabrałeś ze sobą narzędzie zbrodni”, pomyślała i zaśmiała się w głos, wracając do swojego pokoju. Wciąż miała kilka kwestii do rozwiązania.

Ciało Gloriany Márquez wciąż leżało na ziemi pomiędzy dwoma łózkami. Minerva spojrzała na swoją przyjaciółkę jakby była śmieciem. Włożyła jej do kieszeni resztki szkła, które zebrała z ziemi. Poszła do łazienki i jeszcze raz się wykąpała. Stała przez dłuższą chwilę pod gorącym strumieniem wody i szorowała gąbką każdy centymetr ciała. Chciała zmyć z siebie Mauro. Oparła obie ręce na kafelkach i wreszcie zwymiotowała. Patrzyła, jak w odpływie mieszały się mydlana piana, krew i wymioty.

Potem wytarła się ręcznikiem. Tarła tak mocno, że aż zaczerwieniła się jej cała skóra. Spojrzała na siebie w lustrze. Miała bardzo ciemnie wory pod oczami, spuchnięte powieki i jakiś nieznany dotąd wyraz twarzy. Nie spodobało jej się własne odbicie w lustrze, ale nie miała czasu, aby coś z tym zrobić.

Założyła turkusową sukienkę. To było ulubione ubranie Gloriany.

– Możesz to przyjąć jako hołd, ty mała dziwko – szepnęła, nie patrząc na zwłoki.

Rzuciła okiem na pokój. Nieporządek był wręcz idealny. Zeszła po schodach, nie myśląc już o hałasie. „I tak przecież nikogo nie obudzę”, pomyślała z triumfem.

Wyjęła butelkę wody z lodówki i opróżniła ją trzema łykami. Usiadła wygodnie w fotelu, zamknęła oczy i zasnęła.

Kiedy się obudziła, czuła się dużo lepiej. Dobrze jej zrobiła ta drzemka. Zapowiadał się bardzo długi dzień. Spojrzała na zegarek: była prawie trzecia po południu. Musiała pójść do pracy.

Weszła po schodach. Ciało Gloriany wyglądało tak samo jak wcześniej z wyjątkiem małej kałuży krwi obok głowy. Minerva zmarszczyła brwi

i z obrzydzeniem pochyliła się nad martwą Glorianą. Delikatnie wsunęła rękę pod udo swojej przyjaciółki. Było zimne. Wyjęła powoli kryształową sówkę. Podniosła przedmiot i zaczęła go obserwować. Uśmiechnęła się, bo za każdym razem, kiedy patrzyła na figurkę, wydawała jej się jeszcze piękniejsza. Pocałowała ją i wyszła z domu, do którego miała wrócić zaledwie kilka godzin później, żeby zacząć najlepszy w swoim życiu spektakl.

Tego poranka numer 911 był dość zajęty. W styczniu dużo osób wyjeżdżało na wakacje, a ci, którzy tego nie robili, ścigali się po autostradach i ulicach, jakby były one co najmniej torami wyścigowymi. Wypadki i potrącenia zdarzały się niemal codziennie. Poza tym policja otrzymywała wiele powiadomień o kradzieżach w opuszczonych domach. Kiedy prawie nikt nie pozostawał w mieście, domy stawały się idealnym łupem.

Jednak dwa telefony zmieniły całkowicie bieg tamtej nocy. Pierwszy dotyczył jakiegoś młodego, około dwudziestoletniego chłopaka, który według zeznań rodziny oszalał. Chłopak nie przestawał krzyczeć i okaleczać się. To właśnie powtarzała jego krzycząca przez telefon matka. Zadzwonili po karetkę. Chłopak groził, że się zabije. A co ciekawe, drugi telefon pochodził z domu obok. Jakaś zdesperowana dziewczyna prosiła o pomoc policji, bo znalazła zwłoki swojej przyjaciółki w ich wspólnym domu.

– Proszę opuścić dom i czekać na policję na ulicy. Ktoś, kto zaatakował pani koleżankę, może znajdować się w okolicy. Już wysyłamy posiłki – powiedział rozważnie dyspozytor.

– Mam jedne niezidentyfikowane zwłoki kobiety na ulicy Zebruno 1833. Zwłoki znajdują się na terenie posiadłości. Proszę o wysłanie oddziału specjalnego. Nakaz wejścia na teren w kamizelkach kuloodpornych i zachowania szczególnej ostrożności. Wysyłam Mobilną Jednostkę Kryminalną *Handy*.

Policjantka, która odebrała pierwsze połączenie, spojrzała na funkcjonariusza siedzącego za biurkiem obok.

– Co za zbieg okoliczności. Przed chwilą wysłałam karetkę na Zebruno 1835 do jakiegoś biednego wariata – powiedziała, opierając łokcie na stole.

– To dzielnica bogaczy, tak? – zapytał policjant.

– Tak. Same wille z basenami. Wszyscy srają tam pieniędzmi.

– Cholera – powiedział policjant – mi wysłali jakieś morderstwo. Sama widzisz, co robią ci wielcy bogacze. Obudzić szefa?

Policjantka pomyślała przez chwilę nad wszystkimi opcjami i skinęła głową.

– Tak, masz rację. Lepiej nie pakować się w szambo. Zadzwoń do Juáneza.

– Do najwyższego szefa? Na pewno?

– Tak. Jest najlepszy. Nigdy, ale to przenigdy się nie myli.

Kiedy szukał numeru telefonu Juáneza w komputerze, policjant się zaśmiał.

– No, dobra, dobra, koleżanko. Lepiej nie przesadzać. Kiedyś w końcu się pomyli. Przecież to tylko człowiek.

Kładę szklaną sowę na osłonie chroniącej słynną Dziewicę z Olón. Setki osób przybywają tutaj, żeby ją zobaczyć. Wierzą, że Dziewica zapłakała kiedyś krwią. A ona tak zepsuta i obtudna pozwala, żeby inni wierzyli w jej wyjątkowość. W jej cud.

Promień słońca, który wkrada się przez świetlik w piwnicy sprawia, że moja mała, rzeźbiona figurka rozbłyśka milionem kolorów. Dostrzegam w niej swoje odbicie, drobne, prawie niewidoczne zmarszczki, które zaczynają zarysowywać się wokół oczu, i te już bardziej zauważalne wokół ust. Minęło aż dwadzieścia lat. Czas pozostawia ślady na żywych i umarłych. Na ciele i na kościach. Na tych, którzy tkwią w zamknięciu, i tych, którzy żyją na wolności.

Ciało jest też osobistym więzieniem skrywającym wszystkie nasze tajemnice. Wspomnienia, radości, smutki, odkrycia i prawdy. Ale też i kłamstwa. Czy istnieje jakakolwiek osoba na świecie, która nie ma żadnego sekretu, nie ukryła nigdy prawdy? Każdy walczy o swoją prawdę. Gloriana, Mauro, Juánez. Ja też walczyłam o swoją. Każdemu zależało, żeby wygrać ten pojedynek. I dzięki temu jestem tutaj.

Kłęczę, przykładam czoło do szyby i uśmiecham się, bo jestem przekonana, że prawda jest zaledwie jedną z możliwych wersji rzeczywistości.

Uwielbiam ten posąg. Jest tak samo obtudny jak ja.